



Nad Gawią

Nowa książka Kazimierza Niechwiadowicza
(tutaj jest prezentowany maszynopis przed korektą)

Kazimierz Niechwiadowicz urodził się 6 lipca 1957 roku w miasteczku Sobotniki nad rzeką Gawią, w rejonie Iwie na Grodzieńszczyźnie, na Białorusi. 1 maja 1958 roku wyjechał z rodzicami do Polski. Od 1963 roku mieszka w Poznaniu. W 2004 roku założył wydawnictwo GAWIA, którego celem było wydawanie książek poświęconych historii i życiu rodaków na ojczystej ziemi. Jest autorem wszystkich wydanych w GAWII tytułów: „Moje Sobotniki” w wersji polsko-białoruskiej (Poznań 2003), „Trokiele 2003” w wersji polskiej i osobno białoruskiej (Poznań 2004), „Moje Sobotniki” – wydanie II poszerzone w wersji polskiej (Poznań 2004), „Żemłostaw” w wersji polsko-białoruskiej (Poznań 2005) i „Białoruskie podróże” też w wersji polsko-białoruskiej (Poznań 2006).



Wszystkie te prace są wynikiem częstych podróży autora do miejsca urodzenia, zainteresowania historią małej ojczyzny, darzenia jej ciepłym i bardzo osobistym stosunkiem.

Prezentowany tutaj tekst jest projektem nowej książki. Składają się na nią opisy ośmiu podróży autora jakie odbył w latach 2006-2010 na Białoruś, w rodzinne strony, ale także w kilka innych miejsc na Grodzieńszczyźnie i na Polesiu. Jest to więc książka bardzo aktualna.

Autor rozesłał maszynopis do kilkunastu wydawnictw krajowych, ale jak dotąd otrzymuje odpowiedzi o braku zainteresowania przedstawioną tematyką.

Może publikacja pracy w Internecie spowoduje, że znajdzie się ktoś, jakiś inny wydawca, który słusznie stwierdzi, że książka ta ma realną szansę znalezienia szerokiego kręgu odbiorców. W obecnym czasie jest większe zainteresowanie Białorusią. Po ostatnich wyborach prezydenckich i siłowym rozprawieniu się z opozycją, kraj ten znalazł się w trudnych stosunkach z Unią Europejską oraz innymi państwami. A przecież jest nam bardzo bliski nie tylko w znaczeniu historycznym.

Ta praca jest też zupełnie inną od tych wszystkich dotyczących współczesnej Białorusi, które się ukazały w Polsce w ostatnich latach. Przede wszystkim dlatego, że jej autorem jest ekspatriant, który z rodzicami, jako dziesięciomiesięczne niemowlę, opuścił rodzinne miasteczko. Nie mógł więc cokolwiek zapamiętać z tych pierwszych miesięcy życia, ale często i z wielką chęcią powraca do swojego miejsca urodzenia.

W tej książce jest słońce i wiatr, deszcz mgła, droga i rzeka, pole i las. Są ludzie i zwierzęta, miasto i wieś, tradycja i współczesność. Jest ona dobrą zachętą do odwiedzenia tego kraju i w tej formie w jakiej została napisana, może być nowością na rynku wydawniczym.

Rozbudowany spis treści ma zaciekać krajowego czytelnika i zachęcić go do zapoznania się z książką, a liczne przypisy są pomyślane o polskim odbiorcy książki na Białorusi. Także o czytelniku białoruskim, gdyż w dalszym zamyśle autora jest wydanie książki w języku białoruskim.

KONTAKT DO AUTORA e-mail: sobotniki@poczta.onet.pl

Na zdjęciach: Kazimierz Niechwiadowicz na moście na Gawii w Sobotnikach (koniec maja 1998) i z rodzicami, Stanisławem i Marią w Lesznie (1958), wkrótce po przyjeździe do Polski. Zdjęcie pierwsze jest propozycją do umieszczenia na przodzie okładki, a zdjęcie drugie na jej tyle.

Nad Gawią

Kazimierz Niechwiadowicz

„Ludzie żyją koło rzek i jezior, ale wiedzą o nich tylko 10-15 km, a więcej absolutnie nic. Nawet jak rzeka płynie, skąd zaczyna się i gdzie wpada. Tylko rybak powie, że Wilia wpada do Niemna w Kownie”.

Józef Rusakiewicz z Dowgiatowszczyzny

Kocham cię Gawio

Stoję często nad moją Gawią,
dziewczyna z warkoczem
z książką pod pachą.
Wędruję brzegiem
i myślę, skąd
i dokąd płynie.

Kocham cię Gawio,
kiedy rozlewasz wody
jak okiem sięgnąć i
szalejesz jak burza.

Kiedy jesteś łagodnie przyjazna,
wierzby i olchy w zadumie
do ciebie się tulą,
dawne dzieje las opowiada.

Przychodzę z daleka
na żabi i ptasi koncert.
Próbuję uczesać myśli i uczucia
na gałązkach czasu,
nad moją Gawią.

Irena Hryniewicz¹

Wstęp

Ta książka jest kontynuacją opisu mojej ziemi rodzinnej, miasteczka i gminy Sobotniki nad rzeką Gawią w rejonie² Iwie, w obwodzie³ grodzieńskim na Białorusi. Grodzieńszczyzna jest spadkobierczynią Nowogródzczyzny, a obecny rejon Iwie jest częścią przedwojennego powiatu lidzkiego. W swojej wielowiekowej historii Sobotniki najdłużej należały do powiatu oszmiańskiego województwa Wileńskiego, utworzonego w 1413 roku w Wielkim Księstwie Litewskim. Od 1569 roku znalazły się w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i w prawie niezmienionej strukturze administracyjnej (Oszmiana – powiat, Wilno – województwo, gubernia) przetrwały do 1921 roku. 19 lutego tego roku zostało utworzone województwo Nowogródzkie w odrodzonym państwie polskim, a w jednym z jego powiatów w Wołożynie znalazła się gmina Sobotniki. W 1926 roku przeprowadzono reformę administracyjną Polski i z dniem 22 stycznia nasza gmina została przydzielona do powiatu lidzkiego. Ten stan trwał do dnia 17 września 1939 roku, do zajęcia Kresów Wschodnich przez bolszewików. Od dnia 15 stycznia 1940 roku Sobotniki znajdują się w rejonie iwiejskim, znacznie mniejszym niż przedwojenny lidzki.

Nasza gmina leży tuż przy Litwie i za graniczną miedzą ma gminę Dziewieniszki. Po stronie białoruskiej sąsiadują z nią gminy: Gieraniony, Lipniszki, Iwie, Juraciszki i Traby. Ziemie te w swej dawnej historii związane były z takimi postaciami jak król Zygmunt August, Barbara Radziwiłł, z rodami Gasztoldów, Kisków i Radziwiłłów, z polskimi Tatarami, z arianami - Braćmi Litewskimi, a w bliższych nam czasach z Józefem Piłsudskim. Część tych ziem łączy rzeka Gawia, która swój początek bierze w okolicy niewielkiej wioski Dzijaki tuż za Łukszanami. Jest to na północ od Dziewieniszek, ale po stronie białoruskiej w rejonie oszmiańskim. Od źródeł do granicy z Litwą jest niedaleko i Gawia szybko ją przekracza wpływając na tak zwany Worek Dziewieniski, a za wioską Girdziuny znowu płynie przez Białoruś, przez rejon iwiejski. Po pokonaniu siedemdziesięciu pięciu kilometrów, przy wiosce Burnosy, Gawia wpada do Niemna.

Pomysłem do napisania kolejnej książki były opisy podróży do mojej małej ojczyzny. Opisy te, w formie krótkich relacji, zamieszczałem w mini gazecie pt. „Gawia” i rozsyłałem do ziemiaków⁴ mieszkających w Polsce i za granicą. Przywoziłem je także na Białoruś.

Pierwszy numer „Gawii” powstał w lipcu 2000 roku, a ogółem wyszło ich trzynaście. Każdy nowy egzemplarz tworzyłem przy pomocy komputera i drukowałem na drukarce atramentowej. Następnie z tak utworzonej matrycy robiłem kserokopie. Większość „Gawii” znalazła swoje odbicie w mojej pierwszej książce pt. „Moje Sobotniki”. Relacje z roku 2007 nie zostały opublikowane pod żadną postacią. Zostały one bardziej rozbudowane od poprzednich, dlatego też postanowiłem zebrać je razem, dołączyć do nich „Gawie” z roku 2006 i z całości utworzyć niewielką książkę. Najświeższym uzupełnieniem tych dwóch lat jest garść wrażeń z ostatniego mojego pobytu na Białorusi, na przełomie czerwca i lipca 2009 roku.

Przewijają się w tej książce dzieje mojej rodziny, moje własne wspomnienia z wielu odbytych wypraw na ojczystą ziemię, moje uczucia do rodzinnych stron. Uważam, że w jakiejś części są one reprezentatywne dla wielu rodzin pochodzących z Kresów Wschodnich, których losy odmieniły wydarzenia ostatniej wojny. W książce znajdują się również wspomnienia mojego ziemiaka z Dowgiałowszczyzny, Józefa Rusakiewicza. Wyrażam tutaj dla niego słowa wielkiego uznania i podziękowania za jego wieloletni trud w dokumentowaniu historii naszej ziemi i historii Wileńszczyzny.

W mojej pracy jest także trochę Iwina, Lipniszek i Trokiel, Lidy i oraz Grodna. Trochę Łunińca, Sienkiewicz i Mikaszewicz w obwodzie brzeskim. Jest trochę współczesnej Białorusi i przemian, jakie w tym kraju zaszły i nadal się dokonują, szczególnie na prowincji. Napisałem także o

ludzkim losie i jego przemijaniu. Również o historii, na którą ludzie nie mają wpływu. Wkracza ona niespodziewanie w ich życie, przewraca je do góry nogami i nadaje mu nowy, a niechciany przez nich bieg.

„Nad Gawią” jest przeznaczona dla czytelnika krajowego, który chciałby się dowiedzieć coś więcej o Białorusi niż to standartowo przedstawiają nasze media. Jest także przeznaczona dla licznej grupy osób, które bezpośrednio pochodzą z Kresów Północno-Wschodnich i dla tych, co stamtąd wywodzą swoje rodzinne korzenie. Jednak przede wszystkim moja książka, tak jak wszystkie poprzednie, jest zaadresowana do naszych rodaków z Grodzieńszczyzny. Tak niewiele jest tam dostępnych prac dotyczących najnowszej historii oraz przedstawiających codzienne życie, a polskich książek od dobrych kilku lat nie ma w księgarniach. Tak mało się pisze w Polsce o Białorusi, a jeżeli już się pisze, to jest to głównie polityka i sprawy Związku Polaków. Ale dlaczego przedstawia się tylko jeden Związek, jako wyłącznego reprezentanta naszych rodaków? Dlaczego nasz rząd i parlament pozostawili bez pomocy tych Polaków, którzy należą do innego Związku Polaków na Białorusi? Dlaczego utrwalają podział tej organizacji, którym są zainteresowane białoruskie władze?

O Białorusi można by pisać więcej. Na przykład o wspólnej z Polską historii w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, o żywych jeszcze dziejach z lat międzywojennych na terenach, które po II wojnie światowej zostały odłączone od Polski i przyłączone do Białorusi. Można by napisać o zachowanych zabytkach wspólnego dziedzictwa narodowego, o kulturze Białorusi utworzonej przez przedstawicieli także innych narodów, o dużych atrakcjach i walorach turystycznych tego kraju. Wiele ciepłych słów warto przelać na papier o gościnności i serdeczności mieszkańców Białorusi. Uważam, że ciekawym było by przedstawienie poglądów różnych środowisk młodych ludzi na rzeczywistość, w jakiej żyją, a także ukazanie ich marzeń i planów na przyszłość.

W roku 1997 Polska Telewizja przestawiła bardzo interesujący cykl filmów pt. „Polacy na Białorusi”. Była w nich historia i współczesność, budowa kościołów i praca sióstr misjonarek, barwne sylwetki rodaków i działalność polskich kółek i organizacji. Może warto by wznowić ten cykl wracając do tych samych miejsc i ludzi ukazanych za pierwszym razem? Pokazać, co i na ile tam się zmieniło?

W kilku tytułach rozdziałów tej książki, w imionach solenizantów występujących pod konkretnym dniem użyłem słów białoruskich, które zapisałem tak, jak je słyszałem podczas wymawiania. Zacerpnałem je z „Białoruskiego kalendarza 1993”, podobnie jak ludowe porzekadła związane z prognozowaniem pogody i wiejskim życiem. Zrobiłem tak, dlatego, że bardzo lubię białoruski język. Jest on dla mnie zrozumiały, śpiewny, łagodny i przyjazny. Lubię białoruską prowincję z miasteczkami, wioskami, koloniami i chutorami⁵, gdzie czas płynie wolniej, a historia, nawet ta dawna, jest jeszcze na wyciągnięcie ręki.

W rozdziale pt. „Czerwień/Lipień 2007” pokłoniłem się prostemu językowi⁶, którym nadal posługują się mieszkańcy wielu wiosek Grodzieńszczyzny. Z pewnością nie jest to już taki sam prosty język jak przed wojną, gdyż wieloletnia sowiecka obecność w każdej dziedzinie życia na Białorusi i w tym przypadku dokonała pewnych dewiacji.

Dla poprawnego czytania tekstu napisanego językiem prostym, także pojedynczych wyrazów w tym białoruskich, pogrubioną czcionką na przykład „a”, zaznaczyłem miejsce, w którym przypada akcent. Znakiem „ŭ” zaznaczyłem tak zwane długie „u” wymawiane jak polskie „ł”. To spółgłoskowe „ŭ” występuje przed innymi spółgłoskami, a także na początku i na końcu wyrazu. Przed samogłoskami występują spółgłoski „w” i „ł”. Ta wymiennosc, nieznaną w języku polskim, powoduje to, że w różnych formach gramatycznych tego samego wyrazu mogą się pojawiać wymiennie albo spółgłoski „w” i „ł”, albo „ŭ”. Na przykład: haława (głowa), ale hałoŭ (głów), hałoŭka (główka); kłała (kładła), ale kłaŭ (kładł); kryknuła (krzyknęła), ale kryknuŭ

(krzyknął).

Inną osobliwością języka białoruskiego i prostego jest przyimek, „u”, który w zależności od kontekstu zdania może oznaczać: do, w, po, na, przez, u, o, od. Samogłoska „u” wymienia się ze spółgłoską „ŭ”, a polega to na tym, że „ŭ” zstępuje „u” w pozycji między samogłoską i spółgłoską. Na przykład: ujechać u les (wjechać do lasu), ale pajsci ŭ szkołu (pójść do szkoły).

Niektóre nazwy i wyrazy napisane językiem prostym oraz pojedyncze słowa białoruskie spolszczyłem. W przypisach podałem prawidłową dla nich wymowę.

W tekście zastosowałem następujące skróty: (brs.) - białoruski, (czyt.) - czytaj, (pol.) - polski, (ros.) - rosyjski.

Książkę nazwałem „Nad Gawią” chcąc zaznaczyć jedno z dwóch najważniejszych dla mnie miejsc na ziemi - Sobotniki i Poznań. Moim zamiarem było też, aby już sam tytuł kojarzył się czytelnikowi z Kresami i zachęcił go do sięgnięcia po moją pracę. Chciałem również nim zaakcentować łączność z tymi ziemiami Polaków w kraju i polonii zagranicznej, która jest żywa mimo zmiany granic i będzie istnieć nieprzerwanie.

Kazimierz Niechwiadowicz

Poszarpane wybory

(15- 21 marca 2006)

Podróż

Moja pierwsza w 2006 roku podróż na Białoruś wypadła trochę przypadkowo. Zbliżał się termin wyborów prezydenckich w tym kraju. Jak podawały nasze media, temperatura wydarzeń u wschodnich sąsiadów robiła się coraz bardziej gorąca. Była już gotowa moja kolejna książka pt. „Żemłosław” i chciałem trochę egzemplarzy zawieźć do Żemłosławia i Sobotnik. Kończyły mi się terminy ważności paszportu i wizy, a nie mogłem przewidzieć tego, co będzie po wyborach. Włożyłem książki do podręcznego bagażu i utartym szlakiem ruszyłem w drogę.

Na dworcu kolejowym w Poznaniu kupiłem „Tygodnik Powszechny” ze specjalną wkładką poświęconą Białorusi. Dlaczego tak późno? Dlaczego tak późno zaczęliśmy się interesować tym sąsiednim i bardzo bliskim krajem? Wyraźne sygnały niedemokratycznych rządów na Białorusi nadchodziły do Polski już dobrych kilka lat temu. Ostatnim dzwonkiem na przerwanie naszej obojętności były wybory do białoruskiego parlamentu w roku 2004. Nie wszedł do niego żaden kandydat z opozycyjnych partii. Wtedy też przeprowadzono referendum dotyczące możliwości ubiegania się przez Aleksandra Łukaszenkę, startowania w wyborach prezydenckich na trzecią kolejną kadencję. Było to niezgodne z konstytucją Białorusi, ale racje rządzącej głowy państwa znalazły się ponad wszystkim, co też potwierdziły wyniki referendum.

Polski autobus relacji Białystok-Mińsk był prawie pusty. Oprócz jednej osoby, która co chwilę rozmawiała z kimś z białoruskiej stolicy w sprawie bliskich wyborów, nikt nie poruszał ich tematyki. Przed przejściem granicznym w Kuźnicy Białostockiej wisiał transparent, który zachęcał do wyboru Aleksandra Milinkiewicza, wspólnego kandydata opozycji, na prezydenta. Dwa dni wcześniej miała tam miejsce akcja agitacyjna na jego rzecz, przeprowadzona wśród wracających do swojego kraju obywateli Białorusi.

Wieczorne Grodno było słabo oświetlone. Na ulicach nie zauważyłem żadnych oznak wyborów, ale jak zwykle wypatrywałem Niemna, który był dla mnie najważniejszą wizytówką tego miasta. Wreszcie przejechałem przez most nad rzeką szczelnie przykrytą lodowo-śnieżnym sza-

lem. Po dwóch godzinach podróży byłem w Lidzie. Wsiadłem z autobusu i wziąłem taksówkę, którą pojechałem do ciotki Władzi. Na rozwieszonym nad ulicą transparencie widniał napis: 18 MARCA 2006 WYBORY PREZYDENTA REPUBLIKI BIAŁORUŚ.

Prowincja

W dniu następnym był dalszy ciąg mojego podróżowania. Pojechałem autobusem do Iwii, aby zarejestrować się na milicji. Było to moim obowiązkiem obcokrajowca, który chciał przebywać na Białorusi dłużej niż trzy dni robocze. Musiałem wypełnić o jeden papierek więcej niż zwykle. „Wybory” - powiedzieli mi. No i Sobotniki leżały w strefie przygranicznej z Litwą.

Wróciłem na dworzec autobusowy, z którego miałem pojechać do Sobotnik. Był piątek, dzień targowy. Starsi ludzie z zakupami oczekiwali na powroty do swoich miasteczek i wiosek. Kobieta z nieprawdopodobnie dużą ilością pustych kartonów na plecach, niezdecydowanie kręciła się po peronach. Sporo też było młodzieży w wieku czternastu-osiemnastu lat, która wracała na wioski ze szkół. Stali grupkami żywo ze sobą dyskutując. Niektórzy chłopcy palili papierosy. Nie słyszałem, aby rozmawiano o wyborach. Ci młodzi ludzie byli przyszłością białoruskiego państwa. Jaka ona będzie? Czy za parę lat, kiedy ta młodzież rozpocznie dorosłe życie, ich kraj będzie wyglądał podobnie jak dzisiaj? Czy Białoruś na tyle zmieni się, że będą oni mieli większe możliwości decydowania o sobie, o swoim kraju i realne perspektywy lepszego życia? W końcu zajechałem do rodzinnych Sobotnik. Zima jeszcze mocno stała na dwóch nogach. Było mroźno, bardzo biało i wiał dokuczliwy wiatr. Ale to już miało trwać niedługo. Szkoda, że wraz z nadejściem wiosny, podobnie jak w przyrodzie, nie zawsze zmieniają się na lepsze ludzkie rzeczy i sprawy.

Głosowanie

Część mieszkańców naszej gminy już głosowała, wykorzystując przepis mówiący o tym, że ta procedura rozpoczyna na trzy dni przed wyborami. Jednak większość poszła to zrobić w niedzielę 18 marca. Ta możliwość kilkudniowych wyborów, chociaż nie była czymś wyjątkowym w Europie, to na Białorusi zawsze budziła uzasadnione podejrzenia, że zostaną one sfalszowane. Władze zrobiły wiele, aby jak najwięcej obywateli poszło do urn wyborczych wcześniej. Żołnierze poszli na rozkaz, a studentów skuszono darmowymi przejazdami do domów.

Ludzie w Sobotnikach wiedzieli, że oprócz Łukaszenki byli też konkurencyjni kandydaci na prezydenta. Ale czy mogli powiedzieć o nich coś więcej? Czy znali ich programy? W wielu wioskach nic nie słyszano o innych kandydatach, oprócz aktualnie urzędującej głowy państwa. I jeszcze jedna charakterystyczna rzecz, a niezgodna z obowiązującym prawem białoruskim. Komisja Wyborcza zezwalała głosować niektórym wyborcom w imieniu członków ich rodzin. Mówiono mi nawet o przypadkach fikcyjnego oddawania głosów. Osoby, którzy z różnych przyczyn nie wzięły udziału w wyborach ku swoim zdziwieniu stwierdziły, że ktoś zrobił to za nich. Sądzę, że jest to dość powszechne postępowanie, na które nie zwracają uwagi międzynarodowi obserwatorzy różnych wyborów.

W niedzielę, tuż przed rozpoczęciem mszy świętej o godzinie jedenastej, proboszcz ojciec Franciszek Gałdyś ogłosił, że będziemy na niej mieli gości z Kazachstanu. Jak mi później powiedział kuzyn Janek, byli to właśnie międzynarodowi obserwatorzy wyborów w naszej gminie. Zaraz po rozpoczęciu liturgii do kościoła wszedł przewodniczący sobotnickiej gminy w towarzystwie dwóch skośnookich, śniadych mężczyzn. Po krótkim obejrzeniu jej wnętrza, na chwilę zeszli do kunsztownie i artystycznie wykonanej krypty, w której został pochowany fundator naszego kościoła hrabia Władysław Umiastowski i najbliżsi jego krewni.

Nasz kościół pw. św. Władysława⁷ jest rzadkim zabytkiem sakralnym w skali całej Białorusi. Jeszcze nie tak dawno prezbiterium było oddzielone od nawy głównej podwójnym rzędem balaśków zrobionych z kutego żelaza. Był to jedyny taki przypadek w architekturze wnętrz kościołów katolickich w tym kraju. Sobotnicka świątynia jest też jedyną na Białorusi, której patronuje św. Władysław Węgierski. Została wyróżniona, jako ważny zabytek, przez umieszczenie w albumie pt. „Dziedzictwo Białorusi”, wydanym pod patronatem Ministerstwa Informatyki Białorusi i przy pomocy finansowej UNESCO. My, sobotniczanie i mieszkańcy całej parafii jesteśmy dumni z naszego kościoła, w którym zostaliśmy ochrzczeni, braliśmy śluby, żegnaliśmy zmarłych z naszych rodzin, do którego przychodzimy na spotkanie z Bogiem.

Po południu telewizja podała pierwsze komunikaty o frekwencji wyborczej. Najlepsze były jednostki wojskowe z wynikiem prawie sto procent. Ale jak mogło być inaczej i co to był za argument? Podano również wstępne dane dotyczące poszczególnych kandydatów na prezydenta. Łukaszenka otrzymał ponad osiemdziesiąt procent, a pozostali pretendenci zaledwie po kilka procentów oddanych na nich głosów. Mina mi zrzędnęła, gdyż uważałem, że będzie lepiej. Nie znałem jednak wówczas zbyt dobrze białoruskiej rzeczywistości i nie wiedziałem, że wśród ponad siedemdziesięciu dwóch tysięcy członków komisji wyborczych było tylko dwóch przedstawicieli opozycji.

Praktycznie wszystkie źródła informacji przekazywanej społeczeństwu na Białorusi są w rękach władzy. Coraz więcej pracowników jest zatrudniana na zasadzie kontraktu i w tym kraju nie ma wolnych związków zawodowych. Kierownicy urzędów administracyjnych wszystkich szczebli są mianowani, a nie wybierani. Z kolei ci dobierają sobie wygodnych im współpracowników i tak wszyscy są od siebie zależni. Na Białorusi ludzie o nich mówią, że „jeden drugiego podtrzymuje i każdy z tego ma dodatkowe, osobiste korzyści”.

W wieczór powyborczy odbyła się wielka konferencja prasowa, wybranego nowego-starego prezydenta Łukaszenki, dla zagranicznych dziennikarzy i międzynarodowych obserwatorów wyborów. Ci ostatni pochodzili głównie z krajów Wspólnoty Niepodległych Państw (Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Mołdawia, Rosja, Tadżykistan, Turkmenistan, Ukraina, Uzbekistan). Byli także przedstawiciele Chin, Kuby, Serbii i Gruzji. Ostatnie dwa państwa reprezentowały partie przeciwne własnemu rządowi.

Wystąpili mówcy z zawczasu przygotowanymi czołobitnymi przemowami, w których przekazywali uznanie od bratnich narodów dla szczytów białoruskiej demokracji. Pochwalne peany na rzecz nowego prezydenta wygłosił obserwator z egzotycznego archipelagu. Był też ktoś z USA, który przekazał Łukaszence pozdrowienia i słowa wsparcia podobno od milionów obywateli amerykańskich. Każde takie wystąpienie przeplatane było oklaskami obecnych w sali konferencyjnej.

Przyszła pora na zadawanie pytań przez dziennikarzy. Prawie wszystkie były poprawne oprócz kilku, jak przykładu takiego:

- „Dlaczego w jednym z miasteczek leżącym w strefie mocno podwyższonej radioaktywności, związanej z wybuchem w elektrowni atomowej w Czarnobylu, kobieta pracująca w miejscowym kołchozie nie może sama utrzymać swoich dzieci, natomiast nie brakuje funduszy na rozbudowę milicji i jednostek specjalnych?”.

Odpowiadając prezydent był mocno poirytowany. On nigdy nie lubił niewygodnych pytań, które go denerwowały i wzburzały. Od tego słuchania rozboleła mnie głowa, a do tego ciągle te same poprawne wiadomości informacyjne w telewizji. I wszystko w języku rosyjskim, a ja chciałem słuchać wypowiedzi w języku białoruskim. Tego samego wieczoru na Placu Październikowym w Mińsku zebrały się tysiące zwolenników Aleksandra Milinkiewicza, którzy nie uznali wyników wyborów i żądali ich powtórzenia. Współczesny Mińsk chyba nie pamiętał tak licznego

zgromadzenia.

W poniedziałek rano opuściłem Sobotniki. Pojechałem do Iwii, skąd po kilku minutach odjechałem do Lidy. Droga wiodła przez Lipniszki. Przed Berdówką pracownicy leśni przerzedzali drzewa i krzewy na poboczu drogi. W kilku miejscach palili gałęzie, a przyjemna i delikatna woń dymu przeniknęła do wnętrza autobusu. We wtorek musiałem już wracać do domu. W Grodnie rozmawiałem o wyborach z młodymi ludźmi jadącymi do Polski w sprawach handlowych.

- „Nie mogło być inaczej - powiedział jeden z nich. - Pięć lat temu Łukaszenka otrzymał siedemdziesiąt pięć procent. Przed obecnymi wyborami propaganda w mediach podniosła wszystkie wskaźniki ekonomiczno-społeczne mocno do góry. Pokazała ludzi coraz bardziej zadowolonych z rządu i prezydenta, więc Łukaszenka musiał otrzymać lepszy wynik niż poprzednio” - dodał.

Sobotnicki proboszcz, chrystusowiec⁸ ojciec Franciszek Gałdyś, już dziesiąty rok pracuje w naszej parafii. Ojciec Franciszek wkłada wiele wysiłku w dalszy jej rozwój, w odnowę religijną i moralną. Stara się o różną pomoc materialną, o którą często też zabiega prywatnie. Nie wszystkie prace w kościele i na cmentarzu są wykonywane wyłącznie ze składek parafian. Dzięki ojcu Franciszkowi mieszkańcy miasteczka i gminy mogą korzystać z aparatury medycznej w miejscowym ambulatorium. Jednak kapłan ciągle musi się borykać z tymi samymi problemami i z tymi samymi wiecznie niezadowolonymi ludźmi, głównie z Sobotnik.

Mają oni do proboszcza wiele pretensji o jakieś sprawy istniejące tylko w plotkach. Uważają, że mogą mieć wpływ na niego, a jego odwołanie nie będzie dla nich wielkim problemem. A jak nie będzie ojca Franciszka, to żadna strata. Przyjdzie inny ksiądz i też będzie dobrze. Chodzą z jakimiś urojonymi pretensjami do gminy jakby zapomnieli, że dawne czasy już minęły i nie tędy droga. Jeżeli mają zarzuty względem swojego proboszcza, to dlaczego nie przyjdą do niego bezpośrednio? Dlaczego ich dzieci czy wnuki, a dotyczy to także części innych rodzin, tak rzadko widuje się w kościele? Nie zawsze są na niedzielnej czy świątecznej mszy świętej, omijają Drogę Krzyżową, inne ważne nabożeństwa. Dlaczego część dorosłych mieszkańców Sobotnik żyje życiem, które jest bardzo, bardzo dalekie od katolickiego?

Niedawno odbyły się w naszej parafii rekolekcje wielkopostne. Niektórzy ludzie na Białorusi, którzy uważają się za katolików, tłumaczą swoją nieobecność w kościele tym, że nie rozumieją modlitw i śpiewów po polsku. Na Grodzieńszczyźnie w tym języku są odprawiane prawie wszystkie msze i nabożeństwa, gdyż w zdecydowanej większości katolikami w tym obwodzie są Polacy i osoby polskiego pochodzenia. Właśnie dla tych, którzy nie chodzą do kościoła niby ze względu na język liturgii, ojciec Franciszek na głoszenie rekolekcji specjalnie zaprosił kapłana dobrze mówiącego po białorusku. Frekwencja w Sobotnikach była właściwie żadna, a przecież w tym okresie jest zwykle mniej pracy w gospodarstwach niż w inne pory roku i ludzie mają więcej czasu. Czemu nie przeznaczają go, chociaż w trochę większym stopniu, na praktyki religijne, na wiarę i kościół, o który w tym miejscu i nie tak dawno jeszcze, mocno i z sukcesem walczone?

Z tego krótkiego pobytu na Białorusi pozostało mi w pamięci kilka obrazów: ulica Wileńska, na której ubity śnieg skrzył się w pełnym słońcu aż oczy bolały; konie zaprzęzione do wozów i sań, zjadające siano i czekające na swoich gospodarzy w wyznaczonym miejscu koło naszego kościoła; stara kobieta z kartonami na dworcu w Iwii, na który właśnie wjechał autobus relacji Nowogródek-Smorgonie; mężczyzna ubrany jedynie w sportowe buty i spodnie, biegnący po chodniku w Lidzie; słup ogłoszeniowy z wyborczymi plakatami Milinkiewicza i Kazulina przed dworcem kolejowym w Grodnie.

Wizyta druga

(22 czerwca-7 lipca 2006)

Święto w Surwiliszkach

We wtorek 27 czerwca, zaraz po naszym odpuszcie na św. Władysława, pojechaliśmy z ojcem Franciszkiem do bliskich Surwiliszek na poświęcenie nowego kościoła. Nazwa miasteczka pochodziła od nazwiska Surwiłło i miała wyraźne korzenie litewskie. W jego okolicy przebiegała dawna granica osadnictwa litewskiego, obejmująca również Traby, siedzibę gminy.

Surwiliszki to niewielka, ale bardzo stara parafia. W roku 1591 kasztelanowa Róża Gajkowska oraz jej bracia Antoni i Jan, ufundowali tu pierwszy kościół pw. św. Trójcy. W jego otoczeniu zaczęto chować zmarłych mieszkańców Surwiliszek, co dało początek powstaniu miejscowego cmentarza. Wileńscy jezuita, którzy od 1678 roku byli właścicielami miasteczka i pobliskiego folwarku, w roku 1758 na tym samym miejscu postawili nową budowlę. Zawaliła się ona ze starości i w roku 1993 na placu, gdzie kiedyś stała stara szkoła, postawiono drewnianą kaplicę. Trzy lata temu zniszczył ją pożar, ale i tym razem mieszkańcy parafii nie dali za wygraną, i postanowili na tym samym terenie wybudować nowy kościół.

Na wojskowej mapie topograficznej z roku 1927 w skali 1: 100 000, widnieje prosta droga z Sobotnik do Surwiliszek. Prowadzi ona przez Żemłosław, dalej wzdłuż rzeki Gawii, następnie jej dopływu Klewy i przez most na niej między wioskami Maciuki i Bobryki. Tej dawnej trasy już nie ma. Jechaliśmy przez Żemłosław, Żemajtuki, Romany i Białynszczyznę, ostatnią wioskę z tej strony naszej parafii. W jedynej zamieszkałej chacie żyło wtedy pięcioro ludzi. W 1940 roku w Białynszczyźnie mieszkało sto sześć osób w szesnastu domach. Przy następnej wsi Samiszczce przywitał nas prawosławny krzyż. To już była trabska parafia. Widoczną i bardzo urokliwą cechą ukształtowania tego terenu był jego lekko pagórkowaty krajobraz związany z tym, że leżał on skraju Wyżyny Oszmiańskiej. W Trabach skręciliśmy przy cerkwi pw. św. Apostołów Piotra i Pawła na Surwiliszki i już po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu.

Na niewielkim wzniesieniu stał biały kościółek pokryty blachą pomalowaną na kolor czerwony. Był tak mały, że nie mógł pomieścić wszystkich ludzi, którzy przyszli na jego poświęcenie. Wierni z okolicznych wiosek nie żalowali grosza na budowę nowej świątyni, a przecież mieli bardzo blisko do gminnych Trab z dużym neogotyckim kościołem pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Oni jednak chcieli mieć ponownie swój własny dom Boży, tak jak ich ojcowie, dziadowie, pradziadowie. I za to przywiązanie do swojego kościoła, za złożoną ofiarę na jego wybudowanie, dziękował im w homilii ordynariusz grodzieński ks. biskup Aleksander Kaszkiewicz.

Bazar w Iwiu

W piątek rano pojechałem z kuzynem Jankiem na zakupy do Iwia. W każdy piątek w Iwiu odbywał się tradycyjny bazar. Kulturowano w ten sposób tradycję z dawnych czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego, kiedy to w miasteczkach organizowano kiermasze nie tylko w święta parafialne, ale i co tydzień. Jeszcze przed wojną nie było to czymś wyjątkowym. W Iwiu mieściły się dwa bazary. Jeden z produktami żywnościowymi w samym mieście, a drugi z wszelkimi innymi wyrobami i artykułami tuż za nim.

Janek wpięć chciał kupić jakieś mięso. Weszliśmy do blaszanego boksu, gdzie je sprzedawano. To, co zobaczyłem, nie zachęciłoby mnie do jakichkolwiek zakupów. Panowały tam niehigieniczne warunki. Wśród sprzedających tylko jedna osoba miała na sobie biały fartuch, na doda-

tek mocno porwany. Pozostali wyglądali tak, jakby weszli tu przypadkowo z ulicy, wzięli do rąk narzędzia i zabrali się do rozbierania i sprzedawania mięsa. A to mięso leżało na gołych metalowych stołach i nie było odpowiedniego papieru do jego pakowania.

Bazarowy obraz. Tak wyglądało i u nas w Polsce, ale pod koniec komuny, kiedy brakowało wszystkiego. Kuzyn kupił całą świńską głowę, ozdobioną wysuniętym i zawadiacko ułożonym w bok językiem. Później w jego domu, pierwszy raz w życiu, jadłem gotowane świńskie ucho. Było bardzo smaczne, delikatne i chrupiące. Na bazarze z artykułami przemysłowymi Janek kupił farbę do malowania drewna, a ja dla cioci Zosi czajnik elektryczny. Tuż za miasteczkiem inspekcja ochrony przyrody sprawdziła spaliny w naszym samochodzie - było ok.

Krowy mają pierwszeństwo

Sobotniki, niedziela po św. Władysławie. Popołudnie. Pojechałem rowerem na cmentarz. Przedemną, blisko mostu na Gawii, szło stado krów na pastwisko. Pośrodku niego bardzo wolno poruszała się autobus z Żemłosławia do Iwia. Ponad krowimi zadkami widoczny był jego tył, a właściwie tylko górna połowa. Krowy miały pierwszeństwo i chyba same były przekonane o swojej wartości i wyższości nad tym dziwadłem, które nie daje odżywczego mleka, a jedynie wydziela jakieś śmierdzące i trujące gazy.

Kobieta z telefonem

Minąłem młodą kobietę podganiającą żwawym krokiem swoją karmicielkę do stada. Ubrana była w niebieski podkoszulek z szerokimi ramiączkami, pod którym czarny biustonosz osłaniał duże piersi. Spodnie, mocno wyblakłe od intensywnego słońca, zapewne kiedyś były koloru czerwonego. Ich nogawki sięgały jej trochę za kolana i na bokach były rozcięte. Na stopach miała wsuwane podniszczone sandały. W jednym ręku trzymała witkę⁹, którą machała w kierunku krowy, aby szybciej dołączyła do stada. W drugiej ręce miała mabilnik¹⁰ i z kimś rozmawiała. Może dzwoniła do Lipniszek, może do Iwia, Lidy lub Mińska? A może gdzieś na kraniec świata, gdzie był ktoś bliski, z którym trzeba było zamienić kilka ciepłych i serdecznych słów?

Spływ Gawią

Latem ubiegłego roku wraz z kuzynem Jankiem spłynęliśmy Gawią z Żemłosławia do Sobotnik. Płynęliśmy dość wygodnym, nadmuchiwanym plastikowym pontonem. Rzeka od środka wyglądała inaczej niż z brzegu i była o wiele piękniejsza. Następnie ja sam popłynąłem od Sobotnik kawałek za Borowiki. Największą dla mnie atrakcją były płochliwe czaple białe i siwe gniezdzące się w pobliżu tej wioski. Tym razem też dwa razy popłynąłem naszą rzeką. Trasa była prawie taka sama, od końca Szarkuć do Sobotnik.

Pierwszy raz załogę pontonu uzupełniali synowie moich stryjecznych kuzynek, Wadim i Sasza. Wzięliśmy sprzęt pod pachy i ruszyliśmy pieszo przez Rybaki na początek spływu. Jakoś zmieściliśmy się wszyscy w pontonie i popłynęliśmy. Dla chłopaków z pewnością była to frajda tym bardziej, że oglądając piękne i różnorodne widoki trafiliśmy na kaczą rodzinę. Była to pani kaczka z dwunastoma maluchami. Niechcący gnaliśmy je przed sobą a one, co pewien czas, to nurkowały na kilkanaście sekund pod wodę, to zrywały się jak do lotu i trzepocząc skrzydłami biegły po jej powierzchni. W pewnym momencie matka jakby przez nieuwagę zostawiła swoje dzieci, a może chciała nas od nich odciągnąć, kierując się w przeciwną stronę. Kiedy przepłynęliśmy obok niej, co chwilę z tyłu nawoływała swoje pisklaki. Już się obawiałem, że się zgubią, gdyż maluchy płynęły ciągle przed nami. Nagle kaczka poderwała się do góry, przeleciała nad

nami i zwodowała pośród swojej gromadki. Więcej ich nie zobaczyliśmy. Być może schowały się w szuwarach, a kiedy nasz ponton przepływał obok, zanurkowały pod wodę dla większego bezpieczeństwa.

Po przepłynięciu kolejnego zakola Gawii, ujrzeliśmy przed nami żywą przeszkodę. Kilkanaście krów z pasącego się nad brzegiem stada stało do połowy zanurzone w wodzie i chłodziło się. Zdumione tak niezwykłym dla nich widokiem, jak nasz żółty ponton, zwierzęta przerwały na chwilę swe bezustanne przeżuwanie. Następnie bardzo niechętnie usunęły się pod brzeg, robiąc naszej fregacie otwartą drogę do dalszej ekspedycji.

Dwa dni później popłynąłem tylko z Wadimem, ale nie pontonem, lecz dwuosobowym, nadmuchiwany czerwonym kajakiem, który również przywoziłem z Poznania. Płynęliśmy szybciej niż poprzednio, niestety tylko fragmentami rzeki, tak niski był poziom wody. Zostało to spowodowane przez podniesienie tamy w Żemłosławiu, gdzie w latach pięćdziesiątych utworzono na Gawii sztuczne jezioro i wybudowano niewielką elektrownię wodną. Miejskami wysiadaliśmy z kajaka i ciągnęliśmy go za sobą. Taki przerywany spływ miał też swoją dobrą stronę, gdyż można było dokładniej przyjrzeć się dnu Gawii. Znaleźliśmy ciekawe miejsce w połowie drogi między Szarkuciami i Rybakami, gdzie dno rzeki było wyłożone drobnymi, kolorowymi kamyczkami. Nie wyglądały one na dzieło natury, ale na pozostałość wytworów rąk ludzkich z dawnej przeszłości.

Deszcz na kolonii

Upalne dni przechodziły jeden za drugim. Słońce prażyło i nie było gdzie się przed nim schować. Komunikaty pogodowe, za którymi każdy mieszkaniec naszej gminy codziennie śledził, jakby uprawiał wielohektarowe gospodarstwo, a nie parę sotek¹¹ ziemi koło chaty i kilkanaście innych otrzymanych w dzierżawie od kołchozu, nie przewidywały opadów i ochłodzenia.

Było późne popołudnie. Niewielkie kopy siana suszyły się w pobliżu domu dziadka Jana. Poszedłem do sadu. Niebo nad wysokimi drzewami od strony rzeczki Łyntupki miało kolor szary. Na coś się zanosilo, a może i nie, gdyż pozostała część nieboskłonu była błękitna z zaledwie kilkoma żeglującymi po nim białymi chmurkami.

Wtem do moich uszu doszedł jakiś szum. Nie mogłem go początkowo zlokalizować. Wzmagał się, przybierał na sile i po chwili już wiedziałem skąd nadchodził. Biegł do nas od Łyntupki jak sprinter na olimpiadzie. I już nas dopadł! W pierwszej chwili wydawało mi się, że jest to grad, przed którego zimnymi i bolesnymi kulkami odruchowo schowałem głowę w ramiona. Na szczęście, to nie był grad, lecz duże i ciepłe krople deszczu, które błyskawicznie atakowały nas z góry.

- Przykrywać kopy! - krzyknął wujek Władek.

Biegłem od kopy do kopy siana, narzucałem na nie kawałki folii i przyduszałem gałęziami. Ogarnęło mnie wielkie uczucie radości i było mi bardzo przyjemnie. Wcale nie chciałem się chować, jak to bywa przed zwykłym deszczem. Wyciągnąłem ręce do nieba i tak szedłem do domu, obmywany przez tysiące kropel wody, owiewany chłodniejszym wiatrem. Deszcz stawał się coraz mniej intensywny, jeszcze siąpił, później tylko kroił. W końcu odszedł gdzieś w siebie tylko wiadomą stronę, a ja zdjąłem sandały i bosymi stopami przechadzałem się po mokrej trawie.

Krótko w Trokielach

Na parę godzin pojechałem do diecezjalnego sanktuarium Maryjnego Grodzieńszczyzny w Trokielach. Na dworcu autobusowym w Lidzie pierwszy raz zdarzyło mi się, że kasjerka zapytała mnie o pozwolenie na wjazd do przygranicznej strefy z Litwą, w której znajdowały się Trokiele. Miałem takie w związku z pobytem w Sobotnikach, które leżały jeszcze bliżej tej granicy, bo zaledwie siedem kilometrów.

Był czwartek 6 lipca, dzień przed docieraniem do Trokiel pierwszych pielgrzymek i nocnym czuwaniem młodzieży. Główne uroczystości odbyły się w sobotę 8 lipca, jak już zwykle w drugą sobotę tego miesiąca. Z tej okazji do kościoła została sprowadzona kopia Całunu Turyńskiego¹², którą pokazał mi kustosz sanktuarium, ksiądz Paweł Goliński. Następnie zawitała ona do innych dekanatów. Była także w dekanacie Iwie i w moich Sobotnikach.

Na koniec Grodno

Tego samego dnia wracałem z Grodna do Polski i wreszcie miałem trochę czasu, aby przyjrzeć się temu miastu. Ale właściwie było to zaledwie jego dotknięcie w biegu. Może przy następnej podróży uda się zobaczyć więcej. Stara zabytkowa część Grodna zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Była zadbana, czysta i przyjemna. Może brakowało jeszcze więcej miejsc, gdzie można by usiąść i odpocząć, wypić zimne piwo, przyjrzeć się życiu ulicy i zastanowić się nad dalszym zwiedzaniem miasta.

I to już był koniec mojej drugiej wizyty na ziemi rodzinnej, na ajczyinie¹³, na baćkowszczyźnie. W czwartek 6 lipca stuknęło mi czterdzieści dziewięć lat, ale nikt tego dnia nie ciągnął mnie za uszy¹⁴.

Białoruś po raz trzeci

(8-15 września 2006)

Droga

Piątek 8 września 2006 roku. Stało się tak, jak tego chciałem i pragnąłem. Kolejny raz pojechałem na Białoruś. Jak zwykle pierwszy etap mojej podróży przebiegał z Poznania do Białegostoku. Pokonałem go bez przesiadki pociągiem Tanich Linii Kolejowych. Rzeczywiście były to tanie linie, gdyż za normalny bilet drugiej klasy z rezerwacją miejsca, zapłaciłem tylko pięćdziesiąt sześć złotych.

Tego dnia nie było bezpośredniego połączenia autobusowego Białystok-Lida. Pojechałem wprawdzie do Grodna, a tam przesiadłem się do innego autobusu. Na granicy w Bruzgach, już po białoruskiej stronie, podejrzliwy pogranicznik długo oglądał moją polisę ubezpieczeniową, którą wykupiłem w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Warta”. Na szczęście okazało się, że jest w porządku.

Wjechałem do Grodna. Podczas przejazdu przez miasto jak zwykle wypatrywałem Niemna. Kiedy był już w dole pod mostem, szybko spoglądałem to w lewą, to w prawą stronę, aby jak najwięcej uchwycić wzrokiem z mijanego krajobrazu. Najbliższa naszym uczuciom rzeka za granicami Polski i bliska w rzeczywistości. I jeszcze bliższa odkąd Kanał Augustowski został otwarty po białoruskiej stronie. Do Lidy dojechałem wieczorem. Wziąłem taksówkę i po piętnastu minutach dzwoniłem do mieszkania cioci Władzi, najmłodszej siostry mojej mamy.

Sobotniki

Następnego dnia rano pojechałem autobusem do rodzinnych Sobotnik. W niedzielę po mszy świętej stanąłem przed kościołem z moimi książkami. Większość mieszkańców miasteczka dobrze je znała. Liczyłem jednak na to, że może akurat przyjedzie ktoś nowy odwiedzić swoich krewnych, albo zjawią się jacyś niespodziewani goście?

No i proszę, pojawili się! Wycieczka z nadniemeńskiej Brzozówki, znanej z huty szkła „Niemien”, założonej przez Wilhelma Krajewskiego i Juliusza Stolle w 1891 roku. Niewielkim autobusem przyjechały osoby w średnim wieku, wśród których znajdowało się kilkoro młodych ludzi. Wszyscy pięknie mówili po polsku. Zwiedzili nasz kościół i jego podziemie, a ja sprzedałem im kilkanaście książek, obowiązkowo z pamiątkowym autografem. Następnie rodacy udali się do pobliskiego Żemłostawia, dawnej rezydencji Umiastowskich, obejrzeć pałac i zachowane budynki byłego majątku.

Po obiedzie wzięłem od kuzyna Janka rower i pojechałem na sobotnicką kolonię koło wioski Dowgiałowszczyzna. Musiałem odwiedzić ciocię Zosię, drugą siostrę mojej mamy i moją chrestną. Jak zwykle zrobiłem spacer po sadzie założonym przez dziadka Jana i nie mogłem się nadziwić rozrastającej się krainie bobrów na niewielkiej strudze Łyntupce.

Do miasteczka wracałem wieczorową i burzową porą. Było bardzo parno i duszno. Szarobiałe kłębiaste chmury pokrywały niebo. Z Łyntupskiej Drogi dostrzegłem wspaniałą tęczę nad Sobotnikami. Niedawno, gdzieś tam blisko za nimi, może już po litewskiej stronie, przechodziła gwałtowna burza. Urzeczony niespotykanym widokiem naszej świątyni, zatrzymałem się w centrum miasteczka. Na czerwonej cegłę kościoła zachodzące słońce nałożyło własną barwę czerwieni. Nowy szaroniebieski kolor dachu, niebo z resztkami burzowych chmur i zapadający zmrok, dodały całości niesamowitego i tajemniczego wyglądu.

Jeszcze tylko skok na cmentarz przez most na Gawii, jednej z licznych córek Niemna. Chciałem pokłonić się grobom moich przodków. Było już ciemno, więc pomodliłem się tylko za Kononowiczów: prababcię Michalinę, dziadka Jana, babcię Wiktorię i ciocię Jadwigę.

Jabłonie

W tym roku na Białorusi nad podziw obrodziły jabłonie. Gałęzie młodych drzew uginały się pod ciężarem owoców. Nie ustępowały im dziczki wyrosłe z nasion rozwianych przez wiatr. Obudziły się drzewa posadzone rękoma naszych dziadków. Stare jabłonie wyciągnęły ku słońcu gałęzie pełne życia pośród tych, które już bezpowrotnie obumarły. Przypomniały nam o swoim istnieniu, że jeszcze nie zginęły. Świadczyły o minionych żywotów bliskich nam osób. Nawet drzewa powalone przez wichry i burze, złamane ze starości, które rozpaczliwie uczepliły się gałęziami ziemi i zakorzeniły, wydały owoce. Zachowała się do dzisiejszego dnia ich miejscowa nazwa – polskie jabłka: kosztele, gołąbki, kogutki, cukrówki, szetyнки i wiele innych.

Stare jabłonie. Latami rosły pozostawione i smutne, a właściwie tkwiły jakby uśpione w czujnym i trwożnym oczekiwaniu, aby je nie ścięto i nie wykarczowano. Czasami dawały o sobie nieśmiało znać rodząc pojedyncze owoce. A może właśnie tego roku przyszedł dla nich czas, na który wciąż czekały jak baśniowi rycerze śpiący w skalnej grocie? Na nowo otrzymały życie i śmiały się do mnie ukazując w blasku słońca swoje skarby.

Jabłonie rosną w starych sadach, gdzie jeszcze stoją chaty zamieszkałe przez nieliczne już osoby. Egzystują w opuszczonych siedzibach, świadcząc o niedawnym w nich życiu. Obok umiera zapadnięty ze starości dom lub jest tylko niewielkie podwyższenie, pozostałość po chacie, która gdzieś wywędrowała ze swoimi przeważnie nowymi właścicielami. Stare drzewa rosną swo-

bodnie i mają rozłożyste korony. Są mocno wrosnięte w ziemię, jakby były nierozzerwalnie z nią spojone, a jednocześnie gałęzie mają wyciągnięte ku niebu i słońcu. Jak anteny przekazujące życiodajną energię łączącą naszą planetę z kosmosem.

Kosa

Wrzesień roku 2006. Nie mam zamiaru podawać osiągnięć w rozwoju techniki rolniczej, które nastąpiły chociażby w ostatnich latach czy dziesięcioleciach. Kosa na białoruskiej wsi jest jednak nadal jednym z podstawowych narzędzi pracy w indywidualnych gospodarstwach. Mogłoby się wydawać, że wraz z odejściem naszych ojców i naszym przemijaniem, kosa zostanie odstawiona do lamusa. Ale tak nie jest, skoro uczy się nią posługiwać młodzież męską w szkołach średnich na białoruskiej prowincji, co zaobserwowałem czekając na dworcu autobusowym w Iwiu. A może to jednak dobrze, że młodzi ludzie praktycznie poznają jedno z historycznie najważniejszych narzędzi związanych z pracą człowieka na roli? Może przez to nauczą się szacunku do tradycji i ciężkiej fizycznej pracy?

Jesień

To już była jesień. Pojedyncze liście spadały na moją głowę i pierwsze nitki babiego lata przadł wiatr. Zebrany w snopki jasnobrązowy len dosuszał się na żemłosławskich polach. Cały sierpień i początek września padało. W lasach obrodziły grzyby, których amatorem zbierania jest każdy mieszkaniec Białorusi. Ale było też więcej kleszczy niż zazwyczaj. Przezorniejsi zbieracze po jednym, dwóch wypadach do lasu i przyniesieniu kleszczy do domu, kończyli dalsze grzybobranie.

Wykopki

Od dawna jest tradycją, że kiedy nadejdzie wrześnieowa pora, to cała Białoruś kopie ziemniaki. Prawie każdy mieszkaniec miasta ma rodzinę na wsi, którą wspomaga w tej fizycznie ciężkiej i bardzo ważnej pracy. Na Grodzieńszczyźnie ziemia jest bardzo kamienista, mówi się o niej, że rodzi kamienie, co bardzo utrudnia zbieranie ziemniaków nawet przy pomocy kombajnów. Mieszkańcy wsi sadzą kartoflane bulwy na działkach przyzagrodowych i niewielkich arealach od trzydziestu do osiemdziesięciu sotek, które otrzymują od kołchozu w formie nieodpłatnej dzierżawy. Wykopki przeprowadzają głównie pługiem konnym. Można wynająć kogoś, kto ma swój traktor, ale takich jest niewiele. Można również skorzystać z usług świadczonych przez kołchoz. Zmechanizowana praca jest jednak kosztowna, nie zawsze opłacalna i nie każdego na nią stać. Ziemniak to jeden z najważniejszych produktów żywnościowych w życiu wsi i miasta.

Czas wykopków na Białorusi ma zalety dla tych ludzi, którzy mają coś do załatwienia w urzędach. Jest tam swobodniej i luźniej z powodu mniejszej ilości petentów. Ale i urzędnicy również mają rodziny na wsi i też spieszą im z pomocą przy kopaniu ziemniaków. Czasami powoduje to sytuacje o komediowych komplikacjach.

Będąc kiedyś w tym okresie w Lidzie poszedłem zarejestrować się na milicji. Niestety nie mogłem tego uczynić, gdyż na drzwiach wydziału paszportowego wisiała kartka z napisem: „Dzisiaj zamknięte z powodu wyjazdu na kopanie ziemniaków”.

Świat

Na Białorusi coraz bardziej przemija świat naszych rodziców, a świat dziadków już dawno odszedł. Podczas moich wizyt widziałem wymierające chutory, kolonie i wsie. Ich mieszkańcy doszli już do kresu swojej drogi i tylko oczekują, aż zostaną powołani przez Pana do niebiańskiego lepszego życia. W latach powojennych wiele osób nie potrafiło odnaleźć się w sowieckiej, teoretycznie wyidealizowanej rzeczywistości. Ludzie ci popadli w alkoholizm trudny do wyleczenia w białoruskich warunkach.

Łuniniec

Miałem mało czasu, więc pojechałem tylko na jeden dzień do kuzyna Tadeusza, do Łunińca w obwodzie brzeskim. Chciałem przede wszystkim odwiedzić siostrę mojego taty, ciocię Janinę, którą córka Irena wzięła z Sobotnik do siebie, do wioski Sienkiewiczze. Samej Irki nie widziałem chyba ze dwadzieścia lat. Irka była najmłodszą z czworga rodzeństwa. Następnym w kolejności był Janek, starszy ode mnie o rok, potem Kazik, który mieszkał w wiosce Sałgucie blisko Iwia, i najstarszym był Tadeusz.

Pociąg relacji Grodno-Homel przez Łuniniec odjeżdżał z Lidy o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia sześć. Na dworcu czyhunki¹⁵ byłem godzinę wcześniej. Kupiłem bilet płackart¹⁶ i poszedłem do poczekalni. Podróżnych było zaledwie kilku. W dworcowym sklepiku, obsługiwanym przez młodą i ładną blondynkę, zamówiłem lidzkie piwo Żygulowskie i przeglądając gazetę zostawioną na stoliku oczekiwałem na pociąg. Wreszcie przyjechał ze spalinową lokomotywą na czele. Jak napisano na moim bilecie, był to ekspres. Przed każdym wagonem stała jego opiekunka, która sprawdzała bilety wchodzącym pasażerom. Za równowartość trzech złotych zamówiłem pościel i ukołysany w rytm jazdy, smacznie przespałem całą podróż.

Z Lidy do Łunińca jest około dwustu dziesięciu kilometrów i mój ekspres pokonał tę odległość w cztery godziny. Niemen przejechałem w Sielcu. Następnie była Nowojelnia, gdzie w przedwojennej Polsce znajdowało się największe sanatorium klimatyczne na pięćset łóżek. Dalej były Mołczadź i Baranowicze. Wreszcie wjechałem w poleską krainę. Pierwszym przystankiem były Hancewicze, a kolejnym Łuniniec. Tadeusz już na mnie czekał. Wsiadliśmy do samochodu i po dziesięciu minutach byliśmy przed blokiem, w którym mieszkał z żoną Marią.

Oboje z zawodu byli lekarzami. On pracował jako neurolog, którego ceniono za profesjonalizm i za bardzo dobre podejście do pacjentów. Maria była anestezjologiem. Ich córka Bożena jeszcze studiowała na ostatnim roku Akademii Medycznej w Grodnie. Była młodą mężatką, a jej mąż odbywał praktykę lekarską w szpitalu w Hancewiczach. Po tej rozbitej nocy nie spałem długo. Zjadłem śniadanie i wyszedłem zwiedzić miasto.

Łuniniec to nieduże, ładne, czyste i przyjemne rejonowe miasto, oddalone o siedem kilometrów od Prypeci. Na ulicach, skwerach, placach i przydomowych ogródkach rosło dużo kwiatów, wśród których przeważały turki. Ulice w Łunińcu były szerokie, a mnie najbardziej podobała się ulica Prypecka. Położona trochę na uboczu, cicha i przestronna, z wieloma starymi drewnianymi domami ozdobionymi ciekawymi elementami stolarskiej snycerki. W płot przed jednym z nich wcepiła się wieloma pędami dynia, ukazując przechodniom jasnożółte owoce.

W centralnej części miasta znajdowały się dworce kolejowy i autobusowy, wielobranżowy rynek handlowy, dom towarowy oraz inne mniejsze sklepy. Przed rynkiem akurat można było kupić świeże karasie sprzedawane prosto z samochodu, zjeść kawałek szaszłyka zapijając go piwem, którego wybór był spory. Dominowała produkcja z browaru w Brześciu, ale było też zachwalane piwo z Rzeczycy, z uznanego browaru w Lidzie, a nawet czeski Wielkopopowicki Ko-

ziel. Obok rynku stał nowy budynek kościoła ewangelickiego, a trochę dalej przedwojenny kościół katolicki pw. św. Józefa.

Katolików, a w domyśle Polaków, było w Łunińcu około czterdziestu. Dlatego nie mieli oni stałego duszpasterza i ksiądz dojeżdżał do nich z Hancewicz. Posługę kapłańską wśród wiernych sprawował pochodzący z Iwia Oleg Szpieć. W 2005 roku ukończył on seminarium chrystusowców w Poznaniu i został pierwszym wyświęconym na księdza chrystusowcem z Białorusi. Uczestniczyłem w jego święceniach i prymicji, które odbyły się w Iwiu, a całe to uroczyste wydarzenie opisałem w książce pt. „Białoruskie podróże”. Największą świątynią w Łunińcu była cerkiew pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Znajdowała się w innej części miasta, ale w sumie też niedaleko od centrum.

Po obiedzie pojechaliśmy do Sienkiewicz, oddalonych od Łunińca o trzydzieści osiem kilometrów. W tej części Polesia wszystkie drogi były asfaltowe i szerokie. Wioski, przez które przejeżdżaliśmy: Jazewki, Jażwinki, Witycze, Cna i Drewsk wyglądały na większe, czy też szerzej rozłożone niż u nas na Grodzieńszczyźnie. Ziemia na Polesiu nie rodziła tyłu kamieni i była bardziej urodzajna. Wiosna przychodziła tam prędzej, a rolnicy wcześniej zbierali swoje plony.

Sienkiewicze były dużą prawosławną wsią z drewnianą cerkwią pw. św. Jerzego. Kuzynka mieszkała na skraju wioski o rzut kamieniem od rzeki Łań, wpadającej do Prypeci. Spotkałem się wreszcie z ciocią Janką, którą zawsze miałem pod ręką ilekroć byłem w Sobotnikach. Nasze bezpośrednie kontakty ustały, od kiedy zamieszkała w Sienkewiczach. Irka była jeszcze w pracy. Miała się zwolnić wcześniej z okazji mojego przyjazdu, więc udaliśmy się po nią do Mikaszewicz. Odległość szesnastu kilometrów przejechaliśmy dobrą międzynarodową drogą prowadzącą prosto do Homla, a stamtąd było już blisko do Rosji i Ukrainy. Przed miastem minęliśmy ukryte za koronami drzew wysokie hałdy odpadów z granitowego urobku.

Mikaszewicze słynęły na Białorusi z wydobycia granitu, którego złoża ciągnęły się także w kierunku Sienkiewicz. Niedawno miejscowość ta uzyskała prawa miejskie dzięki swojemu rozwojowi właśnie na bazie granitu. Działało tam wiele firm, które zajmowały się jego obróbką z przeznaczeniem do różnych celów budowlanych. Ludzie w Mikaszewiczach, których praca związana była bezpośrednio z granitem, zarabiali bardzo dobrze, jak na białoruskie realia. Dobre pobory mieli także ci mieszkańcy, którzy pracowali w innych zawodach i branżach. Nawet w miejscowym kołchozie, gdzie dojarka otrzymywała pensję około dziewięciuset tysięcy białoruskich rubli, czyli około tysiąca trzystu złotych. Taką wypłatę odbierał wówczas w Łunińcu lekarz specjalista z wieloletnim stażem.

Wróciliśmy do Sienkiewicz. Ciocia już energicznie krzątała się po kuchni, przyrządzając smaczkowite dania z okazji rodzinnego obiadu i wizyty gościa z Polski. Kiedy wszystko było już gotowe usiedliśmy za stołem. Wznieśliśmy toast za wspólne spotkanie, a dalej toczyły się zwykłe rozmowy.

Kuzynka przez większość lat swojego zawodowego życia pracowała na stanowisku agronoma w miejscowym kołchozie. Dwa lata temu zmieniła posadę i zatrudniła się w prywatnym sklepie z damską bielizną, firankami i zasłonami w Mikaszewiczach. Była to dla niej o wiele lżejsza i nie gorzej płatna posada. Mąż Irki, inżynier radiotechnik, pracował na pobliskiej stacji radiowo-telewizyjnej. Mieli dwie córki, Karolinę i Weronikę. Karolina chodziła do ostatniej kasy liceum w Łunińcu, gdzie mieszkała w internacie. Należała do wyróżniających się uczniów. Szczególnie interesowały ją informatyka i komputerowe programy graficzne. Dobrze знаła też języki, polski i angielski. Po swojej mamie odziedziczyła energię i ciągły uśmiech na twarzy. Weronika chodziła do siódmej klasy szkoły podstawowej w Sienkiewiczach. W odróżnieniu od swojej siostry była spokojna i trochę nieśmiała, a swoich zainteresowań nie miała jeszcze sprecyzowanych.

Nauka w państwowych wyższych szkołach na Białorusi jest na ogół bezpłatna. Jednak dla nie-

zbyt zamożnych rodziców wysłanie dwójki dzieci na uczelnię przerasta ich możliwości finansowe. Nawet studia jednego dziecka są dla rodziny dużym obciążeniem. Często na pokrycie miesięcznych kosztów nauki i życia studenta musi być przeznaczona jedna z pensji rodziców. Przeważnie są one niewysokie w stosunku do cen obowiązujących na Białorusi.

Do Łunińca wracaliśmy wieczorową porą. Nie kluczyliśmy już przez wioski, ale mknęliśmy tą samą międzynarodową drogą, która tuż za Mikaszewiczami miała połączenie z Mińskiem, a prosto wiodła do Brześcia. Podczas jazdy, gdzieś po prawej stronie drogi, obserwowałem cudowne zjawisko. Były to wieczorne mgły unoszące się miejscami nad ziemią. Wyglądały jak cienkie, delikatne obłoczki o barwie biało-szarej, może z odrobiną niebieskiego koloru. W jednej z mijanych mgiełek zauważyłem stado krów, które za niedługo miały wracać z popołudniowego wypasu. Zwierzęta były częściowo zanurzone w tej mleczej szarości, co nadawało całemu obrazowi tajemniczego i baśniowego wyglądu.

Lida

14 września, czwartek. Odpust w najstarszej lidzkiej świątyni pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Kościół, zwany farnym, został ufundowany przez króla Władysława Jagiełłę w 1387 roku. Była piękna wczesnojesienna pogoda. Chociaż największe święto parafialne przypadło w dzień roboczy, to już w wigilię uroczystości została odprawiona pierwsza msza święta, a w czwartek były ich cztery. Na wszystkich tych mszach wiernych było tak dużo, że nie mieścili się oni w murach kościoła. Za zgodą księdza proboszcza ustawiłem skromne stoisko z książkami mojego autorstwa. Obok mnie inne osoby oferowały dewocjonaalia i święte obrazy. Sprzedałem kilka egzemplarzy „Białoruskich podróży” z dedykacjami dla pań pięknie mówiących po polsku. Uroczysta suma odpustowa o godzinie trzynastej zakończyła się procesją wokół świątyni. Znajdowała się ona przy ruchliwej ulicy Sowieckiej, dawnej Suwalskiej, z której hałas uliczny trochę przeszkadzał uroczystościom. Budującym dla mnie widokiem był umundurowany milicjant, który przeciskając się przez zgromadzony na zewnątrz tłum zdjął czapkę z głowy.

Trokiele

Był już piątek, kiedy wcześnie rano pojechałem na parę chwil do Trokiel autobusem relacji Lida-Gieranony. To zaledwie siedemnaście kilometrów na północny-wschód od miasta, ale już w rejonie woronowskim. Jeżeli chodzi o narodowość był to najbardziej polski rejon na Białorusi. Według oficjalnych statystyk ponad osiemdziesiąt procent jego mieszkańców, przyznawało się do polskości i polskiego pochodzenia.

Trokiele, wieś i diecezjalne sanktuarium Maryjne pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, jak zwykle były ciche i puste o tej porze dnia i roku. Dwa miesiące wcześniej, w drugą sobotę lipca, Trokiele zaludniły się kilkoma tysiącami pielgrzymów przybyłych z całej Grodzieńszczyzny, żeby pokłonić się Matce Bożej z okazji jej święta.

Powrót

Tego samego dnia wracałem do Polski pociągiem z Grodna. Znowu wypatrywałem Niemna. Płynął głębokim jarem i był bardzo nisko pod mostem kolejowym. Za sobą na Białorusi zostawiałem pierwsze zapachy jesiennych liści, utkane nitki babiego lata, tasiemki mgieł na poleskich polach i pszeniczno-lniane włosy kobiet. Do domu jak zawsze zabrałem tęsknotę za ziemią rodzinną, za baćkowszczyzną, za ajczyną.

Sakawik 2007

(15-24 marca 2007)

15 marca, czwartek

Imianiny Arsena, Fiadota, Liudwiki

Jeżeli na Fiadota są zamiecie i tworzą się śniegowe zaspasy, to wiosną późno wszędzie trawa.

Białoruska nazwa miesiąca marca - sakawik, bardzo trafnie oddaje stan przyrody w tym okresie. Wyczuwa ona nadchodzącą wiosnę i przygotowuje się na jej powitanie. Życiodajne płyny zaczynają krążyć w uspionych w czasie zimy drzewach i jest to czas, kiedy mieszkańcy białoruskiej ziemi spuszczają sok brzozowy z tych pięknych drzew.

Z Poznania, miasta ponad sześćsettyśięcznego, przeskok w ciągu jednego dnia na Białoruś przejściem drogowym Kuźnica Białostocka-Bruzgi. Blisko po obu stronach granicy były takie same drewniane chaty, pola i drzewa. Rzeka Łosośna też była taka sama, ale jej wody płynęły tylko w jednym kierunku - do Niemna. Odczuwałem jednak inny zapach powietrza, choć raczej było to moje wrażenie związane z przekroczeniem granicy. Zobaczyłem inną wiosenno-letnią zieleń, bardziej soczystą niż u nas. Inne też było państwo, chociaż historycznie i obecnie bardzo nam bliskie. Inny język, a jednak zrozumiały, przyjazny i ciepły. Inna rzeczywistość, ale niezawiniona przez mieszkańców tej ziemi. A przecież ziemia pozostała ta sama, te same miasta, miasteczka i wioski o swojsko brzmiących nazwach. Te same stare groby na cmentarzach, poprzeplatanie współczesnymi pochówkami.

Stutysięczne miasto Lida, Sobotniki z siedmiuset mieszkańcami i w końcu sobotnicka kolonia koło wioski Dowgiałowszczyzna, gdzie żyło tylko kilka osób. Prawie osiemset kilometrów dzieliło Poznań od tego miejsca. Dwa światy. Życie i przemijanie. Trwanie i odchodzenie. Zarastanie. A wszystko kiedyś miało być inaczej. Kiedy? Przed wojną.

Jechałem rejsowym autobusem relacji Białystok-Mińsk przez Lidę, w którym było zaledwie czternaście osób. Razem ze mną podróżował jeden pan z Zielonki koło Warszawy. Udawał się do niewielkiego miasta, którego nazwa w Polsce była przed wojną powszechnie znana - Smorgonie. Smorgońskie obwarzanki na Wileńskim Kaziuku. W tym mieście, w 1934 roku, było cztery tysiące czterystu mieszkańców i osiemdziesiąt piekarń wytwarzających różnorodne obwarzanki zwane też suszkami. I chociaż obwarzanki były rodem z Małopolski, to właśnie te smorgońskie zdobyły największą popularność i uznanie w latach międzywojennych.

Podjechaliśmy do przejścia granicznego. Po naszej stronie czekaliśmy czterdzieści minut. Po stronie białoruskiej, po sprawdzeniu paszportów, pozostała tylko kontrola celna. Minęła jedna godzina i nic się nie działo. Minęła kolejna godzina i wyglądało na to, że zapomniano o nas. Nie wytrzymała jedna z pasażerek wracających do Mińska i wbiegła do budynku tamozni¹⁷. Nie wiem, jakich użyła słów i argumentów, ale po chwili zjawili się ukryci dotąd celnicy i odprawili nas w ciągu kwadransa. Otrzymaliśmy jeszcze krótką instrukcję na temat zagrożeń, jakie niesie ptasia grypa i mogliśmy jechać.

Niespodziewanie w Grodnie musieliśmy przesiąść się do innego autobusu, którym ruszyliśmy w dalszą podróż. Zmęczony długą i uciążliwą podróżą, zasnąłem. Obudziłem się dopiero na przedmieściu Lidy. Była późna godzina i zrobiło się ciemno. Pożegnałem się z rodakiem, który poszedł na dworzec kolejowy. Miał przed sobą czas oczekiwania na pociąg i około stu dwudziestu kilometrów drogi. Zanim dotarł do Smorgoń minęło kilka dobrych godzin.

Zadzwoeniłem po radio taxi firmy 44444. Miałem jej karnet, który po dziesięciu przejazdach upoważniał do jedenastego lihotnego¹⁸. Cena kursu w mieście była stała i wynosiła pięć tysięcy

białoruskich rubli za kurs. Jeden dolar to wówczas było około dwa tysiące sto czterdzieści białoruskich rubli. Podjechaliśmy pod blok, w którym mieszkała ciocia Władzia. Wyciągnąłem banknot o nominale pięćdziesięciu tysięcy rubli, ale okazało się, że młody taksówkarz nie miał wydać reszty. Machnął ręką i powiedział:

- Zapłacisz przy okazji.

16 marca, piątek

Imianiny Zianona, Izabely

Nazajutrz rano, za dobrą radą cioci Władzi, zostawiłem u niej bagaż i wpieryw pojechałem zarejestrować się na milicji w Iwiu. Lidzki autobus jechał do Iwia przez Lipniszki. Największą wsią po drodze była Berdówka. Ze względu na prace drogowe objechaliśmy ją z drugiej strony. Zauważyłem jakieś stare i z pewnością przedwojenne budynki. W Berdówce za polskich czasów działała Szkoła Rolnicza należąca do Sejmiku Lidzkiego¹⁹, która znajdowała się w dawnym pałacu Zachwatowiczów. Prowadzono w niej roczne bezpłatne kursy dla starszej młodzieży męskiej. Nauczano na nich rolnictwa, hodowli, sadownictwa i warzywnictwa oraz przedmiotów ogólnych. Przed wojną w Berdówce była też państwowa stacja ogierów. Autobus wyjechał na główną drogę i od razu po lewej stronie, w gładkiej tafli jeziora na rzeczce Berdówce, ujrzałem odbicie budynku kościoła pw. św. Trójcy. Ta niewielka wznoszona od paru lat świątynia, zastąpi tymczasową drewnianą kaplicę.

Przejechaliśmy most na Żyźmie i po paru minutach, też po lewej stronie, ukazała się widoczna z daleka wysoka i smukła wieża lipniskiego kościoła pw. św. Kazimierza. Został wybudowany w stylu neogotyckim z cegły i obłożony z zewnątrz kamiennymi blokami. To go odróżniało od większości kościołów na Grodzieńszczyźnie, które powstały w tym stylu z czerwonej cegły na przełomie XIX i XX wieków. W Lipniskach, w roku 1894, Józef Piłsudski w tajnej drukarni współtworzył gazetę „Robotnik”, organ prasowy Polskiej Partii Socjalistycznej. Wydano tutaj tylko sześć numerów pisma, gdyż po dekonspiracji drukarni przeniesiono ją w inne miejsce. Z Lipnisk do Sobotnik było zaledwie szesnaście kilometrów.

Wyjechaliśmy z miasteczka. Za chwilę był most na Gawii, wioska Gawia i stacja kolejowa Gawia. To stąd 10 lutego 1940 roku, kiedy od czterdziestostopniowego mrozu pękały drzewa, a śnieg leżał równo z płotami, odjeżdżały z rejonu Iwie pierwsze transporty Polaków zesłanych na Sybir i do Kazachstanu. Po kilku minutach dalszej jazdy znalazłem się w Iwiu.

Pierwszą osobą, jaką spotkałem zaraz po wyjściu z autobusu była Maryna Kiewra z sobotnickiej kolonii koło Dowgiałowszczyzny. Razem z nią chrzciliśmy Janę, córkę mojego kuzyna Witka. Maryna przyjechała do Iwia załatwić jakieś dokumenty. Kończyła w Mińsku studia z zakresu kulturoznawstwa i miała pracować w Domu Kultury w Juraciszkach. Gmina Juraciszki sąsiadowała z naszą gminą, a miasteczko było oddalone od Sobotnik piętnaście kilometrów. Dość szybko przeszedłem procedurę rejestracyjną i mogłem jechać z powrotem.

Do Lidy wracałem autobusem relacji Grodno-Smorgonie. Była to inna trasa, krótsza od tej, którą przyjechałem. Prowadziła wygodną szeroką jednopasmówką i też przecinała rzekę Gawię. Niedaleko mostu na Gawii leżała wioska Biskupce, w której urodziła się współczesna białoruska poetka Danuta Biczel. Jej poezja ma wyraźny rys religijny, katolicki, a ja mam jej zbiorek wierszy pt. „Na białych obłokach snów” kupiony kilka lat temu na Trokielance²⁰.

Parę kilometrów przed Lidą jak zwykle wypatrywałem mszaru zwanego też rojstem, który znajdował się po prawej stronie drogi na wysokości wioski Ogrodniki. Kiedy pisałem te słowa sięgnąłem do I tomu „Anody i Katody” Melchiora Wańkowicza, żeby przypomnieć sobie zdjęcia mojego znanego ziemiaka stojącego na kładce pośród jelniańskich²¹ mszarów. Przede mną na

horyzoncie, z oparów unoszących się nad pasemkami wody, wpierw wyłoniły się rachityczne drzewka. Ten obraz szybko zbliżał się do drogi i po minucie, dwóch, obserwowałem ciekawy widok - rzadko porośnięty lasek poprzecinany wodnymi kanałami. Miejscami widać było nieregularne oczka z ubogimi brzoškami, których nieśmiało spoglądały w moją stronę. Na brzegu tuż przy drodze stało kilka samochodów, a na wodzie unosiły się dwa pontony z nieruchomymi sylwetkami wędkarzy.

W Lidzie nie wysiadłem blisko osiedla, na którym mieszkała ciocia Władzia, ale na dworcu autobusowym, ponieważ chciałem wcześniej kupić bilet na wieczorny kurs do Sobotnik. Był piątek i jak zwykle więcej osób jechało na dwa wolne dni do swoich rodzin. Kasjerka słysząc nazwę Sobotniki zapytała mnie, czy mam sprawkę²² na wjazd do strefy przygranicznej, w której znajdowało się moje miasteczko. Wyciągnąłem otrzymany w Iwiu kawałek papieru, pomachałem nim przed kasowym okienkiem i po chwili miałem bilet w rękę.

Na dworze zrobiło się szaro, kiedy stanąłem z ciocią na przystanku autobusowym na żądanie niedaleko jej bloku mieszkalnego. To już były roгатki Lidy. Raz czy dwa zdarzyło mi się, że nie wsiadłem w tym miejscu do autobusu. Był tak przepełniony, że kierowca zignorował moje machanie ręką. Tym razem zatrzymał się. W ciemnym wnętrzu pojazdu paliły się tylko światełka w kabinie kierowcy. Ruszyliśmy. W mroku wypatrywałem sylwetek pasażerów, głównie młodych ludzi, którzy na zapiątek²³ jechali do rodzinnych domów, gdzie czekał na nich ktoś bardzo bliski i serdeczny.

Podróż autobusem do Sobotnik umownie dzielę zawsze na dwie części. Lida-Lipniszki i Lipniszki-Sobotniki. Za Lidą wpierw są Nowosiółki, następnie Dubrowna, Ogrodniki, Nieciecz, Kossowszczyzna, Ścierkowo, Berdówka, Bakuny, Kirianowce, Wielkie Kniazikowce, Ściganie i Lipniszki. Za Lipniszkami z pamięci odczytuję nazwy kolejnych wiosek, przez które przejeżdżam: Zygunciszki, Kamienczany, Centralna, Nackowicze, Czechowce, Borowiki. Za Borowikami już są Sobotniki, a cztery kilometry za nimi przystanek końcowy w Żemłosławiu. Z Żemłosławia do granicy z Litwą są trzy kilometry, a dalej przez Szajdziuny, Dziewieniszki i Soleczniki Małe do Wilna, do Pani Ostrobramskiej. Z Sobotnik to niecałe osiemdziesiąt kilometrów.

Żemłosław to dawny duży majątek Umistowskich z zachowanym pałacem w stylu neoklasycyzmu, dwiema oficynami, funkcjonującą z przerwami gorzelnią oraz innymi zabudowaniami gospodarczymi. Umistowscy byli kiedyś właścicielami Sobotnik, wielu okolicznych wsi, folwarków, dużych kompleksów leśnych. Zaliczali się do znamienitszych rodzin w dawnym powiecie oszmiańskim.

Autobus zwolnił i zaczęliśmy jechać, a właściwie toczyliśmy się bardzo wolno. Czyżby nastąpiła jakaś drobna usterka, czy też kierowca pierwszy raz jechał tą trasą? Chyba to drugie, bo na dworze zrobiło się ciemno, a droga nie była oświetlona. W Kamienczanach podeszły do niego dwie młode dziewczyny i chciały kupić bilety na dalszą drogę do Żemłosławia. Były zaskoczone, kiedy poprosił je o okazanie przepustek na wjazd do strefy przygranicznej, która rozpoczynała się od Borowik. One ich nie miały. W Lidzie kupiły bilety tylko do Kamienczan, a dalej chciały postąpić tak, jak to robiło wiele osób - przedłużyć w autobusie podróż do strefy. Z tym kierowcą to się nie udało. Był nowy na trasie i bardzo służbowo podszedł do swoich obowiązków. I ja go rozumiałem, gdyż w razie kontroli pograniczników mógłby mieć nieprzyjemności. Biedne nastolatki musiały wysiąść w Kamienczanach. Do Żemłosławia było stamtąd dwanaście kilometrów i mieliśmy godzinę dwudziestą pierwszą. Czy i jak dotarły one na miejsce? Tego się nie dowiedziałem.

Wjechaliśmy do Sobotnik i serce zaczęło mi żywiej bić, chociaż może nie tak mocno, jak przed laty. Tyle już odbyłem podróży do naszego miasteczka. Ze względu na mój bagaż nie chciałem wysiąść na przystanku przy kościele, ale podjechać kawałek dalej pod ulicę Antokol,

przy której mieszkała moja rodzina. Jednak wypatrywałem w ciemności, czy aby kuzyn Janek nie wyszedł mnie spotkać. Przyszedł! Zauważyłem też szwagierkę taty, ciocię Janinę z rowerem. Czyżby i ona po mnie wyszła? Okazuje się, że nie. Razem ze mną jechała jej córka Alicja i ciocia miała ją spotkać. Tak to przejechaliśmy z kuzynką czterdzieści trzy kilometry w ciemnym autobusie, nie wiedząc, że jedziemy razem.

U Janka zasiedliśmy do późnej kolacji. Był piątek, więc spożywaliśmy potrawy bezmięsne. Jego żona Irka usmażyła draniki, czyli placki ziemniaczane, po poznańsku plendze, najpopularniejszą potrawę na Białorusi. Mnie najbardziej smakują z gęstą kwaśną śmietaną, ale też dobre są z masłem i różnego rodzaju farszami. Gorące, złociste i chrupiące draniki zanurzałem w zimnej śmietanie. Szybko zniknął stos nałożony na mój talerz. Do posiłku wypiliśmy z kuzynem po przysłowiowym „sto gram” i położyliśmy się spać.

Nasze miasteczko Sobotniki

Nazwa „miasteczko” jeszcze funkcjonuje na zachodnich terenach Białorusi. Ma ona w sobie ciepłą i czułą nutę. Płynie ona od naszych przodków z minionych wieków i dziesięcioleci. W naszym sercu jest dla niej miejsce, a nasze usta wypowiadają ją z pieśczęcią niosącą zamyślenie, uspokojenie i tęsknotę.

Miasteczko w Wielkim Księstwie Litewskim, na którego historycznym terenie leżą Sobotniki, było harmonijnym i doskonałym typem osadnictwa usytuowanego między wsią a miastem. Pierwsze i nieliczne jeszcze miasteczka powstały w XIV wieku na finansowej bazie uzyskanej ze sprzedaży lasów. Było to głównie drewno masztowe z wysokich i smukłych sosen, które płynęło rzekami i Morzem Bałtyckim głównie do Anglii. Angielskie okręty królewskiej floty, która pokonała hiszpańską Wielką Armadę w 1588 roku, były zbudowane w znacznej mierze z drewna pozyskanego z lasów i puszczy Wielkiego Księstwa.

W XV wieku administracja książęca zaczęła tworzyć specjalne targi w miejsce tradycyjnych kiermaszy wiejskich. Można na nich było sprzedawać produkty rolne także za pieniądze, a nie jak dotychczas jedynie na drodze wymiany. Targi te powstawały także obok ważnych skrzyżowań dróg i przy większych przystaniach rzecznych. Przyciągały one do siebie nie tylko handlujących, ale także ludzi, którzy chcieli tutaj osiedlić się na stałe. Tak właściwie zapoczątkowana została sieć nowego typu osadnictwa, osobliwych miejsc handlowo-wytwórczych, miejsc życia i pracy, które nazwano miasteczkami.

Rozkwit miasteczek przypadł na okres od drugiej połowy XVI wieku do połowy wieku XVIII, kiedy to nastąpił wyraźny wzrost gospodarki rolnej w Wielkim Księstwie i każdy szlachcic, a nawet instytucja kościelna mogli być ich właścicielami. Po uwłaszczeniu chłopów i rozwoju kolejnictwa, rola istniejących miasteczek, przekaźników i łączników między miastem a wsią, jeszcze bardziej wzrosła. Niektóre z nich, położone nad brzegami spławnych rzek, stawały się centrami handlu międzyregionalnego, jak na przykład Mikołajów nad Niemnem w obecnym rejonie Iwie. Do niego drogami lądowymi i rzecznyymi, docierały produkty rolne z miasteczek wytypowanych na punkty zbiorcze i dalej płynęły Niemnem do Bałtyku.

Miasteczka na linii wieś-miasto-wieś, przenosiły wartości kultury, różnorodną produkcję towarową, nowości wielkiego świata, dodając do tego swój własny niepowtarzalny ryt. Stawały się one także skarbnicami narodowej wytwórczości, specjalizując się w określonej produkcji przedmiotów użytkowych, czy też wykonywaniu określonych usług. Przykładem jest sąsiadująca z Sobotnikami gmina i miasteczko Traby, które w dawnym powiecie oszmiańskim były centrum produkcji sukna i wyrobów z miedzi. W niektórych miasteczkach, podobnie jak w większych majątkach, funkcjonowały gorzelnie i browary, pracowały tartaki, powszechne były młyny wod-

ne. Miasteczka dawały także różnorodną rzemieślniczą produkcję na bieżące potrzeby swoich mieszkańców i najbliższej okolicy, gminy i parafii.

Miasteczka spełniały także istotną rolę centrów oświatowo-kulturalnych. Zakładano w nich początkowe szkoły wiejskie i parafialne, obejmujące swym zasięgiem również pobliskie wioski. Niektóre miasteczka były wielonarodowościowe, a dzięki temu wielokulturowe, co je ubogacało i dodawało im ciekawego kolorytu. W rejonowym Iwiu jeszcze przed II wojną światową razem mieszkali Żydzi, Polacy i Tatarzy.

Co do swojej publicznie ważnej roli, miasteczka mało ustępowały miastom. Dlatego też na sejmie warszawskim 1563/1564, niektóre z nich otrzymały na równi z miastami możliwość nabywania praw magdeburskich. Dawało im to szansę wyzwolenia się spod władzy możnych panów. Takie też prawo w roku 1792 otrzymały Lipniszki.

Najbardziej charakterystyczną cechą różniącą miasteczko od osadnictwa innego typu, była różnorodność prac wykonywanych przez jego mieszkańców. Zajmowali się oni handlem, rzemiosłem, drobną wytwórczością w manufakturach i wiejską gospodarką: rolnictwem, ogrodnictwem i hodowlą. Ta wielokierunkowość w działaniu odgrywała istotną rolę w rozwoju miasteczek i zależała od składu narodowościowego ich mieszkańców. Mam tutaj na myśli głównie Żydów, którzy nie pracowali na roli. Tam, gdzie byli oni dominującą grupą społeczną, tam przeważał handel, rzemiosło i drobna wytwórczość. Jednak dla mieszkańców większości miasteczek, głównym źródłem utrzymania była praca na ziemi. Inną ważną cechą wyróżniającą miasteczko od zwykłej osady wiejskiej, była duża w nim liczba karczm w stosunku do ilości mieszkańców. W niektórych miasteczkach było ich nawet około dwudziestu. Jednak nie świadczyło to o ilości zajazdów karczemych, gdyż w jednym budynku mogły znajdować się nawet trzy karczmy: piwna, gorzałczana i miodowa. Za prawo sprzedaży tych trunków należało płacić, za każdy z nich, kapszczyznę, czyli określony w umowie czynsz.

Miasteczko charakteryzowało się specyficznym układem urbanistycznym. W jego centrum był plac kiermaszowy, następnie targowy powstały później niż karczmy, na którym sprzedawano wiejskie towary codziennego użytku. W pobliżu placu stał kościół lub cerkiew, budynek miejscowej władzy. W centrum znajdowały się też domy należące do bogatszych handlarzy i osób duchownych. Trochę dalej mieszkali i pracowali rzemieślnicy, a na skrajach miasteczka żyli bogaci chłopcy. Główna droga przechodząca przez miasteczko była szersza od innych i nieraz wybrukowana polnymi kamieniami. Przy wjeździe na podróźnych oczekiwały zwykle zajazd i karczma. Na skrzyżowaniu dróg stał duży krzyż lub kapliczka.

Białoruś, a szczególnie jej zachodnia część, była krainą miasteczek, ale ów model zabudowy nie był rodzimego chowu. Przyszedł na te ziemie z centralnej i zachodniej Europy.

W Rosji nie znano tego typu lokalizacji osadnictwa i był on obcy jej kulturze. Ilość miasteczek na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego, pod zaborem rosyjskim, zmniejszyła się z czterystu osiemnastu w roku 1863 do trzystu dwudziestu dwóch na początku XX wieku. Rząd carski planował część mniejszych miasteczek przemianować na wioski, a z większych uczynić miasta. Rozpoczął modernizację architektoniczną miast Rosji, polegającą na kwartalnym systemie zabudowy wzorowanej na stylu empire. Wprowadzał ją także na ziemiach Wielkiego Księstwa. Nie starczyło jednak na to środków finansowych i przekształcenia między innymi ominęły opisywaną tutaj ziemię iwiejską. Największe miasteczka, które oparły się wpływowi carskiej administracji, stawały się centrami gmin i parafii.

Tuż po rewolucji bolszewickiej, na ziemiach białoruskich znajdujących się w Związku Sowieckim, oficjalnie było sto siedemdziesiąt sześć miasteczek. Jednak naprawdę powinno ich być około trzystu. Liczba ta gwałtownie spadała, gdyż większe miasteczka klasyfikowano do miast, a mniejsze do wiosek. Po roku 1925 nastąpił niewielki ich wzrost z czterdziestu trzech do sześć-

dziesięciu ośmiu w roku 1930. Jednak po roku 1938 nazwa „miasteczko” i wszystko, co się z nią łączyło, nie znalazły już miejsca w administracji terytorialnej BSSR²⁴. Zastąpiły je osiedla miejskie i robotnicze, a część miasteczek po prostu została wioskami. Swoją historyczny charakter zachowały jedynie na ziemiach należących przed 17 września 1939 roku do Polski.

Chociaż od początków powstania miasteczek minęło kilka wieków, nastąpiło wiele zmian geopolitycznych, a w ubiegłym stuleciu były dwie straszne wojny, to nadal niektóre zamieszkałe miejsca na zachodzie Białorusi przyjemnie nazywa się miasteczkami. Ich odpowiednikami na wschodzie kraju są po prostu wioski.

17 marca, sobota

Imianiny Hierasima, Wiaczasława, Hertrudy

Na Hierasima, znawcy kruków, przylatują kruki. Kiedy od razu siadają do gniazd, to wiosna będzie przyjazna.

Poranne zachmurzone niebo rozpląkało się drobnym deszczem. Po śniadaniu poszedłem do kościoła na mszę świętą. Wiedziałem, że proboszcz Franciszek Gałdyś jest na rekolekcjach w Polsce i zastępuje go ojciec Władysław Lisek. Był on trochę takim kołem ratunkowym wśród chrystusowców na Białorusi. Nie mając wówczas stałego przydziału pomagał współbraciom, którzy na Białorusi objęli pięć parafii: Sobotnik i sąsiednie Gieraniony, oraz Hancewicze, Iszkoldź i Niedźwiedzicę w obwodzie brzeskim. Ojciec Władysław w swojej pracy duszpasterskiej przebywał wśród Polaków mieszkających w Australii, Nowej Zelandii i na Tasmanii. W Nowej Zelandii spotkał rodaków o takim samym nazwisku jak moje. W Australii odprawił jubileuszową mszę świętą z okazji dziewięćdziesiątych urodzin byłego mieszkańca wioski Mażule naszej parafii, w której nadal mieszkała jego rodzona siostra.

W kościele było niewiele osób, głównie starsze kobiety. Jedna pani, przy której siedzieli młoda dziewczyna i chłopak, wydała mi się znajoma. Po mszy poszedłem do zakrystii i akurat ta kobieta rozmawiała z ojcem Władysławem, w sprawie odprawienia w niedzielę mszy pogrzebowej za zmarłego.

- A kto zmarł? - zapytałem księdza.

- Jan Nowicki z Szarkuc - odpowiedział.

I już wiedziałem, że tą kobietą była żona zmarłego, Janina Nowicka z domu Siankowska. Janek pochodził z Dowgiałowszczyzny i poszedł w prymy do wioski Szarkucie, czyli był prymaikiem²⁵. Razem z Janką Nowicką były jej wnuki, Grażyna i Paweł, mieszkające z rodzicami na Litwie. Drugi z synów Nowickich mieszkał w Mińsku. Powstał problem z odprawieniem mszy pogrzebowej w niedzielę. Ojciec Władysław miał tego dnia cztery msze w parafii i był sam. Zaproponował poniedziałek. Pani Janka powiedziała, że bardzo chcieliby w niedzielę. Przyjechała rodzina mieszkająca w Mińsku i na Litwie, i oni nie bardzo mogli czekać do poniedziałku.

Co w takiej sytuacji można było zrobić? Zmarł człowiek, który bardzo przyczynił się do tego, że nasz kościół nie został zamknięty, kiedy w roku 1962 zmarł przedwojenny jeszcze proboszcz ks. Paweł Bagiński. Jan Nowicki, wieloletni organista w naszej świątyni, zasłużył sobie na to, aby po śmierci mieć pewne względy. Janek był kolegą mojej mamy z młodych lat. Wraz z Albinem Kursewiczem z wioski Ślesary w naszej gminie, prowadzili ją pod ręce przez miasteczko w weselnym korowodzie do ślubu kościelnego. Janek, w zastępstwie ks. Bagińskiego, wypisał dla moich rodziców zaświadczenie z mojego chrztu w sobotnickim kościele. Zadzwoiłem do sąsiedniej parafii w Lipniskach. Proboszczem w niej był ojciec Krzysztof Groszyk, kapucyn²⁶ z Polski. W latach 1990-1996 przewodził sobotnickiej parafii i dobrze znał Jankę Nowickiego. Na szczęście, Krzysztof miał trochę wolnego czasu w niedzielne popołudnie i zgodził się odprawić

nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego.

Wciąż siąpił deszcz, kiedy wyszedłem z Sobotnik na Łyntupską Drogę. Była możliwa do przejścia, ale w miejscu, w którym skręciłem z niej w kierunku domu dziadka Jana, została mocno rozjeżdżona przez traktory. I gdyby nie specjalne gumowe kalosze nakładane na buty, to później mógłbym moje obuwie po prostu wyrzucić do pieca. Szedłem dróżką przez las, który wyrósł na dziadkowym polu. Jego dawny widok pamiętam z dziecięcych lat. Był wtedy młody, niski i rzadki oraz pełen dorodnych grzybów. Nie zasłaniał dachu chaty, widocznego na wprost z Łyntupskiej Drogi. Później jedynym widocznym znakiem, że w tym miejscu jest siedziba Kononowiczów, były korony dwóch potężnych brzoź, które rosły w połowie odległości między domem a gumnem²⁷. W ciągu minionych lat wysoko i gęsto wyrosły smukłe drzewa, a wiatr kołysząc ich wierzchołkami zamykał niebo nade mną. Po drzewach powalonych przez trąbę powietrzną dwa lata temu, nie było prawie śladu. Zabliźniały się nowymi sadzonkami jasne polany. Posadzono niewielkie brzożki i ledwo widoczne sosenki, które lekliwie wystawiały ku słońcu swoje igły. Jednak na drodze i w jej pobliżu zauważyłem kilkanaście leżących i połamanych drzew, których w ubiegłym roku nie było. Okazało się, że trąba na moment powróciła, jakby zapomniała o czymś za pierwszym razem. Potrząsnęła silnie lasem, zawirowała nad dziadkowym domem i odleciała.

Jak zwykle bardzo ciepło przywitałem się z ciocią Zosią i wujkiem Władkiem. Już wiedzieli, że zmarł Janek Nowicki. W bliskiej Dowgiałowszczyźnie mieszkał jego brat Józef, starszy o trzy lata. Wujek do spółki z nim trzymał konia. Miesiąc temu śmierć zabrała mieszkańca kolonii Franka Bohuszewicza. Wracał z Dowgiałowszczyzny do bliskiego domu przez kładkę na Łyntupce. Pośliznął się, wpadł do płytkiej wody i zwyczajnie utopił się. Ale to była jego wina.

Wieś na Grodzieńszczyźnie wymiera, odchodzi do miasta i jest to trwały i smutny proces. Już tylko na mapach pozostały niektóre chutory, kolonie i małe wioski. Jaka szkoda i żal. A wydawało się, że będzie inaczej. Kiedy? Przed wojną.

Dowgiałowszczyzna to rodzinna wioska Józefa Rusakiewicza, mieszkańca podwileńskiej Mejszagoły. Leży trochę na uboczu naszej gminy, w otaczających ją zaciszu pól i lasów. Stąd do Sobotnik są około dwa kilometry. Bezpośrednio do wioski, oddzielona tylko rzeczką Łyntupką, sięga sobotnicka kolonia od południowo-zachodniej strony miasteczka.

Józef Rusakiewicz, Józik syn Emiliana, zwany też Emiliańczyk, był emerytowanym nauczycielem geografii. To pasjonat turystyki, odkrywania i dokumentowania historii ziemi rodzinnej i Wileńszczyzny. Przepłynął na tratwach i kajakami Niemen, Wilię, Berezynę i Mereczankę. Przeszedł puszcze Nalibocką i Rudnicką. Był nad Bajkałem i wśród Polaków na Syberii. Z wypraw po historycznej Wileńszczyźnie Józik zebrał olbrzymi materiał dokumentujący o obecnie już nieistniejących lub zniszczonych zabytkach. W swych podróżach spotkał wielu ciekawych ludzi. Ma w rękopisie przygotowany przewodnik pod roboczym tytułem „12 tras z Wilna w głąb Białorusi i Litwy”. Uważam, że mogłaby to być rewelacja pod względem wydawniczym, jeżeli chodzi o kresową tematykę turystyczną. Józik nie może jednak znaleźć sponsora do swojej pracy, a i ja z własnego doświadczenia wiem, jak o to jest trudno. Józik dobrze fotografuje, a także rzeźbi i rysuje, a te zdolności osiągnął dzięki genom odziedziczonym po ojcu. Emilian Rusakiewicz był dobrym introligatorem. Przed wojną oprawiał książki w pałacowej bibliotece w Żemłosławiu, w majątkach Kwiatkowce, Łyntupka oraz innych. Dzięki temu jego syn od dziecka siedział zanurzony w książkach po same uszy. Józik kilka razy do roku przyjeżdża do swojej wioski, która bardzo ciepło zachowała się w jego wspomnieniach z młodych lat.

W czasie wojny Niemcy prawie do Dowgiałowszczyzny nie zaglądali. Może dzięki temu miejscowe powiązania ludzi z Armią Krajową były tak silne. Wywózki na Sybir, przygotowania do organizowania kołchozów, oddawanie państwu wysokich norm narzuconych na produkty spo-

żywcze takie jak zboże, mleko, mięso, a nawet jajka. To przechodziły całe Kresy Wschodnie. Ludzie żeby przeżyć, jak tylko mogli omijali te nakazy. Było wówczas nie mało tak zwanych stukaczy, czyli donosicieli. W Dowgiałowszczyźnie wszystkich ich z całej gminy znano i zagrożono im, że jeżeli chociaż jedna osoba z wioski zostanie tknięta przez bolszewików, to wszyscy stukacze zostaną odprawieni w mahilowszczyznę²⁸. I oni dobrze wiedzieli, co to oznacza i że tak naprawdę się stanie.

Po wojnie często w okolicy pojawiali się obcy ludzie, wygłodniali i oberwani, którzy szukali jakiegokolwiek przytułku. Pewnego razu zawitał do Dowgiałowszczyzny niewysoki, krępy i zwawy młodzieniec. Nazywał się Edward Ropucho. Chodził od domu do domu, zapukał także do chaty Józka Rusakiewicza. Matka Józka, Józefa z domu Niechwiadowicz, poradziła mu iść za rzeczkę Łyntupkę, na kolonię do Justyna i Kazimiery Tuczkwoskich. Mieli oni syna Albina, który w 1939 roku trafił do sowieckiej niewoli i był zabrany do Ostaszkowa²⁹ nad jeziorem Seliger. Cudem wypuszczony i na wpółżywy, wrócił Albin do rodzinnego domu. Powoli przychodził do zdrowia, następnie ożenił się i przeprowadził do Wasilewicz, wioski nad rzeczką Jakuńką³⁰ w naszej gminie. W domu na sporej gospodarce zostali starzy rodzice i siostra Wiktoria. Potrzebne im były dodatkowe ręce do pracy. Dlatego przyjęli Edka, a on z czasem jak przybrany syn został członkiem ich rodziny.

Od tamtej chwili na jego plecy spadła większość prac w gospodarstwie. Robił właściwie wszystko. Orał i to dobrze, kosił, pomagał Józkowi młócić żyto i piłować drzewo. Chodził do kościoła i na tańce, pościł, kiedy było trzeba. Jeździł nawet na rynek sprzedawać plony i kupować to, co było potrzebne do pracy na roli. Edek był niesamowicie silny. Pewnego razu Józek z kolegą zarzucili mu na plecy ogromny wór wymłóconego zboża. Edek przeszedł z nim pięćdziesiąt metrów i bez żadnej pomocy wszedł po drabinie na strych chaty. Bardzo szybko stał się prawdziwym obywatelem Dowgiałowszczyzny i jak to było w zwyczaju w naszych stronach, otrzymał przydomek. Został nazwany Cito od powiedzenia, które często używał: „Ci to”.

W latach pięćdziesiątych nawet tak małe wioski jak Dowgiałowszczyzna były gwarne i pełne życia. Jak wspominał dalej Józik żyło się całkiem nieźle. Każda rodzina miała po dwie dojne krowy, cielaka, trzymała po sześć-osiem owiec, kilkanaście kur. Kto mieszkał bliżej rzeczki Łyntupki, ten hodował gęsi. Wioskowe krowy razem z cielętami pasło po dwóch-trzech pastuchów. Mieszkańcy kłuli po dwa dwustukilogramowe kabany w roku. Taką świnie sześciu chłopa z ledwością wносиło do mieszkania, a słonina z niej była gruba, jak przedwojenna walizka. Świnie do stu kilogramów uważano za żebrackie prosiaki i takich nie bito. Józik osobiście zrobił sporo domowych kiełbas i każdego roku po dwa-trzy kindziuki³¹, duże jak piłka. Jego rodzina miała w sadzie kilka pszczelich uli, a sąsiad i krewniak, Franciszek Rusakiewicz trzymał ich sześćdziesiąt, z czego połowa to były tak zwane kłody³². Jesienią nadmiar produktów zawożono na rynek do sąsiedniej gminy w Trabach. Był to bardzo duży rynek, większy niż w Lipniskach, a nawet w Iwiu. Rozpoczynał się w niedzielę bardzo wcześnie rano i trwał do późna w nocy. Sprzedać i kupić na nim można było wszystko. Po dziś dzień, oprócz Wilna, ludzie pamiętają huczne i wesołe rynki w Trabach.

Wujek Józka, Antoni Niechwiadowicz z Wasilewicz, pędził najlepszy samogon w sobotnickiej gminie. Miał duży sad, w którym rosło kilkanaście jabłoni. Pod każdą z nich miał zakopane po kilka butelek ludowej czystej wódki.

- To z której jabłoni skosztujemy? - zapytał się raz dorosłego już Józika, który przyjechał do niego w odwiedziny.

- Z tej - ten odpowiedział pokazując na drzewo.

Wujek przyniósł stół, dwa zedliki i łopatę. Po chwili kopania wy dostał z ziemi butelkę całą w piasku. A pod spodem na przyklepionej kartce widniała data napisana ołówkiem - 1953. Na-

stepnie zwrócił się do swojego siostrzeńca tymi słowami:

- W tym roku byłeś Józiku chrzestnym mojej córki Zosi. Dobrze wyszła za mąż i ma dwóch synów. Wódkę mamy cudowną, a zakąska, chociaż nie taka jak w Wilnie, też się znajdzie. O tutaj proszę kumpiak³³, słonina taka gruba, że i nożem nie przekroisz, swojska kiełbasa, co prawda trochę wysechszy. Przyniosę kindziuka, miodu i szklaneczki, a ogórki są tu na miejscu w ogrodzie.

Bardzo popularny w tamtych czasach był wioskowy humor. Nie raz powstawał on z prawdziwych sytuacji mających miejsce w codziennym życiu. Niedaleko domu dziadka Jana mieszkał osadnik wojskowy Józef Dobrzyński z żoną Józefą, zwaną Dabrynszczycha. Józef został zmobilizowany do wojska tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku. Wyprawiając męża na front, klękając przed świętym obrazem, ze łzami w oczach żona nakazywała mu:

- Ty tam Juzuk hładzi i nia leż aby kudy. I nia budź tam waronaj. Dobra pryhladajsia i kali kula budzie lacieć, zbaczysia.

W swoim cywilnym życiu Józef najdalej od domu był tylko w Oszmianie, do Turgiel nawet nie dojechał. W czasie wojny przeszedł od Dowgiałowszczyzny przez pół Europy. Do domu przyjechał z medalami, bez żadnej rany a nawet zadraśnięcia. Do końca swojego życia był prowadzącym rytuał pogrzebowy we wsi i doskonałym śpiewakiem. Często zapraszano go i jego przyjaciół na śpiew do Gieranon, Iwia, Lidy, a nawet na Litwę. Dobrze też śpiewali Emilian Rusakiewicz i Julian Dubicki. Obydwaj należeli do chóru kościelnego w Sobotnikach, a także regularnie prowadzili śpiewy i modlitwy z mieszkańcami Dowgiałowszczyzny. Po takich spotkaniach omawiano i dyskutowano o ważnych wydarzeniach, które miały miejsce w naszej gminie, w rejonie, Trabach, Lidzie, Oszmianie, Nowogródka, a nawet w Wilnie. Umuzycznienie Dowgiałowszczyzny wzmocniali Andrzej Stankiewicz i Jan Nowicki, którzy przez wiele lat byli kościelnymi organistami. Janek w naszym kościele w okresie powojennym, a Andrzej, który miał muzyczne wykształcenie, grał przed wojną na organach w Wilnie, Nowej Wilejce i Mickunach, gdzie także uczył muzyki w miejscowej szkole.

Co jakiś czas po pracy młodzież zbierała się w domach na wieczorynki. Dziewczyny robiły na drutach, szyły, haftowały, a przez całą zimę razem z kobietami tkwały. Przy tych babskich zajęciach często śpiewały. Chłopcy siedzieli przy dziewczynach i albo grali w karty (wóz, tysiąc, kozioł), albo opowiadali różne historie, legendy, wspominali wojnę. Trwało to nawet do godziny drugiej w nocy. Edek Ropucho zawsze opowiadał o Syberii, o tym, jak tam trafił.

Kiedy armia sowiecka weszła na nasze tereny, natychmiast spośród sprzyjających im osób wyznaczono różnych kierowników, milicjantów, agentów i skaperowano donosicieli. Tak też było w białostockiej Sokółce, rodzinnym mieście Edka. Pewnego razu w miejscowym klubie zbrali się mężczyźni i zrobili alkoholową libację. Jak to często w takich wypadkach bywa doszło do kłótni, która przerodziła się w bijatykę. Edek został zaatakowany przez kilka osób, z których troje odesłał do szpitala. Napastnikom wstyd było przyznać się, że takie z wyglądu chuchro dało radę tyłu chłopom. Dlatego wymyślili perfidną intrygę. Na wiszącym w klubie portrecie Stalina wykluli oczy i pokroili nożami inne wizerunki sowieckich przywódców. Kiedy to wyszło na jaw, powiedzieli zgodnie przed sądem, że to sprawa Edka, który cały czas źle wypowiadał się o sowieckiej władzy i nowym porządku, jaki zaczęła ona wprowadzać. To wystarczyło, aby znaleźć się za Bajkałem. Edek spędził tam kilka lat. Pewnego razu na stadionie w miejscowości, w której przebywał, odbywały się zawody sportowe. Zaproponowano także ochotnikom spośród widzów wzięcie udziału w amatorskim podnoszeniu ciężarów. Zgłosiło się kilku wyglądających na silnych mężczyzn i skromnie wyglądający Edek. Jego postać wywołała śmiech i kpiny wśród widzów. Był niewielkiego wzrostu i miał nieciekawe nazwisko Ropucho. I oto stał się swoisty cud. Ten najmniejszy zawodnik, więzień polityczny z obcego kraju, pokonał wszystkich miejscowych

siłaczy i stanął na najwyższym podium. Jak wspominał Edek, była to najpiękniejsza chwila w jego życiu.

Niektóre wieczorynki miały w swoim programie zabawy taneczne z udziałem muzykantów w liczbie dwóch-trzech osób. Czasami przyjeżdżał z Litwy zespół „Katy”, który przygrywał o wiele lepiej niż miejscowi grajkowie. Bardzo popularne były takie tańce jak oberek, lawonicha, czy kadryl, do którego potrzeba było więcej par. Jeżeli zabawa trwała do samego rana, to dla odpoczynku i aby się trochę posilić, siadano za przygotowanymi stołami dwa lub trzy razy. Alkohol pito symbolicznie i był to najwyżej jeden lub dwa kieliszki wódki. Nie było mody na większą ilość, a już picie gdzieś z boku za węglem było wielkim wstydem. W pierwszym okresie po wojnie nie było też żadnych bójek na wieczorynkach. Pojawiły się one później, ale w Dowgiałowszczyźnie jeden Edek Ropucho potrafił ugasić gorące głowy i to bez żadnej fizycznej przemocy.

Dla wielu gości, głównie studentów, którzy przyjeżdżali latem na odpoczynek, Dowgiałowszczyzna wydawała się rajem. Blisko płynęła czysta rzeka Gawia, a nad nią w Sobotnikach było sanatorium wśród sosnowych drzew. W Żemłosławiu stał pałac z parkiem, w którym śpiewały słowiki, a w bliskich lasach w zasięgu ręki rosło pełno jagód, malin, brusznic i grzybów. Liczne łąki bogate były w różnorodne trawy, kwiaty i zioła, które dodawały im uroku i romantyzmu. Źródła krynicznej wody zasilaty rzeczki wpadające do Gawii. Wszędzie było czyste zdrowe powietrze przesiąknięte czymś, co powodowało, że rano wstawało się zawsze wypoczętym i z pełną energią do wszelakiego działania.

18 marca, niedziela

Imianiny Konana, Fiodara, Irajdy, Eduarda

Po śniadaniu udałem się pieszo do Sobotnik. Szedłem drogą inną niż zwykle. Wpierw pozarastaną trawą ścieżką obok niezamieszkałego domu Grażyńskich, która dalej prowadziła skrajem niewielkiego lasu. Za Grażyńskimi stał od dawna pusty, bez okien i drzwi, dom Tuczkowskich, w którym znalazł miejsce Edek Ropucho. Jeszcze kawałek i ścieżka spotkała się z Dowgiałowską Droga łączącą Dowgiałowszczyznę z Sobotnikami. Po prawej stronie na wyciągnięcie ręki leżała wioska, a przed nią mostek na Łyntupce. Szedłem dalej wzdłuż kolonii Dowgiałowską Droga, która lekko wznosiła się pod górę. Minałem zabudowania Kwiatkowskich, Bohuszewiczów, pozostałości po niewielkim i gęstym kilkudziesięcioletnim brzeźniaku, prawie całkowicie połamanym przez trąbę powietrzną, i po chwili wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przede mną w oddali widziałem nasze miasteczko z niewielką jeszcze sylwetką kościoła, z wieżą ciśnień i połączonymi w prawie jedną plamę chatami. Po prawej stronie rozciągały się lekko pofalowane i zieleniejące się już pola, zamknięte na horyzoncie lasem Ściana. Pośrodku nich rozciągała się dolina Łyntypki. Bezlistna jeszcze wstążka drzew, ukazywała bieg tej niewielkiej rzeczki zamieszkałej przez bobry.

Z przyjemnością wdychałem rześkie, choć trochę wilgotne, poranne marcowe powietrze. Szedłem dalej Dowgiałowską Droga, która łagodnym łukiem prowadziła do Sobotnik. Nagle do moich uszu doszedł nieznany mi ptasi głos. Spojrzałem w lewą stronę na zaorane pole. Znów usłyszałem ptasie nawoływanie, a po chwili w oddali zobaczyłem dwa duże i nieznane mi ptaki. Z początku myślałem, że to bociany, ale dzioby ptaków wyglądały na krótsze, ich głos nie był znany mi kłopotem i może dla boćków była to jeszcze za wczesna pora na powroty. Pomyślałem sobie, że to z pewnością są żurawie, które wydają z siebie charakterystyczny kłęgór, a samce uczestniczą w rytualnym tańcu godowym na ziemi. Mocno podekscytowany tym spotkaniem energicznie ruszyłem dalej, oglądając się co jakaś czas za siebie, aż sylwetki żurawi stopiły się z otoczeniem.

Niedzielną mszę świętą w naszym kościele. Pod jej koniec pojawiło się kilka obcych osób, które robiły zdjęcia wnętrza świątyni. Wziąłem torbę z książkami i wyszedłem na zewnątrz, mijając w babinie grupkę nieznanymi mi ludźmi w wieku średnim i młodszych. Przed kościołem było ich więcej, a za bramą stał autobus z mińską rejestracją. Rozłożyłem niewielki stolik i wyjąłem moje prace. Wśród turystów było pewne nimi zainteresowanie. Sprzedałem kilka książek w tym „Moje Sobotniki”, których drugie wydanie miało tylko polską wersję. Jeden z egzemplarzy kupiła młoda dziewczyna, a na stwierdzenie koleżanki, że przecież nie zna tego języka, odpowiedziała:

- Język polski to po białoruskim najważniejszy język w naszym kraju.

Bardzo było mi przyjemnie to usłyszeć i wewnętrznie poczułem, że moje książki są jeszcze bardziej tutaj potrzebne.

Niektórzy z turystów mieli wpięte w ubrania znaczki Białoruskiego Narodowego Frontu (BNF)³⁴. Partię tę, która jest w opozycji do obecnej władzy i kilka lat temu przeszła pewien podział, zakładał między innymi nasz ziemiak z Sobotnik, Zenon Poźniak³⁵. Widać było, że niektórzy z mieszkańców miasteczka z pewną niechęcią spoglądali na mińszczan ze znaczkami BNFu. Negatywna propaganda w mediach kontrolowanych przez państwo odniosła skutek.

Ludziom nie chce się zrobić nawet minimalnego wysiłku, jak posłuchania czasem innej stacji radiowej niż państwowej. Zastanowić się, porównać z własnym trzeźwym osądem, czy to, co przekazują rządowe media jest prawdą, czy fałszem? Jedni uważają, że nie mają na to czasu. Drudzy, że, po co to, co im to da? Ani ja, ani my wszyscy niczego nie zmienimy. Jeszcze inni twierdzą, że się polityką nie interesują. Jest dobrze jak jest, a w porównaniu z niektórymi sąsiednimi krajami na Białorusi jest lepiej. No i są także tacy, którzy bez żadnego filtrowania przyjmują wszystko to, co się im przekazuje.

Umówiłem się z ojcem Władysławem i razem pojechaliśmy na mszę świętą na godzinę trzynastą do Żemłosławia. Ja właściwie poszedłem do biblioteki, która znajdowała się w pałacu i gdzie były moje książki. Stałem przed dawną rezydencją Umiastowskich i nie wierzyłem własnym oczom. Czułem się jakbym był tutaj bardzo dawno temu, a przecież ostatnimi laty często odwiedzałem to miejsce. To niemożliwe, aby w ciągu kilku miesięcy nastąpiła tak zatrważająca zmiana w stanie budynków! Odpadający tynk, powybijane szyby w oknach, drzwi w oficynach trzymające się na pojedynczych zawiasach i którymi obracał wiatr, ziemniaki zsypywane do pałacowych piwnic. Poczta już się z pałacu wyniosła, kantorę³⁶ kołchozu „Żemłosław” przeniesiono do Sobotnik. Będzie teraz jeden wspólny kołchoz „Sobotniki”, a właściwie nie kołchoz, tylko SPK „Sobotniki” (Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna). Jest to jednak tylko kosmetyczna zmiana nazwy podmiotu gospodarczego, który dominuje na białoruskiej wsi od lat pięćdziesiątych. Mieszkańcy miasteczka od razu i na swój sposób rozszyfrowali skrót SPK: **S**kor**o** **P**óź**ni**ec **K**ół**ch**oz**o**m. Podobnie jak skrót do niedawna istniejącego tworu państwowego CCCP³⁷ (czytaj SSSR, dekoduj na: **S**wo**j** **S**ach**a**r **S**wa**j**a **R**ab**o**ta, czyli samogon). W pałacu pozostała jeszcze biblioteka, ale i ona wkrótce zostanie przeniesiona do miejscowej szkoły średniej. Do smutnego i beznadziejnego obrazu całości, dostroiła się mroczna deszczowa pogoda.

Przyjechali do Żemłosławia także turyści z Mińska. Rozbiegli się po przypałacowym terenie. Robili sobie zdjęcia na tle tych prawie ruin nie wiedząc, jak majątek wyglądał dawniej, chociażby przed wojną. Jak w swojej historii się rozwijał, prowadzony przez Umiastowskich gospodarną ręką. Jakie należały do niego wspaniałe lasy klewickie, jakością nie ustępujące fińskim. Przed wojną w nowoczesnym tartaku parowym w folwarku Giełozie koło Dziewieniszek, należącym do Żemłosławia, produkowano deski na eksport do Anglii. To w Żemłosławiu powstał pierwszy w przedwojennej Polsce rezerwat z hodowlą bobrów³⁸, zwierząt, które nie były wówczas tak powszechne w przyrodzie jak obecnie. Były też w dziejach Żemłosławia lata trudne, ale zawsze

jego właścicielom udawało się je przewycięzać i powracać na drogę postępu i nowoczesności. Aż 17 września 1939 roku przyszli nowi „panowie” ze wschodu. Przynieśli ze sobą stworzoną przez siebie kulturę, która niby miała budować a niszczyła i na koniec ich samych unicestwiła. W rezultacie dorobek kilku pokoleń Umiastowskich został bezpowrotnie stracony.

O godzinie czternastej w sobotnickim kościele miała się rozpocząć msza pogrzebowa za Janka Nowickiego. Szybkim krokiem oddaliłem się od pałacu w kierunku wioski Szarkucie, graniczącej z Żemłosławiem. Chciałem zdążyć na kondukt pogrzebowy, który miał odwieźć zmarłego do kościoła. Niestety, spóźniłem się dosłownie o minutę, bo ujrzałem jedynie tyły odjeżdżających samochodów. Trudno, ale z Szarkuc do miasteczka było niedaleko. Szedłem piaszczystą drogą przez iglasty las, który pachniał wilgocią od padającego deszczu. Coś jeszcze było w tym zapachu, coś, co powodowało, że oddychało się lekko i z przyjemnością. Może to były olejki eteryczne wydzielane przez miejscowe sosny?

Leśnej drodze towarzyszyły kręte ścieżki wydeptane ludzkimi stopami, wyjeżdżone kołami rowerów. Po lewej stronie, blisko tuż za lasem, płynęła Gawia. Zbliżałem się do wsi Rybaki. Po prawej stronie stała pusta chata z zabitymi deskami oczami okien i ustami drzwi. Te drzwi już dawno przestały zapraszać wędrowców w gościnne progi. Obok stały resztki starego gumna i rozwalony chlew. Budynki kilku gospodarstw, które zostały w Rybakach były dobrze utrzymane. Przeszedłem tunelem utworzonym ze splecionych gałęzi przydrożnych drzew. Ten tunel był kiedyś o wiele większy, a na zabudowę wioski składały się trzy równoległe rzędy chat. W 1939 roku w Rybakach mieszkało sto sześćdziesiąt osiem osób, w 1999 roku dwadzieścia dwie osoby w dwunastu domach. We wrześniu 2009 roku w wiosce mieszkały cztery osoby w czterech chatach.

Wyszedłem na drogę w kierunku Sobotnik i od razu zobaczyłem nasz kościół. Po kilkunastu minutach byłem w jego wnętrzu. Rozpoczęła się msza żałobna. Przy zwykle milczących organach, na których kiedyś grał zmarły, usiadła specjalnie zaproszona organistka z Lipniszek. Ze starego instrumentu wydobywała żałobne melodie. Ojciec Krzysztof Groszyk w homilii przypomniał czasy, w których kształtowała się sylwetka Janka Nowickiego. Przede wszystkim była to wieloletnia praca u boku księdza proboszcza Pawła Bagińskiego, który niejako go przygotowywał do chwili swojego odejścia.

Kiedy kapłan zmarł 24 marca 1962 roku, nad naszym kościołem zawisło realne zagrożenie jego zamknięcia. I wtedy w jej obronie stanęli mieszkańcy sobotnickiej gminy. Wśród nich Józef Wasilewski z Wasilewicz i Jan Minko z Wodoli. Ludzie dużej wiary, prawi, zahartowani przez życie, nie znający żadnej bojaźni oprócz bożej. Jan Minko z I wojny światowej przywiózł wysokie odznaczenie, które osobiście przypięła mu do munduru caryca Aleksandra³⁹, kiedy leżał ranny w szpitalu. Jako wotum za szczęśliwy powrót do domu, złożył je w kościele pod obrazem św. Jerzego. Józef i Jan prowadzili każdą niedzielą i świąteczną mszę świętą, jeżeli akurat nie było przyjezdnego kapłana. A pojawiał się on rzadko. Oczywiście podczas liturgii nie wykonywali czynności należnych tylko księdzu. I przy nich był młody Jan Nowicki, później główny organizator akcji zbierania podpisów w obronie kościoła. Na szali walki o naszą świątynię i wiarę położył swoje życie zawodowe i rodzinne, i nie ugiął się.

Trumna została wyniesiona z kościoła i położona na odkrytej ciężarówce udekorowanej w żałobne barwy. Ustawił się kondukt pogrzebowy. Na jego czele był mieszkaniak Szarkuc, wioski, gdzie Janek założył rodzinę, ubrany w komżę i trzymający krzyż. Za trumną też trzymano krzyż, który później został ustawiony na grobie. Ostatnie spojrzenie zmarłego przez zamknięte oczy na kościół, który obronił. Ruszyliśmy przy śpiewie psalmów. Za mostem na Gawii skęciliśmy z asfaltowej drogi na piaszczystą i nierówną, prowadzącą do bliskiego cmentarza i dalej do wioski Dobrowlany. Przed cmentarną bramą trumna została zdjęta z samochodu i zanieśiona na barkach mężczyzn do miejsca pochówku. Zgromadzeni nad grobem odmówiliśmy ostatnie modlitwy.

Następnie najbliższa rodzina pożegnała się ze zmarłym przy otwartej trumnie. Usypano grób i to był dla zmarłego ciała ziemski koniec.

Przez jednego z synów Janka Nowickiego zostałem zaproszony na tradycyjny poczęstunek związany z pogrzebem, czyli stypę. U nas mówi się też „papraścić się za stoł” i jest to zaproszenie na uroczysty posiłek związane nie tylko z pogrzebem. Najbliższa rodzina, krewni, przyjaciele, sąsiedzi i dobrzy znajomi, zgromadzili się w stałowej⁴⁰ w miasteczku. Od dawna jest ona nieczynna i wykorzystuje się ją tylko na specjalne okazje. Na połączonych i ustawionych w podkowę stołach, ustawiono różnorodne, ładnie przygotowane i bardzo smaczne potrawy. I gdyby nie panujący smutny i poważny nastrój, to ktoś, kto akurat wszedłby do sali mógłby pomyśleć, że trafił na wesele, a wszyscy czekają tylko na przyjazd młodej pary. Już od kilku lat na poczęstunku nie podaje się wódki, w czym jest olbrzymia zasługa ojca Franciszka. Było jedynie trochę dobrego piwa. Jedliśmy, rozmawialiśmy. Przyglądałem się biesiadnikom, z których część dobrze znałem. W parę osób wyszliśmy z sali zapalić papierosy. Pałac chwilę rozmawialiśmy.

- Jak szedłem z kolonii koło Dowgiąłowszczyzny, to widziałem na polu dwa żurawie - powiedziałem chcąc się pochwalić.

- A ja wczoraj widziałem ich sześć - odpowiedział, jakby to było coś zwyczajnego, Józik Nowicki, bratanek zmarłego.

Ja, mieszczuch, chciałem zaimponować żurawiami chłopcom ze wsi. Józik był starszy ode mnie o parę lat, a znaliśmy się jeszcze z dziecięcych czasów, kiedy z rodzicami przyjeżdżałem w odwiedziny do jednych i drugich dziadków. Razem z innymi chłopakami z Dowgiąłowszczyzny bawiliśmy się nad Łyntupką, chodziliśmy na jabłka do cudzych sadów i nie raz uciekaliśmy przed goniącymi nas gospodarzami. To od tych starszych chłopców nauczyłem się śpiewać piosenkę „Kasiũ Jaś kaniuszynu spahladaũ na dziaũczynu (...)”⁴¹. Józik, potężny chłop, zawsze mi mówił jak przyjeżdżałem do Sobotnik: „Kazik, jak tylko ktoś cię zaczepi, to daj mi znać”.

Niestety, nie dam Ci znać Józiku. I nie wypijemy już razem piwa przed sklepem w naszym miasteczku. Rok później odszedłeś niespodziewanie i o wiele za wcześnie. Nagle z sali doszły nas śpiewy kilku kobiet, do których po chwili dołączyli pozostali. Zgasiliśmy papierosy i wróciliśmy na swoje miejsca. Uczestnicy poczęstunku na jego zakończenie śpiewali tradycyjne polskie pieśni religijne związane z obrzędami pogrzebowymi, z życiem i pochówkiem zmarłych. Oto jedna z nich pod tytułem „Zapada zmrok”, zapisana tak jak ją usłyszałem:

Zapada zmrok już wszystko światło zgasło
bo właśnie nadszedł twego życia kres
i tylko jedno światło nie zagasło
tym światłem Pan co dziś powołał cień

Zostawiasz nas jak smutna jest ta chwila
wśród kwiatów leży martwe ciało twe
przy głowie świeca wokół twa rodzina
smutek na twarzy z oczu płyną łzy

Więc żegnaj nam śmierć życie twe zabrało
ziemskiej pielgrzymki skoczył się twój trud
ciało zostało dusza uleciała
tam gdzie jej miejsce przygotował Bóg (...)

Słowa tekstu tej pieśni trafiły do Sobotnik z Galimszczyzny, wioski leżącej niedaleko, też nad Gawią, ale bardziej w górę rzeki w sąsiedniej gminie Lipniszki. Ktoś przyniósł tekst, nie wiado-

mo, kto, i zostawił przed drzwiami chaty Władzi Kiełdanowicz. Kobiety w miasteczku zastanawiały się jak śpiewać tę pieśń. W końcu świętej pamięci Wiera Żulpowa z Antokola podebrała najbardziej pasującą melodię wzorując się na popularnej współczesnej pieśni pod tytułem „Panie na dobranoc”, do której napisała słowa i ułożyła melodię siostra Magdalena, nazaretanka.

Kiedy trumna ze zmarłym jest wynoszona z chaty, zwykle w naszych stronach śpiewa się pieśń pod tytułem „Ostatni zwon” („Ostatni dzwon”). Na moją prośbę zaśpiewały mi tę pieśń panie Władzia Kiełdanowicz i Ania Nastusiewicz z ręcznie przepisane go śpiewnika, a ja zapisałem ją fonetycznie.

Ostatni zwon, ostatni zwon
jak wiele dusz pobudzi on
gdy przyjaciele żegnałem was
słyszałem zwon ostatni raz

Nie ujrzesz już radosnych dni
choć pamięć ich świeża się tkwi
i wiele ich nie żyje już
młodzieńczych tych wesołych róż

Podobny ten czeka nas los
żałosnych piesien smutny głos
w dolinie wiatr rozniesie wduż
i śladu zań nie będzie już

W mogile ciemnej położon cień
i żółtym piaskiem zasypion cień
słońca promień ogrzeje grób
siostra i brat spoczywa tu

Ostatni zwon, ostatni zwon
jak wiele dusz pobudzi on
a jak nie ja lecz będzie on
obcować ten ostatni zwon

Przy pożegnaniu ostatni zwon
w trumnie na cmentarz prowadzi on
w krainie ciszy gdzie wieczny dom
prowadzi ten ostatni zwon

A gdy zaśniemy wiecznym snem
nie zbudzi zwon i jego hymn
bo dusza Twa spoczywa w nas
nie zbudzi zwon ostatni raz
O Boże mój już zniosłeś dni
co najpiękniejsze były mi
i chociaż śmierć już przy mnie jest
ja będę żyć w ojczyźnie tej

Już po powrocie do domu znalazłem trochę informacji o rodowodzie tej pieśni. Autorem oryginalnego tekstu pod tytułem „Those Evening Bells” był poeta irlandzki Thomas Moore (1779-1852), który napisał go w okresie nasilonej emigracji swoich rodaków do Ameryki. Angielskie słowa na język rosyjski przełożył poeta romantyczny Iwan Kozłow (1779-1840), a muzykę do

nich skomponował Aleksandr Aljabjew (1787-1851), wybitny mistrz rosyjskiej liryki wokalne. I tak powstała pieśń pod tytułem „Вечерний звон”, bardzo popularna w Rosji jeszcze pod koniec XX wieku. Przypomniałem ją sobie z występowania także w starych filmach sowieckich. Wpływ kultury rosyjskiej na Wileńszczyźnie był niemały, dlatego między innymi ta pieśń zyskała sobie uznanie i został u nas zaadoptowana, ale do wykonywania podczas obrzędów pogrzebowych.

Polski tekst, którego autorem był anonimowy poeta ludowy, jest rozbudowany o nowe zwrotki od rosyjskiego tłumaczenia oryginału. Krążył on po miastach, miasteczka i wioskach, i był ręcznie przepisywany do wielu domowych śpiewników. W „Ostatnim zwonie” występują elementy gwary wileńskiej (położon, zasypion, cień), a także języka białoruskiego (zvon, piesien). W rosyjskiej kulturze masowej rozpowszechniona była inna wersja melodii tej pieśni, mająca ludowe pochodzenie. Ona też, z niewielkimi zmianami, przyjęła się na Wileńszczyźnie.

Kiedy umarł młody człowiek, który źle przeżył swoje życie, na poczęstunku śpiewa się pieśń pod tytułem „Czemu nieszczęsny”. Ją także zaśpiewały mi obie panie:

Czemu nieszczęsny człowiek sień rodzi
nie uznał świata a śmierć przychodzi
śmierć jadowita gdy kwiat zakwita wnet zerwie

Ja nie widziałem takiej marności
że tak za młodu śmierć mnie zagości
wesoły byłem i nie zdążyłem pokuty

Módlcie sień za mnie moi rodzice
bo ja skończyłem młode swe życie
życie skończyłem i nie zdonżyłem przebłagać

Proszę cień odpuść mi grzechy
bo nie ma w czyścju ulgi pociechy
moja jest wina śmierci godzina bom zgrzeszył

Przestrzegam wszystkich kto sień narodził
by mojon drogon nikt nie przechodził
w takim cierpieniu i użaleniu powiadam

Ufaj że szczerze iść proston drogon
co cien prowadzi ż miłoscion Bożon
Bo któż pomoże tylko mój Boże w pomocy

Tradycja śpiewania pieśni pogrzebowych w domu zmarłego powoli zanika. Odeszła już z wielu mniejszych wiosek zachowując się jeszcze w niektórych dużych wsiach i w miasteczkach. Mało kto jeszcze potrafi poprowadzić rytuał pogrzebowy, jak kiedyś Józef Dobrzyński w Dowgiałowszczyźnie, niewielu jest śpiewaków.

19 marca, poniedziałek

Imianiny Arkadźja, Josifa

Rano pojechałem do Lipniszek, aby spotkać się z dyrektorką miejscowej szkoły średniej, w sprawie wystawy prac Ryszarda Stryjca. Ryszard Stryjec urodził się 30 kwietnia 1932 roku w

Lipniskach. Jego ojciec Józef brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i za położone w niej zasługi otrzymał ziemię rolną w pobliżu Lipniszek, został osadnikiem wojskowym. Po 17 września 1939 roku Józef Stryjec został aresztowany przez NKWD i później zamordowany, a 10 lutego 1940 roku jego żona Helena wraz z dwójką małych dzieci została zesłana do Kazachstanu. Tam, na kazachskich stepach, mały Rysiek wykazał się talentem plastycznym lepiąc figurki z gliny. Pięć lat później z rodziną przyjechał do nowej Polski. Młodzieniec Ryszard przejawiał duże zdolności do rysunku i za dobrą poradą wybrał naukę w liceum plastycznym w Gdyni. Po jego ukończeniu rozpoczął studia w Państwowej Szkole Sztuk Pięknych w Sopocie, które ukończył w Gdańsku na Akademii Sztuk Pięknych. Zauroczonej starą częścią portowego miasta, zamieszkał w swojej pracowni na rogu Targu Rybnego i ulicy Straganiarskiej, gdzie tworzył i pracował do śmierci w dniu 5 czerwca 1997 roku.

Ryszard Stryjec między innymi uprawiał malarstwo, rzeźbę i ceramikę, ale przede wszystkim zajmował się grafiką oraz rysunkiem, i w tych dziedzinach został uznany za mistrza. Jego twórczość poprzez motywy symboliczne, alegoryczne, mitologiczne i fantastyczne odzwierciedla świat realny, opisuje codzienność, dotyka problemów charakterystycznych dla czasu obecnego, wnikliwie i nostalgicznie opisuje ludzką kondycję. Grafiki i rysunki artysty wyróżnia perfekcyjny warsztat i doskonałość formy. Günter Grass⁴², z którym Stryjec był zaprzyjaźniony, nazwał go „Gdańskim Dürerem Dürerem⁴³” i poświęcił mu część głośnej powieści „Der Butt” („Płastuga”). Prace Ryszarda Stryjca posiadają kolekcjonerzy z Polski, Niemiec oraz wielu innych państw Europy. Są one w Stanach Zjednoczonych, w tym także w Białym Domu, a jedna z jego grafik znajduje się w Watykanie. W Polsce najwięcej prac Ryszarda Stryjca ma Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie.

W 2007 roku przypadły siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin i dziesiątej rocznicy śmierci artysty. Z tej okazji Zbigniew Buski, dyrektor sopockiej Galerii, wyszedł z pomysłem zrobienia wystaw prac Stryjca w Grodnie i w Lipniskach. Przy mojej pomocy Galeria nawiązała kontakt z najbardziej reprezentatywną grodzieńską Salą Wystawową przy ulicy Orzeszko 38, której dyrektorem była Irina Silwanowicz. Podjąłem się również znalezienia miejsca w Lipniskach na zaprezentowanie około dwudziestu prac Stryjca. Wybór padł na miejscową szkołę średnią, której dyrektorem Inna Nikołajewna Mierowa zgodziła się, aby prace Stryjca były wyeksponowane w jej placówce. Budowa tej szkoły trwała wiele lat i w końcu została ukończona. Nowy duży budynek został połączony ze starym, jeszcze przedwojennym, dając przez to wyraz ciągłości edukacji na tym terenie. O rodzinie artysty nie znalazłem w miasteczku żadnych wiadomości. Chyba nie byli miejscowymi i nie wiadomo skąd się wzięli w Lipniskach. Ojciec Krzysztof Groszyk, lipniski proboszcz, pytał o to parę starszych osób, ale nikt Stryjców nie pamiętał.

Antoni Żabczyński, prywatny kolekcjoner z Sopotu i przyjaciel Stryjca, powiedział mi później, że obydwie wystawy były udane. Szczególnie ta w Grodnie, gdzie pokazano osiemdziesiąt prac artysty. Pan Antoni podarował szkole w Lipniskach jedną z jego grafik ze swojej kolekcji. Miłe też dla mnie było stwierdzenie pana Antoniego, że Grodzieńszczyzna mu się bardziej podobała niż tereny ukraińskie, na których niedawno gościł.

Moim zamysłem, w przypadku Ryszarda Stryjca, było odkrycie i pokazanie mieszkańcom Grodzieńszczyzny sylwetki twórcy, który urodził się na tej ziemi, a o którym nikt nic nie wiedział, nawet współcześni białoruscy artyści. Białoruś w swej historii i kulturze została nasycona nazwiskami Rosjan, którzy z tym krajem często nic wspólnego nie mieli, a niektórzy z nich, jeżeli już mieli, to wyrządzili Białorusi wiele krzywd i zniszczeń. Z trudem i powoli wyłaniają się z zapomnienia rodzimi twórcy i postacie historyczne, dające własne świadectwo narodowej odrębności. Odrębności ubogaconej pracą i działaniami w wielu aspektach życia także osób innych narodowości, związanych z tą ziemią urodzeniem, życiem i ciepłym uczuciem.

Ryszard Stryjec z pewnością miał bolesne wspomnienia związane z zesłaniem do Kazachstanu. Może też zostały one zaznaczone w jego pracach? I chociaż artysta już nigdy nie wrócił w rodzinne strony, to zawsze będzie Ryszardem Stryjcem z Lipniszek.

Ze szkoły poszedłem na plebanię spotkać się z ojcem Krzysztofem Groszykiem. To był już siedemnasty rok jego posługiwania w kościele na Grodzieńszczyźnie i właściwie prawie ciągle w tym samym miejscu. Wpierw przez sześć lat był duszpasterzem w sobotnickiej parafii, a następnie został skierowany do sąsiednich Lipniszek, gdzie kapucyni swoją obecność zaznaczyli jeszcze przed wojną. W ciągu tak długiego czasu pracy Krzysztof dobrze poznał miejscowych ludzi i prawdziwą, powojenną historię ich ziemi. Często fakty, myśli i odczucia ludzi pozostają tylko w ich umysłach i sercach, i nie zawsze chętnie są przekazywane innym osobom, szczególnie na Kresach. Nie mieliśmy dużo czasu na rozmowę, bo Krzysztof miał jechać na wioski do chorych. W świetle wydarzeń z końca ubiegłego roku nie wiedział, jak długo jeszcze będzie w Lipniszkach. Obwodowy urząd do spraw religii i narodowości, nie wydał zgody na dalszą pracę i nie przedłużył wiz pobytowych siedmiu księżom, i pięciu siostram zakonnym z Polski. Krzysztof zezwolenie miał tylko do końca czerwca. W razie powrotu do kraju jego parafia nie zostanie bez duszpasterza. Na miejscu był ojciec Jerzy Kotowicz i jeden brat zakonny. Obydwaj z Białorusi. Pożegnałem się z Krzysztofem do następnego razu i oby znowu w Lipniszkach.

Było południe, a do autobusu do Sobotnik miałem prawie cztery godziny czasu. Nie chciało mi się tak długo czekać, więc poszedłem na rogatki miasteczka i spróbowałem te szesnaście kilometrów przejechać stopem. Po jakimś półgodzinnym staniu wyglądało na to, że kierunek na Sobotniki był mniej uczęszczany. Więcej samochodów wcześniej skręcało na Gieraniony, gdzie znajdowało się przejście graniczne z Litwą. Z tych paru aut, jakie przejechały obok mnie, żaden kierowca nie zareagował na moje machanie ręką. W końcu zatrzymała się wysłużona wołga, którą podjechałem do wioski Kamienczanie. To już była połowa drogi. Postanowiłem dalej iść pieszo, oglądając się, co jakiś czas, czy coś nie jedzie. Minęły mnie jeden, może dwa pojazdy nie zatrzymując się na dawane przeze mnie znaki, a ja z upływającymi minutami nie żałowałem tego.

Szedłem pustą, szeroką szutrową drogą. Po bokach miałem albo zielony, wysoki iglasty las, albo przestrzeń lekko pofalowanych i nagich pól. Przechodziłem przez wioski znane mi dotąd tylko z okien autobusu: Nackowicze pradziadka Emiliana Raksy, Czechowce nauczycielki Zosi Dubickiej, Borowiki, gdzie moja mama uczyła szycia młode dziewczyny. Szedłem mocnym krokiem i choć to był jeszcze marzec, to rozpiąłem zamek skórzanej kurtki i opuściłem kołnierz ciepłego swetra. Osiem kilometrów marszu przyniosło mi zmęczenie, ale było ono przyjemne i radosne. Moje płuca oddychały czystym świeżym powietrzem. Moje oczy zachłannie pochłaniały mijane obrazy, te bliskie i te dalekie.

20 marca, wtorek

Imianiny Emialijana, Paŭła, Kłaŭdzi

We wtorek rano pożegnałem Sobotniki. Musiałem być w Lidzie ze dwa dni, a także pojechać do Grodna. Jednak wewnętrznie już wiedziałem, że do mojego miasteczka powrócę w tym roku jeszcze nie raz. W porannej drodze do Iwia towarzyszył mi kuzyn Janek. Jak tylko ruszyliśmy w autobusie rozpoczęły się ożywione rozmowy, którym tak bardzo lubię się przysłuchiwać. Na dodatek wszyscy pasażerowie się znali. Siedzący obok nas Wicia Juchniewicz opowiadał swoje wrażenia z uczestnictwa w nagonkach podczas polowań. Chciał zostać myśliwym i to były jego początki.

Po obu stronach asfaltowej drogi ciągnął się sosnowy bór oddzielony od niej wąskimi, pourywanymi pasemkami resztek śniegu. Po lewej stronie, co pewien czas ukazywała nam się leśna

droga. Były to trakty do wywożenia świętych drzew, ale jedna z nich prowadziła do bliskich Mażul, wioski położonej wśród smukłych sosen. Mażule i zaraz przy nich Małe Mażule, zwane też Mażulami Szlacheckimi. Minęliśmy Wasilewice, Chilewice, Wodole - ostatnią wioskę z południowej strony naszej gminy. Przejechaliśmy przez Urciszki i po kilku minutach byliśmy w Iwiu. Już stał autobus do Lidy i za chwilę miał odjeżdżać. Janek pomógł nieść mój bagaż. Pożegnaliśmy się do następnego i byle szybkiego spotkania. Biało-niebieski autobus z lidzkiej bazy powoli ruszył z dworca w kierunku Lipniszek.

21 marca, środa

Imianiny Lazara, Liubamira

Z powrotem byłem w Lidzie i miałem przed sobą dwa spotkania. Wpierw z księdzem Józefem Hańczyem, który był proboszczem w jednej z większych w mieście i dość nowej parafii pw. św. Rodziny. Pierwsze w niej msze święte odbywały się w drewnianej niewielkiej szopie, która przypominała stajenkę betlejemską, jak żartował ksiądz Józef. Następnie została postawiona duża, ale też czasowa kaplica. Tuż obok niej wyrosła bryła nowego kościoła z czerwonej klinkierowej cegły. Tempo prac budowlanych nie było szybkie, ale czasami budowniczowie nie mieli żadnego wpływu na ich przyspieszenie. Na przykład latem ubiegłego roku w całej Białorusi brakowało cementu.

Rozmawiałem z ks. Józefem między innymi o siostrach zakonnych i kapłanach, którzy w ostatnim czasie musieli wrócić do Polski. Między nimi były osoby bardzo zasłużone dla kościoła grodzieńskiego. Poświęciły one kilkanaście lat swojego życia pracując wśród wiernych, starając się zaspakajać ich potrzeby nie tylko duchowe. Przykładem takiej osoby był ksiądz Mariusz Iliaszewicz, proboszcz w parafii pw. św.św. Szymona i Judy Tadeusza w Łazdunach, w naszym rejonie iwiejskim. Właśnie w jego obronie rodzimi parafianie oraz wierni z niedalekich Juraciszek, gdzie ksiądz Mariusz mocno zaangażował się przy budowie nowego kościoła, zaprotestowali parudniową głodówką w łazduńskiej świątyni. Niestety nie odniosło to pożądanego skutku. Tak jak zbieranie podpisów przed kościołami w Lidzie w obronie księży i siostr, którym odmówiono dalszej pracy na Białorusi. Zapewne ksiądz Mariusz Iliaszewicz był zbyt aktywny w swojej pracy duszpasterskiej, jak na standardy narzucane kościołowi przez białoruskie państwo. Chciał zrobić dla ludzi więcej i zajmował się nie tylko zwykłym prowadzeniem swojej parafii. Organizował grupy Anonimowych Alkoholików i spotkania młodzieży różnych wyznań w ramach tygodni kultury chrześcijańskiej.

A ludzie, którzy stanęli w obronie swojego kapłana i w końcu odpuścili. Czy mieli takie same cechy charakteru jak urodzeni przed wojną ich rodzice, dziadkowie i krewni? Były to osoby o zdecydowanych postawach wobec dobra i zła, prawdy i fałszu, wiary i patriotyzmu. Przed wojną przymioty te kształtowały w jednym duchu rodzina, szkoła, kościół i państwo. Przedwojenna generacja ludzi w zdecydowanie trudniejszych czasach lat powojennych obroniła swoje świątynie przed całkowitą zagładą. Zachowała wiarę i polskość, i tak jak umiała przekazała je swoim następcom. Z szacunkiem i miłością pochylmy przed nią głowy.

Drugą wizytę złożyłem księdzu Wincentemu Lisowskiemu, lidzkiemu dziekanowi i proboszczowi na Słobódce, dzielnicy Lidy, w której jeszcze przeważała drewniana zabudowa wolnostojących domów. Kościół na Słobódce został wzniesiony pw. Niepokalanego Poczęcia Matki Bożej. Właściwie były tam dwa kościoły. Przedwojenny drewniany i nowy o ciekawej architekturze, wybudowany za kadencji księdza Lisowskiego.

Ksiądz Wincenty przyszedł do sobotnickiej parafii w roku 1987, dokładnie w dwadzieścia pięć lat po śmierci księdza Pawła Bagińskiego, i kierował nią przez trzy lata. W tym czasie miał

wiele obowiązków związanych z remontem kościoła i jego odnowieniem. Niełatwe też były jego początki pracy duszpasterskiej wśród wiernych, którzy długo byli jej pozbawieni na co dzień, a często i w święta. Ksiądz Wincenty miał też możliwość zetknąć się i współpracować z osobami z naszej parafii, dzięki którym sobotnicki kościół nie został zamknięty, zamieniony na magazyn lub w rejonowe muzeum ateizmu. Wiele z tego, co mi powiedział kapłan było dla mnie nowością. Tej wiedzy nie umieściłem w wydanej drukiem książce pt. „Moje Sobotniki”, ale uzupełniłem to w jej wersji internetowej.

Blisko plebanii znajdował się przystanek autobusowy, z którego podjechałem dziewiątką do centrum miasta. Przy ulicy Lenińskiej na specjalnie przygotowanych klombach, ubrane w czerwone kamizelki kobiety sadziły jakieś iglaki. Na rogu Sowieckiej i Mickiewicza siedziały dwie babce i sprzedawały pestki słonecznika, główki czosnku, ziemniaki, kabaczki i ogórki. Ubrane były w ciepłe czarne kurtki i przypominały mi parę kruków, które przytuliły się do siebie, jakby w ten sposób chciały dodatkowo zabezpieczyć się przed otaczającym je chłodem.

Miasto Lida, założone w 1323 roku przez litewskiego księcia Giedymina, ma bogatą i ciekawą historię. Niestety nie widać tego w nazewnictwie ulic, które jak na przykład w polskich miastach, jest swego rodzaju podręcznikiem historii i też w jakiś sposób kształtuje świadomość narodową ich mieszkańców. W przypadku Lidy z jej historii wrywkowo i celowo wybrano czasy rosyjskiego panowania, lata II wojny światowej i okres komunizmu. Tak samo jest w innych miastach, miasteczkach, a nawet wioskach. W Sobotnikach przed wojną była ulica Antokol. Nazwano ją tak bardzo dawno temu dla uczczenia pięknej ulicy Antokol w Wilnie, przy której stoi barokowy kościół pw. św. Piotra i Pawła, perła architektury sakralnej jeżeli chodzi o wystrój wnętrza. Po wojnie sobotnicki Antokol przemianowano na ulicę Październikową, która jest w każdej większej wiosce na Białorusi. A przecież stara nazwa mogła pozostać choćby dlatego, że nikt nie słyszał, aby gdzieś była trzecia ulica Antokol poza Wilnem i Sobotnikami. I nazwa Antokol lepiej brzmi i lepiej się kojarzy.

Zwykle nazwami ulic upamiętniamy osoby zasłużone dla polityki, rozwoju nauki, kultury i sztuki. Honorujemy ludzi, którzy walczyli o niepodległość swojego kraju, pozytywnie zaznaczyli się w jego historii, w historii danego miasta, a nawet świata. Natomiast w Lidzie spacerujemy ulicami Kutuzowa, Suworowa, Paszkiewicza, Bagrationa, Marksa, Engelsa, Róży Luksemburg, Lenina, Krupskiej, Rewolucyjną, Komunistyczną, Komsomolską, Krasnoarmiejską, Internacjonalną, Październikową, Sowiecką, Kujbyszewa, Kalinina, Kirowa, Telmana, Ordżonikidze, Frunzego, Dzierżyńskiego, Czapaiewa, Tuchaczewskiego. W nazwach ulic są też żołnierze i komuniści z czasów II wojny światowej, powojenni działacze partyjni a nawet Aleksander Newski i Bohdan Chmielnicki. Jeżeli chodzi o upamiętnienie ludzi kultury i nauki, to dominują Rosjanie: Puszkina, Tołstoj, Turgieniew, Czechow, Lermontow, Kryłow, Gorki, Niekrasow, Miczurin. Jest też ulica Ukrainka Gogola i na szczęście dostrzeżono wielkość Adama Mickiewicza i jego związku z ziemią lidzką.

Dopiero od niedawna dwie skromne uliczki nazwano imieniem Janki Kupały⁴⁴ i Szolema Alejchema⁴⁵. Ten wybitny żydowski pisarz jest przedstawicielem narodu, który przed wojną tworzył znaczną społeczność miasta, i w którym mieściła się jena z największych szkół rabinicznych w Europie. Uważam, że powinien mieć swoją ulicę w Lidzie także Franciszak Bahuszewicz⁴⁶, który przez pewien czas był nauczycielem we wsi Dociszki powiatu lidzkiego. Powinni być również uhonorowany Jakub Kołas⁴⁷ i Maksim Bahdanowicz⁴⁸, a ze współczesnych twórców literatury Uładzimir Karatkiewicz⁴⁹ i Wasil Bykaŭ⁵⁰. Powinni być, ale nie są. Dlaczego? Czyżby ci Białorusini byli za mało białoruscy? A może nie byli białoruscy według oficjalnej, odgórnie ustalonej kiedyś i przez kogoś linii?

22 marca, czwartek

Imianiny Waleryja, Bagustawa

Saraki-wiosenne święto rolników. U prawosławnych jest to dzień „Czterdziestu męczenników z Sebasty”⁵¹. Tego dnia oczekiwano przylotu pierwszych skowronków, odtajania drzew. Zima się kończy, a wiosna zaczyna.

Kiedy od Gromnicznej do Czterdziestu utrzymuje się dobra pogoda, to latem spodziewać się można suszy.

Po „Czterdziestu męczennikach” przyjdzie jeszcze czterdzieści zimnych dni, zanim nastanie prawdziwe ciepło.

Wcześniej rano pojechałem do Grodna, a powodem tej podróży były moje książki. Dwa lata temu przekazałem do sklepiku znajdującego się przy kurii biskupiej broszurę pt. „Trokiele 2003”. W ubiegłym roku dostarczyłem trzy nowe tytuły: „Moje Sobotniki”, „Żemłostaw” i „Białoruskie podróże”. Okazało się, że mimo nie tak krótkiego czasu liczba sprzedanych egzemplarzy była znikoma. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało? W moich pracach, na przykładzie mojej ziemi rodzinnej, opisałem historię i życie Polaków na Grodzieńszczyźnie, w tym także ich życie religijne. W „Białoruskich podróżach” przedstawiłem cztery różnej rangi uroczystości z roku 2005. Jedną z nich była koronacja Matki Bożej Kongregackiej, patronki Grodna, i jubileusz trzechsetlecia konsekracji bazyliki pw. św. Franciszka Ksawerego. Na tej uroczystości było kilka tysięcy wiernych, a ja dałem do sklepiku tylko sześćdziesiąt egzemplarzy książki napisanej w wersji polsko-białoruskiej.

Na miejscu spotkałem się i tym razem z raczej niechętnym przyjęciem, a starsza siostra zakonna, z którą rozmawiałem poradziła mi, abym zabrał swoje książki i pojechał z nimi do Mińska. Dla mnie jej słowa były zupełnie niezrozumiałe. W Grodnie mieszkało najwięcej Polaków na Białorusi - około trzydzieści procent z trzystu tysięcy jego mieszkańców. W księgarniach nie było polskich książek. Moje prace przeznaczyłem dla Polaków na Grodzieńszczyźnie, a miałem jechać z nimi do Mińska?! Przekonałem się sam, sprzedając moje książki przed kościołami w Sobotnikach, Iwiu i Lidzie, że rodacy byli zainteresowani tym, co napisałem. Trzeba tylko chcieć ich poinformować, że takie książki istnieją. Pokazać im je i zachęcać do nabywania. Widocznie w sklepiku przy kurii biskupiej nikt tego nie chciał.

I jeszcze jedno zdarzenie z tego miejsca, które wywołało moje zdziwienie i konsternację. Przede mną stało dwóch młodych księży. Pierwszy z nich zwracał się do siostry wyłącznie trasianką. Jest to język oparty na połączeniu białoruskiej fonetyki z rosyjskim słownictwem, a czasami i składnią. Taki sam język występuje w słowie drukowanym. Jeżdżę od dawna na Białoruś i trochę znam realia tego kraju. Rozumiem, że ten młody człowiek został wychowany w tym języku, który jest podstawowym na Białorusi. Myślę jednak, że znał też język polski i białoruski. Z pewnością używał ich podczas studiów w seminarium i odprawiając msze św. oraz nabożeństwa. Powinien też być wiedzieć, że są także inne miejsca czy sytuacje, w których lepiej brzmi i wygląda posługiwanie się jednym z tych języków, zamiast trasianką. Kiedy drugi ksiądz robił zakupy, to rozmawiał z siostrą w czystym języku polskim, nawet bez wyraźnego akcentu kresowego. Ten kapłan znał moją książkę o Sobotnikach i bardzo ją chwalił. Był proboszczem w Brzostowicy Wielkiej leżącej blisko naszej granicy, jednym z bastionów polskości i wiary katolickiej na Grodzieńszczyźnie, przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Kiedy kilka razy dzwoniłem do grodzieńskiego seminarium, dyżurna osoba zawsze odzywała się do mnie trasianką. Nie po białorusku, nie po polsku. I to właśnie język trasianki powinien być eliminowany z życia publicznego, szkolnictwa, wychowania i rodziny na korzyść języka białoruskiego, aby nie stał się on z czasem tylko elementem folkloru dla zagranicznych turystów. Uwa-

zam, że tak powinno być, jeżeli język, którym się posługują obywatele Białorusi i w którym powstaje słowo pisane ma mieć istotne znaczenie dla białoruskiej tożsamości, a nie wewnętrzne przekonanie każdego człowieka. Moim zdaniem trasianka stanowi zagrożenie dla języka białoruskiego, a nie język polski w kościele katolickim, jak uważają na Białorusi niektóre środowiska, także opozycyjne. Podobny też pogląd mają duchowni białoruscy o wyraźnym narodowym i niechętnym Polakom nastawieniu. Do Lidy wróciłem rozgoryczony i z zabranymi ze sklepiku książkami.

24 marca, sobota

Imianiny Safrona, Jafima, Marka

Wczesnie rano pożegnałem ciocię Władzię i Lidę, i odjechałem do Grodna. Na dworcu autobusowym miał mnie spotkać Stanisław Mulica. To mój ziemiałak z wioski Dojlidy niedaleko Iwia. Jego mama, Jadwiga Szawioła, pochodziła z wioski Kisłe sobotnickiej parafii. W dziecięcych latach Staś wszystkie wakacje spędzał u dziadków w Kisłych.

Staś był prezesem Towarzystwa Twórców Ludowych na Białorusi. Działo ono przy Związku Polaków na Białorusi, tym, którym kierowała Andżelika Borys. Towarzystwo powołano do życia w roku 2002, a inspiracją do jego powstania był pierwszy Grodzieński Kaziuk. Na początku zebrało się osiemdziesięciu twórców ludowych z Grodna i rejonu grodzieńskiego. W krótkim czasie grupa ta powiększyła się o osoby pochodzące z innych miast i miasteczek Białorusi. Wśród twórców ludowych zrzeszonych w Towarzystwie znalazły się osoby reprezentujące regionalne ludowe rzemiosła artystyczne jak: kowalstwo, tkactwo, wycinanki i pisanki, palmy grodzieńskie, koronkarstwo i haft, wyroby ze słomy i skóry, malarstwo, a także wyspecjalizowane w przygotowaniu tradycyjnych potraw kuchni białoruskiej.

Towarzystwo współpracowało z Państwowym Muzeum Kultury Ludowej w Mińsku, z Obwodowym Centrum Twórczości Ludowej w Grodnie, z Państwowym Muzeum Historii i Archeologii w Grodnie i z wieloma różnymi ośrodkami rzemiosła ludowego na Białorusi. Nawiązało i podtrzymywało kontakty z instytucjami naukowo-badawczymi z Polski, z Ukrainy i z Litwy, związanymi z kulturą ludową. W Polsce Towarzystwo utrzymywało dobre kontakty z Muzeum Etnograficznym w Warszawie, z Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, z Muzeum Podlaskim w Białymstoku, z Muzeum Narodowym w Gdańsku, z Muzeum Kultury Ludowej w Otrębusach, ze Stowarzyszeniem „Uroczysko” z Supraśla i wieloma innymi. Członkowie Towarzystwa wzięli udział w ponad dwustu jarmarkach i wystawach zorganizowanych na Białorusi i w Polsce. Na zaproszenie Międzynarodowych Targów Poznańskich byli w ubiegłym roku na grudniowym Festiwalu Sztuki i Przedmiotów Artystycznych. Stanisław oprócz prezesowania i organizowania, zajmował się robieniem wycinanek według wzorów pochodzących z terenów Grodzieńszczyzny.

Z dworca autobusowego Staś odprowadził mnie do niedalekiego „żede”⁵². Do odjazdu pociągu nie miałem zbyt dużo czasu, więc po drodze staraliśmy się wymienić jak najwięcej informacji. Staś i jego Towarzystwo wspierali działania Andżeliki Borys. On sam brał aktywny udział w spotkaniach zarządu Związku, które odbywały się niedaleko siedziby naszego konsulatu w Grodnie. Szliśmy ulicą Budionnego i właśnie koło niego przechodziliśmy. Był jeszcze zamknięty, a przed bramą ustawiła się spora grupa petentów. Zawieszane na masztach flagi Polski i Unii Europejskiej wyglądały trochę smętnie i było widać, że są brudne. I znowu męczyły mnie nazwy ulic, tym razem Grodna. Zdecydowanie przeważały w nich nadania imion z niedawnych komunistycznych czasów, w wielu przypadkach takie same jak w Lidzie i w innych białoruskich miastach. Oczywiście byli też Rosjanie z okresu zaborów. Na przykład carski generał Suworow, któ-

ry pod Stołowiczami zwalczał konfederatów litewskich na czele z hetmanem wielkim Michałem Kazimierzem Ogińskim⁵³. Nadal też była w Grodnie ulica 17 września 1939 roku.

Z pewnością na Białorusi są jeszcze mocne związki z minioną epoką, dlatego bardzo nieśmiało pojawiają się w nazewnictwie Grodna słowa mówiące o prawdziwej, pięknej i chlubnej historii tego nadniemeńskiego miasta. „Królewskie miasto”, tak reklamowane jest Grodno w niektórych białoruskich przewodnikach. Tak, królewskie, bo ulubione przez Stefana Batorego, który w nim zmarł. Tutaj także zakończył swoje święte życie królewicz Kazimierz. Tutaj odbywały się sejmy grodzieńskie⁵⁴, a baron Antoni Tyzenhauz⁵⁵ dokonał dużego dzieła uprzemysłowienia miasta i okolicy. I jeszcze można by wiele więcej wymieniać. Niedawno ulica Batorego i plac Tyzenhauza dołączyły do Elizy Orzeszkowej. Pozytywną też zmianę zauważyłem w tym, że chodząc ulicami Grodna mogłem wreszcie czytać to miasto w języku białoruskim, w którym słowo „kawiarnia” wymawia się tak samo jak po polsku.

Kupiłem bilet do Kuźnicy Białostockiej, dwie butelki nieznanego mi rosyjskiego piwa i wymieniałem pozostałe ruble białoruskie na dolary. Staś zrobił mi miłą niespodziankę dając w prezencie kilka swoich wycinanek, parę słomkowych ozdób przedstawiających aniołka i dzwoneczki, kolorową wydumkę, zbiorek wierszy autorstwa swojej żony pt. „Spowiedź duszy”, książkę Tadeusza Gawina pt. „Związek Polaków na Białorusi. Historia niszczenia niezależności 1988-2005”, dwa wydania „Głosu znad Niemna” i „Magazynu Polskiego” wydrukowane na obczyźnie.

- Tylko schowaj dobrze książkę i niezależną prasę - powiedział Staś. - Jak nasi celnicy je znajdą, to nie pozwolą ci ich przewieźć.

Pożegnaliśmy się do następnego spotkania na Białorusi, a może w Polsce? Będziemy ze sobą w kontakcie internetowym.

Stałem w kolejce do tamożni. Podszedł do mnie znany już mi z widzenia mężczyzna z pytaniem, czy nie przewiozłbym przez granice kartonu papierosów. Oczywiście, że się zgodziłem, tym bardziej, że sam nie wiozłem nawet paczki. Celnik nawet nie zajrzał do mojej walizki i po krótkim oczekiwaniu siedziałem już w pociągu.

Po kilku minutach byliśmy nad Niemnem. Rzeczywiście nad Niemnem, nad którym przejechaliśmy kolejowym mostem. To rzeka, której widok oprócz Gawii, Wisły i Warty zawsze przyspieszał bicie mojego serca. W Kuźnicy Białostockiej oddałem powierzony mi karton papierosów i skorzystałem z usług białoruskich kierowców. Akurat byli na dworcu i swoimi samochodami osobowymi przewozili chętnych podróżnych do Białegostoku. Szczególnie ważne było to dla takich podróżnych, którzy jak ja jechali jeszcze dalej. W ten sposób niedrogo, wtedy było dzieśnięć złotych od osoby, i o wiele szybciej mogłem dojechać do stolicy Podlasia.

Białystok, pociąg, most nad wczesnowiosennie rozlaną Narwią, noc rozjaśniona światłami stolicy, Poznań, dom.

Powrót do domu. Do domu....

1 maja 1958 roku opuściliśmy rodzinne sobotnickie strony i przyjechaliśmy do Polski. Przez pierwsze trzy miesiące mieszkaliśmy w Osiecznej koło Leszna, a następnie pięć lat w Żarach koło Żagania, dokąd na przyjazd namówili moich rodziców Stanisław i Maria Dziadulowie. Tuż przed wojną mieszkali oni na kolonii sobotnickiej nad rzeczką Matrą, blisko dziadka Bronisława. Stanisław Dziadul za okupacji niemieckiej był podsołtysem na kolonii. Do Polski wyjechał ze swoją rodziną zaraz po zakończeniu wojny, słusznie obawiając się represji ze strony Sowietów. My na stałe do Poznania przyjechaliśmy w 1963 roku. Ściągnęła nas tutaj babcia Maria, jak mówiliśmy z siostrą na mamy ciocię, która wyszła za mąż za Franciszka Kononowicza.

Franek był starszym bratem dziadka Jana. W drugiej połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku wyjechał za chlebem do Francji. Znalazł pracę w zakładzie hutniczym w mieście Denain koło Lille, w okręgu Valenciennes na północy kraju. Poznał tam Marię Koszarek, urodzoną w Strzał-

kowie koło Wrześni, która przyjechała na pewien czas do Francji do swoich krewnych. Maria miała dziesięcioro rodzeństwa i była trzecia w kolejności, jeżeli chodzi o wiek. W 1931 roku Franciszek i Maria pobrali się, a w 1947 przyjechali do Poznania. Zamieszkali na osiedlu Warszawskim w domu przy ulicy Łęczyckiej 7. Byli jego współwłaścicielami. Budynek powstał jeszcze przed wojną. Na jego postawienie małżonkowie przysyłali pieniądze zarobione we Francji. Franek pomagał też finansowo swojemu bratu Jankowi, dzięki czemu jeszcze przed wojną rozpoczął on stawianie nowej chaty na kolonii sobotnickiej koło Dowgiałowszczyzny.

Na zdjęciu z 1936 roku dom przy ulicy Łęczyckiej stoi w całej swojej okazałości. Jest nieotylnowany. Z frontu, na parterze po prawej stronie, widać witrynę i drzwi wejściowe do sklepu, prawdopodobnie z artykułami drogowymi i chemicznymi. Z trudem odczytuję umieszczone na szybie okna wystawowego niewielkie nazwy reklam Persil i Henko. Z lewej strony budynku widać drobny fragment sąsiedniego domu Nowickich, a między nimi z tyłu, część jakiegoś domu stojącego na ulicy Inowrocławskiej. Za budynkiem i prawej jego strony rozpościera się pustkowie, aż po horyzont zamknięty rzędem drzew. Chociaż drugi plan fotografii jest niewyraźny, to chyba rozpoznaję na nim paliki wytyczające kolejne posesje na zabudowanych dzisiaj ulicach Inowrocławskiej i Pilskiej.

Po powrocie do Polski Franciszek wysyłał do brata listy, w których pisał, że dokona wszelkich starań, aby Jan ze swoją rodziną przyjechali do Polski na stałe. Tak się też miało stać w roku 1946 i wszelkie formalności były już załatwione. Niestety, tragiczna śmierć babci Wiktorii, żony dziadka Jana, pokrzyżowała plany rodziny Kononowiczów. Dziadek nie chciał już wyjeżdżać mimo obiecywanej pomocy brata w Polsce. Ekspatriacja⁵⁶ została zawieszona w czasie i zrealizowała się częściowo dopiero po ślubie moich rodziców. Franciszek wtedy już nie żył, zmarł 25 czerwca 1951 roku, ale sprawę sprowadzenia do Poznania rodziny brata przekazał swojej żonie Marii, która się tego podjęła. I za to jesteśmy jej bardzo wdzięczni, a szczególnie moja mama.

Chociaż Franciszek i Maria Kononowiczowie byli współwłaścicielami piętrowego domu, to warunki, w jakich zamieszkaliśmy były trudne. W budynku były cztery niewielkie mieszkania o powierzchni czterdziestu dwóch metrów kwadratowych każde i czterech lokatorów: na parterze Chwirotowie i Helkowie, na piętrze babcia i Woźniakowie. Dodatkowo u babci mieszkała jedna pani, która wynajmowała osobny, najmniejszy pokój zaadaptowany z kuchni. Babcia Maria odstąpiła nam jeden z czternastometrowych pokoi, a sama przeniosła się do drugiego. Ten pokój służył nam także za kuchnię. Kiedy urodziła się moja siostra Irena, jeszcze przez pewien czas mieszkaliśmy we czworo w tym jednym pokoju zanim sublokatorka się wyprowadziła. Minęło kilka lat i babcia przeniosła się na parter, na zwolnione po lokum Helkach. No i my mieliśmy już całe mieszkanie dla siebie. W tym domu mieszkałem dwadzieścia trzy lata. Tutaj po ślubie wprowadziła się moja żona i pierwsze trzy lata swojego życia spędził nasz syn Jasiu. Moje i siostry dzieci mówiły na babcię Marię Kononowicz „babcia starsza”, aby odróżnić ją od tych babć prawdziwych i na dodatek też o imieniu Maria.

Babcia Maria Kononowicz zmarła w swoim mieszkaniu cichutko i spokojnie dnia 28 kwietnia 2000 roku. Miała dziewięćdziesiąt siedem lat.

W 1963 roku dom przy ulicy Łęczyckiej 7 był nadal nieotylnowany. Drzwi wejście znajdowały się na ścianie bocznej, wschodniej, od strony posesji Kopaczów, gdzie mieszkali także Kobylińscy. Za drzwiami było zejście do piwnic i pralni oraz schody prowadzące do samego strychu, do parteru pięć stopni betonowych, a dalej drewniane. Klatki schodowe, betonowa na parterze, były obszerne kosztem metrażu mieszkań, przez co nie było w nich łazienek tylko większe ubikacje z umywalkami. Piwnice służyły do składowania węgla i drzewa, do przechowywania kompotów, niewielkiej beczki z kiszonymi ogórkami bądź kapustą oraz innych przetworów spożywczych na zimę. W swojej piwnicy Feliks Woźniak prowadził warsztat mechaniczny, w którym produkował

noże tokarskie. W pralni był piec z dużym metalowym kotłem do podgrzewania wody. Stały w niej także blaszane wanny i tarki oraz pralka wirowa Frania. Na strychu, który był nad piętrem na całej jego powierzchni, wieszano się pranie do wysuszenia. Nie wszystkie domy na ulicy Łęczyckiej miały tak obszerne strychy, dlatego niektórzy sąsiedzi czasami suszyli swoje pranie u nas.

Przy ścianie frontowej domu, południowej, rosło słodkie białe winogrono o dużych owocach. Było mocno rozkrzewione i wspinało się po drewnianym stelażu przymocowanym do ściany, aż do okien pierwszego piętra i balkonu. Przed domem był niewielki ogródek, w którym królowała wiśnia łutówka. Drzewo było dość wysokie i miało szeroką rozłożystą koronę. Co roku na wiosnę bujnie zakwitało, a latem dawało mnogość dużych ciemnoczerwonych owoców o kwaśnym smaku przenikniętym odrobiną słodczy. Przy drugiej bocznej ścianie domu, zachodniej, od strony sąsiadów Nowickich, ale bardziej z tyłu, rosły dwie wysokie grusze. Jedna miała owoce niezbyt duże i twarde, w kolorze szarej zieleni, które nabierały miękkości i smaku dopiero po dłuższym leżakowaniu w kartonie. Owoce drugiej były duże z żółtoczerwonym rumieńcem, dojrzewały na drzewie, były soczyste i bardzo smaczne. Przy tej gruszy na narożniku budynku, stała niewielka drewniana szopa-składzik.

Na tyłach domu w podwórzu mieściła się niewielka piekarnia. Pracowało w niej dwóch mistrzów piekarskich, paru czeladników i pomocników. Kierownikiem zakładu był Bronisław Nowak, były więzień Oświęcimia. Wieczorami latem z otwartych okien piekarni dochodziła radio-wa muzyka i odgłosy pracujących ludzi, dla których dopiero rozpoczynał się dzień roboczy, a właściwie był to początek roboczej nocy, podczas gdy dla nas zwykły dzień dobiegał końca. W porannych zapachach z piekarni był smak świeżego ciepłego chleba, spękanej jasno złotobrazowej i chrupiącej skórki na bokach bochenka, podłużnych kawiorzków, niewielkich i krągłych pszennych bułek. Pieczywo sprzedawano bezpośrednio w piekarni od godziny szóstej rano, a od ósmej w niewielkim sklepie spożywczym, który znajdował się na parterze z frontu naszego domu.

Wiklinowe kosze pełne na sztorc postawionych bochenków, niecierpliwie czekały na stopniach wejściowych do sklepu, aż otworzą się drzwi i zostaną wniesione do środka. Ta niecierpliwność wynikała z obawy, aby nie uciekło ciepło z ich zawartości a z nim smak mięksizsu i przeżuwanej osobno skórki chleba, zanim nie trafi on do rąk kupujących. Obok stopni dumnie wypinały brzuchy aluminiowe kanki z mlekiem i śmietaną, zastąpione później przez szklane butelki w azurowych drucianych pojemnikach. Mleczarze zjawiali się przed sklepem około godziny piątej rano. Przyjeżdżali od strony ulicy Mogileńskiej, stukocząc niemelodyjnie podskakującymi na samochodzie pojemnikami z mlekiem i objajającymi się o siebie metalowymi kankami. Największy hałas był oczywiście podczas rozładunku pod naszym domem.

W tym bliskim sklepie, ja i moi najbliżsi koledzy, Jacek, Maciej i Mariusz, kilkuletni smarkacze, kupowaliśmy lizaki w kształcie kogutka lub głowy Mikołaja, landrynki na wagę, dropsy o smaku owocowym – kolorowe krążki zawinięte w papierową tubkę, kawałki słodkich bloków o smaku czekoladowym lub kawowym z wtopionymi węń herbatnikami. Jednak największym dla nas smakołykiem była oranżada w proszku, zamknięta w niewielkiej papierowej torebce. Otwieraliśmy torebkę i językiem nabieraliśmy do buzi odrobinę pomarańczowej substancji cmokając przy tym głośno i smakowicie.

Wiklinowe kosze na chleb, później już puste, stały na podwórku przed piekarnią i były świetną zabawą do tworzenia z nich budowli z sekretnymi tunelami. Piekarnia piekła nie tylko swoje wyroby. Dwa razy w roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, mieszkańcy okolicznych ulic przynosili do wypieku blachy z sernikami, makowcami i jabłecznikami własnej roboty. Może nie każdy miał możliwości takiego wypieku w domu, a z pewnością smak placków upieczonych w piekarniczym piecu był lepszy niż w domowym piekarniku.

Dom przy ulicy Łęczyckiej 7. Angielka⁵⁷ z rozgrzanymi do czerwoności fajerkami, dająca przyjemne ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Zimne stopy przykładane do zielonych, zdobionych kafli pokojowego pieca. Oszronione, umalowane przez mróz białe szyby okien. Wychuchana w malunku dziurka, przez którą łowiłem obrazy z ulicy. Rytmiczne odgłosy odmiatania chodnika z białego nalotu śniegowych płatków. Tata w brązowej czapce z daszkiem na głowie i Sportem w ustach, ubrany w wатовaną kamizelkę. W rękach trzyma brzożową miotłę zrobioną przez siebie wiosną ubiegłego roku.

Zawsze musiał być czymś zajęty, nawet na emeryturze. Zawsze chętnie swoją pomocą służył innym i nikomu jej nie odmawiał. Jak jeszcze pracował zawodowo, to w okresie działkowym codziennie po obiedzie, chodził uprawiać siedemset metrów kwadratowych naszego ogrodu przy ulicy Trzemeszeńskiej. Kiedy przekazaliśmy działkę pod budowę nowego kościoła na osiedlu Warszawskim, tata nie mógł długo obejść się bez niej. Po śmierci Jana Klingera, męża mamy koleżanki Marysi, przez kilka dobrych lat uprawiał jej przydomowy ogródek. Miał dobrą rękę do tych prac, był przecież synem rolnika.

Podczas wakacji spędzanych w Sobotnikach nigdy tam nie odpoczywał, chociaż był to jego urlop. Chwytał kosę do ręki, brał piłę do drzewa, pomagał bratu Albinowi malować chatę. W domu bardzo rzadko czytał gazety i oglądał telewizję. Już przy wieczornym dzienniku telewizyjnym zamykały mu się oczy i szybko kładł się do łóżka. Wstawał jednak o godzinie czwartej rano wyspany i wypoczęty. I cóż tutaj było robić, kiedy do wyjścia do bliskiej pracy w Pomocie⁵⁸ był jeszcze czas? Tata wpierv jadł porządne śniadanie, najchętniej parówki albo kiełbasę zwyczajną na ciepło. Następnie szukał jakiejś pracy do wykonania. Zimą były to zajęcia konieczne, jak odmiatanie chodnika ze śniegu, przyniesienie z piwnicy węgla i drewna do napalenia w kaflowych piecach. Były też czynności, których nie musiał wykonywać. Ale jak tu nie umyć naczyń i garnków z dnia poprzedniego zostawionych przez mamę, która do późnej godziny była zajęta zarobkowym szyciem?

Mama miała ku temu talent, a nauczyła się krawiectwa u Broni Bohuszewiczowej na kolonii nad Łyntupką. Potrafiła uszyć proste fartuchy domowe, spódnice, sukienki, żakiety i garsonki. A ile powszywała zamków do męskich spodni, poskracała nogawek. Odbiorcą fartuchów byli państwo Helena i Mieczysław Młodakowiez ulicy Młyńskiej, którzy mieli stragan z damską odzieżą na Rynku Bernardyńskim.

Kiedy byłem w trzeciej klasie szkoły podstawowej, to za pieniądze uzyskane z tych fartuchów, wspartych pewną kwotą otrzymaną ze sprzedaży czosnku uprawianego na działce, mama kupiła mi nowy rower. Był to normalny duży rower z kierownicą wygiętą jak w kolażówkach. Nie posiadał przerzutki, a tylko zegarówkę pozwalającą swobodnie kręci pedałami do tyłu. Nie miał też konkretnej marki tylko skrót nazwy fabryki - ZZR⁵⁹, w której został wyprodukowany. Jeźdź na nim po dziś dzień.

Ulica Łęczycka była wybrukowana kocimi łbami, tak jak wówczas wszystkie na osiedlu Warszawskim. Jedyne fragment ulicy Swarzędzkiej, gdzie mieściła się apteka, pokryty był asfaltem.

Majowy ciepły deszcz i wodne strumyczki przy krawężnikach, którymi puszczaliśmy zrobione własnoręcznie papierowe łódki nie wiedząc, że jest to orgiami. Mężczyzna z konnym wozem, skupujący starą i niepotrzebną odzież, szmaty. Pojawiał się co jakiś czas głośno i śpiewnie wykrzykując cel swojego przybycia.

- Szmaty skupuję, szmaty! Stare ubrania!

Płacił dorosłym za te rzeczy jakieś grosze, a nam dzieciom dawał kolorowe wypchane piłeczki na długich gumkach i niewielkie, płaskie gwizdawki-słowiki. Wkładało się takiego słowika do buzi, przytrzymywało lekko językiem do podniebienia i wydmuchując ustami powietrze gwizdało się w różnych tonacjach. Rzadziej od szmaciarza pokazywał się mężczyzna, który ostrzył noże

kuchenne, nożyki do maszynek do mielenia mięsa oraz różne nożyczki.

Najważniejszym dla mnie i moich kolegów z ulicy był jej dłuższy odcinek między Mogileńską a skrzyżowaniem z Kostrzyńską. Mieszkaliśmy na nim i przemierzaliśmy go codziennie przez okrągły rok. Z Kostrzyńskiej wychodziło się na Inowrocławską, przy której stała szkoła podstawowa nr 46, zaledwie kilka minut drogi od naszych domów. Jakże jednak ciężko było się wybrać na lekcje, które zwykle rozpoczynały się o godzinie ósmej.

- Kazik, wstawaj do szkoły - usłyszałem głos mamy, ale nie otworzyłem jeszcze oczu. - Wstawaj, bo się spóźnisz - powiedziała i lekko potrząsnęła mnie za ramię. - Mamo, jeszcze tylko pięć minutek poleżę - odpowiedziałem naciągając kołdrę na głowę. - Tak dobrze mi się spało - dodałem wciąż nie otwierając oczu.

Za ulicą Mogileńską rozciągał się teren porośnięty rzadko sosnami, z niewielkimi polanami, na których graliśmy w piłkę nożną. Na końcu Mogileńskiej, w kierunku dawnej Fabryki Łożysk Toczyńskich, była rakarnia i duża hodowla gęsi. W jej pobliżu rosły bujne krzewy glupek⁶⁰, a za gospodarstwem, aż do płotu okalającego fabrykę, była duża i częściowo podmokła łąka. Wczesną wiosną pękały na niej grube tafle zamrożonej wody i tworzyły się kry, na których można było świetnie się bawić. Kiedy wiosna już na dobre się rozgościła, chodziliśmy na łąkę zrywać kaczęce dla naszych mam. Czasami była to asekuracja przed matczyną burą, jeżeli na czas nie przychodziliśmy do domu, lub co było gorsze, matki same wychodziły nas szukać. Jesienią puszczailiśmy na łące latawce, ale nie tylko my, lecz także chłopcy z sąsiednich ulic a nawet z całych klas w ramach lekcji z zajęć technicznych. Dzisiaj w tym miejscu ulicy Mogileńskiej znajduje się firma Bemo Motors, autoryzowany dealer samochodów marki Ford.

Przy ulicy Mogileńskiej, między ulicą Kolską a Konińską, stał duży betonowy budynek z czasów II wojny, przykryty grubą warstwą ziemi i nazywany forą od słowa fort. Fora była dla nas świetnym miejscem do zabaw, szczególnie zimowych.

Kiedy tamtędy przechodzę i spoglądam na dzieci zjeżdżające na sankach, to mam takie nieodparte wrażenie, że jeszcze nie tak dawno ja, Mariusz, Jacek i Maciej tutaj zjeżdżaliśmy. To nie mogło być czterdzieści parę lat temu, ale niedawno, może wczoraj, bo wszystko bardzo dobrze pamiętam. Tak, tak bardzo bym chciał, żeby to było niedawno, żeby to było wczoraj. Żebyśmy wracali do domów o zmroku, radośnie zmęczeni i spoceni, w przemokniętych butach, ze śniegiem na ubraniach ciągnąc za sobą nasze sanki. I żeby czekały na nas nasze mamy i ojcowie.

Okolice skrzyżowania ulic Mogileńskiej i Warszawskiej była bardzo ważnym miejscem dla mieszkańców osiedla Warszawskiego. Sama Warszawska tworzyła jednopasmową dwukierunkową nitkę, pokrytą granitową kostką z rzędami drzew po obu jej stronach.

16 kwietnia 1966 roku wieczorem stałem z rodzicami wśród setek ludzi blisko tego skrzyżowania. Czekaliśmy na kolumnę samochodów z kardynałami i biskupami, udającymi się z Gniezna do Poznania na uroczystości obchodów 1000lecia chrztu Polski. Kiedy nadjechali rozległ się powitalny hymn: „My chcemy Boga święta Pani! O usłysz Twoich dzieci śpiew! (...)”⁶¹, który głośno i wysoko niósł się w rozgwieżdżone niebo.

Majowe miesiące były oczekiwaniem na kolarzy z Wyścigu Pokoju, których kolorowy peloton w mgnieniu oka przemykał obok nas, a my biegliśmy przez Mogileńską do naszych domów, aby włączyć telewizory i za chwilę obejrzeć sprinterski finisz na stadionie im. 22 Lipca.

Tydzień, w którym wypadła pierwsza niedziela września był poświęcony na uroczystości w sanktuarium Maryjnym w Tulcach, w gminie Kleszczewo niedaleko Poznania. We wczesny niedzielny wieczór mieszkańcy osiedla Warszawskiego szli w kierunku ulicy Pustej, aby spotkać parafialną pielgrzymkę wracającą z sanktuarium. Niektóre z nas dzieci trzymały w rękach kolorowe lampiony i byliśmy bardzo zafascynowani odpustowymi zabawkami, jakie pokazywali nam starsi koledzy uczestniczący w tej religijnej wędrówce.

Kolorowe lampiony, często zrobione własnoręcznie, towarzyszyły także roratom⁶². Ciężko wstawałem na tą poranną mszę, ale szedłem już raźniej i z nadzieją, że może tym razem wylosuję jakąś figurkę. Moja droga do dużej drewnianej kaplicy na osiedlu Warszawskim wiodła ulicami: Łęczycką, Słupecką i Płocką. Przy Płockiej znajdowało się przedszkole, za którego ogrodzeniem zawsze coś tajemniczo szeleściło wśród liści opadłych z krzewów. Między przedszkolem a ulicą Kutnowską były niewielkie planty pełne dziecięcego gwaru, różnych huśtawek, równoważni i zjeżdżalni. Tuż za plantami stał nasz kościół parafialny pw. Chrystusa Odkupiciela, wybudowany w 1935 roku. Wejście do niego było od strony ulicy Toruńskiej, do której prostopadle dochodziła Płocka. Tuż obok tego skrzyżowania rozpoczynała się ulica Czerniejwska, przy której blisko stała duża drewniana kaplica. Na jej tyłach, od strony ulicy Trzemeszeńskiej, znajdowała się nasza działka ogrodowa. W 1963 roku wikarym w naszej parafii był młody ksiądz Zenon Grocholewski, który wkrótce pojechał na studia do Rzymu i pozostał w Watykanie osiągając godność kardynała. Obecnie na miejscu kaplicy, naszego i dwóch sąsiednich ogrodów znajduje się duży kościół wybudowany w latach 1981-1983.

Chłopcy z ulicy Łęczyckiej, moi rówieśnicy i koledzy. Jacek Kobyliński „Koba” z sąsiedniego domu, z którym chodziłem osiem lat do jednej klasy B naszej podstawówki. Maciej Rybski „Ryba” z prawie naprzeciwka. Nie pamiętam, dlaczego podczas uroczystego zapisywania do pierwszej klasy 1 września 1964 roku, Macieja mama wpierw ustawiła go w naszej grupie, a następnie się rozmyśliła i przeniosła go do tworzonej klasy A. Może dlatego, że była już w niej Lilka Bajon, koleżanka z naszej ulicy. Mariusz Szymoniak „Szymon”, młodszy od nas o rok. Nie stanowiło to jednak istotnej różnicy i razem, jeszcze przed pójściem do szkoły, stworzyliśmy bliską sobie paczkę kolegów.

Graliśmy w nogę na niewielkiej polanie między sosnami tuż za ulicą Mogileńską. Bawiliśmy się w Indian w trochę dalej położonym zagajniku sosnowym. Chodziliśmy na grzyby do lasu, który zaczynał się niedaleko naszej ulicy i ciągnął się do cmentarza miłostowskiego przecięty żelazną wstęgą linii kolejowej Poznań-Warszawa. Kapaliśmy się w niedalekim jeziorze Maltańskim. Zimą szaleńczo zjeżdżaliśmy na sankach, łyżwach a nawet butach z ośnieżonej fory. Łyżwy przypinaliśmy do butów i w zależności od sposobu ich mocowania nazywały się one żabkami, albo korkami. Rzadko który z chłopaków miał hokejówki albo figurówki, a Darek Ciachera, klasowy kolega, który mieszkał na rogu Łęczyckiej i Kostrzyńskiej, szczycił się holenderkami. Były to długie łyżwy z fantazyjnie i mocno zakręconymi czubkami.

Trochę później dołączył do nas Leszek Mikołajczak z naszej klasy B. Mieszkał niedaleko, przy ulicy Kostrzyńskiej. W drugiej klasie podstawówki Leszek namówił mnie do wstąpienia do ministrantów. Byliśmy w jednej ministranckiej grupie i tworzyliśmy parę śmieszków. Często nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu słysząc, jak każdy z nas rozpoczyna śpiewać pieśń religijną. We dwójkę towarzyszyliśmy księżom chodzącym po kolędzie. Najbardziej zapamiętałem jedną z nich, z księdzem wikarym Kieroniem. Kolędę rozpoczęliśmy od domu Grabarczyków, który był w miejscu, gdzie się obecnie znajduje się pole urnowe na cmentarzu miłostowskim. Zupełne odludzie, do którego brnęliśmy po kolana w śniegu.

Zaczeliliśmy z Leszkiem śpiewać kolędę i oczywiście od razu w śmiech. Ksiądz Kieron spokojnie i z uśmiechem poprosił, abyśmy ją zaczęli jeszcze raz. Rozpoczęliśmy i znowu parsknęliśmy śmiechem. Lekko poirytowany kapłan jakoś tłumaczył nas przed czekającymi gospodarzami i nakazał powtórzenie kolędy. My oczywiście chcieliśmy spełnić jego życzenie, ale zamiast melodycznego śpiewu wydobywały się z naszych gardeł jakieś dziwne i załamujące się dźwięki. Nie wytrzymałiśmy i zaczęliśmy się śmiać jak głupi i głupszy, a zdenerwowany wikary nakazał nam wyjść na zewnątrz domu i tam poczekać na niego.

Leszek namówił mnie także do uprawiania zapasów w stylu klasycznym w klubie „Cybina”,

którego sekcja miała zajęcia w szkole podstawowej nr 85 po drugiej stronie osiedla Warszawskiego. Leszek dobrze bronił na bramce, kiedy graliśmy w nogę. Był muzykalny, potrafił grać na akordeonie i gitarze. Niestety, nie ma go już od czterech lat.

Na naszej ulicy mieszkali też starsi od nas chłopcy, ale mieli oni swój własny świat, do którego rzadko nas dopuszczali. Niektórzy z nich skończyli, albo właśnie kończyli podstawówkę, kiedy my zaczynaliśmy edukację, i z nimi nie mieliśmy już żadnego kontaktu. Kiedy nie chodziliśmy jeszcze do szkoły, to starsi o parę lat koledzy pozwalali nam potrzymać swoje tornistry przed wejściem do domów, a my z całą powagą rozmawialiśmy między sobą o tym, co było w budzie i jakie zadania musimy na jutro odrobić. Czasami graliśmy razem z nimi w piłkę nożną, albo oni dopuszczali nas do gry ulicznej w sztekl⁶³.

Czasami, ale zdarzało się to bardzo rzadko, w ferworze zacierzwienia i kłótni, koledzy z ulicy przezywali mnie ruskiem albo mieszanką irysów i toffi, czyli trochę ruskiem a trochę Polakiem. Wiedzieli, że nie jesteśmy z Pyrlandii⁶⁴. Na pytanie chłopaków skąd przyjechaliśmy do Poznania, odpowiadałem, że z Żar, nie mogąc za bardzo umiejscowić tego miasta. Natomiast mówiłem, że urodziłem się w Sobotnikach.

- A gdzie to jest? - pytali się chłopcy. - W ZSRR - odpowiadałem.

Jak już zacząłem chodzić do szkoły, to mówiłem, że Sobotniki leżą w BSRR, pojęcie Białoruś jako państwo nie istniało, a że republika ta należała do ZSRR, dziwnego tworu państwowego, tak też mi przez wiele lat zapisywano miejsce urodzenia – Sobotniki w ZSRR. Tak samo i moim rodzicom, ale w ich przypadku było to zupełnie nieprawdziwe, ponieważ oni urodzili się przed wojną, a nasze treny należały wówczas do Polski.

Przezwisko rusek wprawiało mnie w ogromna złość. Słyszac je od razu rzucałem się do bicia nie zważając na to, czy moim przeciwnikiem jest rówieśnik, czy chłopiec o kilka lat starszy. Podobne sytuacje zdarzały się tym dzieciom i młodzieży z Kresów, które po ekspatriacji do Polski znalazły się w środowisku mieszkającym na danym terenie od pokoleń. Czasami, chociaż nie w takiej eskalacji uczuć, a raczej w spokojnych stwierdzeniach mniej świadomych rodziców miejscowych dzieci i osób starszych, dotykało to naszych matek o ojców.

Takich zdarzeń nie pamiętam z Żar koło Żagania, niewielkiego miasta na Ziemiach Odzyskanych⁶⁵, które było tygłem mocno wymieszanej ludności pochodzącej nie tylko z Kresów. W naszym domu przy ulicy Zgorzeleckiej 23 mieszkali państwo Baranowie ze Lwowa, Jarczyńscy z Tarnopola, Kaczmarkowie z okolic Krakowa, Wróblewscy gdzieś z centralnej Polski, my i Dziadulowie z Sobotniki, Dziemianowiczowie z naszych stron, a w sąsiednim domu mieszkała polsko-żydowska rodzina Matowieckich. Mieli syna Andrzeja, który był w moim wieku.

Odwiedziłem Żary przejazdem w 2004 roku, po czterdziestu jeden latach od ich opuszczenia. Odnalazłem ulicę Zgorzelecką, ale kiedy stanąłem przed naszym domem, który zapamiętałem jak przez mgłę, to wydał mi się jakiś mniejszy i nie mogłem go poznać. Sama ulica też wydała mi się obca. Jarek Dziadul, który tam jeszcze mieszkał, pokazał mi nasze mieszkanie na parterze, z oknami wychodzącymi na podwórze. Zajmowała je wnuczka jednego z domowników, z naszych jeszcze czasów, ale jej akurat nie było. Nie mogłem więc wejść do środka i spróbować przypomnieć sobie malutką kuchnię i duży pokój. Nie zajrzałem też na tyły domu, gdzie był jakiś ogród przechodzący w łąkę z niewielkim strumieniem. Nie mogłem więc zobaczyć siebie jak stoję na krześle pod drzewem, ubrany w białą koszulkę z kołnierzykiem i krótkimi rękawami, w czarne spodnie do kolan z szelkami połączonymi na przedzie poprzecznym paskiem. Na stopach mam jakieś skarpetki i jasne skórzane półbuty. Trzymam się wysokiego oparcia krzesła, lekko w bok przekrzywiam dużą głowę i mrużę oczy przed słońcem, pozując do ustawionego zdjęcia.

Nie mogłem też zobaczyć siebie, siedzącego na zielonym dziecięcym rowerze marki Bobo, opartym o fragment muru porośniętego winoroślą. Nie umiałem wtedy jeszcze jeździć, a tata mo-

że dopiero jutro przymocuje mi za siodełkiem drewnianą łatę i trzymając ją przeprowadzi pierwszą lekcję rowerowej jazdy. Trzymam mocno przekrzywioną w bok kierownicę i spoglądam prosto w obiektyw aparatu. Ubrany jestem w jakieś letnie jasne wdzianko, może uszyte przez mamę, a może kupione w sklepie lub na rynku. Na głowie mam kolorowy słomkowy kapelusz z rondem. Jest przesunięty do tyłu i widać moje włosy z krótko przyciętą grzywką, tworzącą wysoko nad czołem jedną równą, poziomą linię.

Tak, za mało miałem czasu, żeby dłużej porozmawiać z Jarkiem, wspomnieć Wieśka Kaczmarka, razem tworzyliśmy nierozłączną trójkę rówieśników, a który wrócił z rodzicami gdzieś pod Kraków, rozdmuchać tą mgłę i ujrzeć nasze najmłodsze i pierwsze zapamiętane lata.

Mimo różnicy wieku istniała solidarność między chłopakami z naszej ulicy Łęczyckiej. My młodszy mogliśmy się zwrócić do starszych, którzy jeszcze chodzili z nami do szkoły, ze skargą, jeżeli zostaliśmy zaczepieni przez innych chłopców czy to w szkole, czy poza nią. I zawsze otrzymywaliśmy pomoc i obronę, a była ona jeszcze większa, jeżeli mieszkało się ze starszym kolegą w tym samym domu, jak ja z Przemkiem Chwirotom. Chłopcy z sąsiednich ulic, których posesje graniczyły ogrodami, podwórzami z naszymi domami, to już była inna wiara, chociaż chodziliśmy do tej samej szkoły, a czasami i klasy. Ale życie szkolne to było jedno, a poza szkolne to było zupełnie coś innego.

Kiedy jestem na osiedlu Warszawskim i przechodzę jego ulicami, to zawsze spoglądam na domy, w których mieszkali moi szkolni koledzy i koleżanki, z których kilkoro jeszcze zostało w tym samym miejscu. Idąc do mamy ulicą Łęczycką zawsze spoglądam na dom, w którym na poddaszu w trudnych warunkach mieszkała rodzina Mariusza Szymoniaka. Patrę na parterowe okna, gdzie mieszkali jego dziadkowie Wernerowie. Babcia ciągle leżała w łóżku, a dziadek czasami wspominał nam o swoim udziale w bitwie pod Verdun⁶⁶. W tym domu nie ma już żadnego ze starych lokatorów. Został wykupiony przez jakąś prywatną firmę z branży nieruchomości, a jego mieszkańcy przeprowadzili się do lokali zastępczych. Dom został przebudowany i gruntownie odremontowany. Mieszkają w nim jacyś przedstawiciele handlowi, sprzedawcy chemii budowlanej, materiałów instalacyjnych i Bóg wie, czego jeszcze. Mieszkają w o wiele lepszych warunkach niż ich poprzednicy i oczywiście nic o ich życiu nie wiedzą. A do czegoż potrzebna byłaby im ta wiedza? Po cóż, choćby na chwilę, trzymać w pamięci ślad o jakimś dziadku, który walczył pod Verdun i o jego wnuku, moim bliskim koledze, który tak niespodziewanie odszedł piętnaście lat temu?

Nie ma już chłopców na naszej ulicy, rozsypała się stara wiara. Jedni gdzieś się wyprowadzili, inni przeszli na drugą stronę życia. Pozostały po nich tylko dobre i ciepłe wspomnienia.

Ten dom przy ulicy Łęczyckiej 7 w Poznaniu był moim prawdziwym domem rodzinnym, który zawsze mile i ciepło będę wspominał. A przecież mógł on być równie dobrze tam, w Sobotnikach na Białorusi. Właściwie przede wszystkim tam. W miasteczku i gminie ze strony mamy i taty zostali najbliżsi krewni: rodzice, bracia i siostry, kuzynostwo. I została ziemia i kościół, i Gawia z Matruną i Łyntupką, i zostały groby na cmentarzu. Dobrze, że mają one swoich strażników, że nie wszyscy wyjechali.

Kim bym tam był w dorosłym życiu gdybyśmy nie wyjechali? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Czy mieszkałbym w Sobotnikach i na przykład pracował w miejscowym kołchozie? A może zdobyłbym wyższe wykształcenie i osiedlił się w Lidzie, Grodnie czy w Mińsku? Za kogo bym się uważał pod względem narodowościowym? Z pewnością za Polaka, ale co by się kryło pod tym słowem? Czy umiałbym mówić po polsku? W jakim stopniu znałbym i pielęgnował polskie tradycje kulturowe i religijne? To by dużo by zależało od wychowania w moim domu rodzinnym, ale o to mógłbym być spokojny. Dobre wychowanie dzieci i młodzieży w polskich domach na Kresach było dla nich skuteczną obroną przed wynarodowieniem, ateizmem, narzu-

niem sowieckich norm moralnych i obyczajowych. Kiedy pisałem ten tekst u progu moich pięćdziesięciu jeden lat wiedziałem, że mieszkając na Białorusi mógłbym się w sercu uważać też trochę za Litwina. Ale nie za przedstawiciela narodu żyjącego we współczesnym państwie, powstałym w dwudziestym wieku, który na Białorusi nazywany jest Litowcem. Za Licwina, jak mówią na Białorusi, któremu bliska jest wielonarodowa i wielokulturowa tradycja dawnych ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wielu mieszkańców Białorusi uważa się właśnie, i według mnie słusznie, za Licwinów, czyli za Litwinów w naszym polskim historycznym rozumieniu. „Litwo! Ojczyzno moja! (...)”⁶⁷ pisał mój wielki krajan Adam, podobnie myśląc o tych terenach.

Czerwień/lipień 2007

(26.06-11.07.2007)

26 czerwca, wtorek

Imianiny Akuliny, Antaniny, Paūła

W czerwcu gospodarz zobaczy, co mu Bóg dać raczy.

Wędrownie chmury deszczu nie niosą.

I znowu pociągami TLK do Białegostoku. Tym razem pojechałem z mamą, która ostatni raz odwiedziła rodzinne strony pięć lat temu. Mama bardzo chciała ponownie spotkać się ze swoimi siostrami, Władzią i Zosią. Okazją do tej podróży był IX Światowy Zjazd Lidzian⁶⁸. Wzięliśmy w nim udział, ale wpieryw spędziliśmy tydzień w Sobotnikach i na kolonii.

O godzinie drugiej minut czternaście wyjechaliśmy z Poznania. Dlaczego tak wcześnie, chociaż autobus do Lidy relacji Białystok-Mińsk odjeżdżał dopiero dwadzieścia minut po piętnastej? Otóż nie mieliśmy białoruskich wiz i chcieliśmy je z marszu załatwić w Białymstoku. W stolicy Podlasia byliśmy tuż przed godziną dziewiątą. Zostawiliśmy bagaż w przechowalni, wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do konsulatu Białorusi. Przed budynkiem była niemała kolejka, ale szybko posuwała się do przodu. Wypełniliśmy wnioski wizowe, w pobliskim banku opłaciliśmy koszty wiz i wróciliśmy na dworzec PKP. Ja na chwilę zostawiłem mamę samą i poszedłem na dworzec autobusowy kupić bilety do Lidy.

Dworzec kolejowy w Białymstoku został kilka lat temu gruntownie odremontowany i bardzo mi się podobał. W jego wnętrzu znalazły miejsce saloniki prasowe i książkowe, sklep fotograficzny z punktem ksero, schludne toalety i niedrogi bar z różnorodnym asortymentem potraw obiadowych. Skorzystaliśmy z niego, bowiem same kanapki na długą podróż wydały nam się niewystarczające. Następnie wzięliśmy nasz bagaż i udaliśmy się na dworzec PKS. Wizy mogłem odebrać sam, dlatego zostawiłem mamę i ponownie udałem się do konsulatu. Trochę się przestraszyłem widząc przed nim znacznie więcej ludzi niż rano. Wydawanie wiz odbywało się o godzinie trzynastej, do której brakowało piętnastu minut, a my za dwie i pół godziny mieliśmy odjazd do Lidy. Wszystko przebiegało jednak sprawnie i o planowanym czasie wyruszyliśmy z Białegostoku w kierunku polsko-białoruskiej granicy.

W autobusie, razem z dwoma kierowcami, było nas zaledwie piętnaście osób. Dobrych kilka lat temu jeździł on prawie całkowicie pełny. A jeszcze wcześniej regularnie sześć dni w tygodniu, na trasie Lida-Białystok-Lida, kursował zawsze pełen jedenastoosobowy rafik⁶⁹. I był jeszcze normalny autobus, który codziennie pokonywał tę samą marszrutę. Ten, którym jechaliśmy przemierzał swoją drogę tylko trzy razy w tygodniu. Oprócz nas podróżowało jeszcze dwoje Polaków. Jednym z nich był starszy ksiądz, który udawał się do swojej parafii w miasteczku Pierwszaje w obwodzie mińskim. Pracował tam już siedemnasty rok. Drugą osobą była młoda kobieta,

która jechała do Mińska. Zauważyłem podczas tej i poprzednich podróży na Białoruś, że my Polacy nie rozmawiamy ze sobą. Jakby każdy z nas chciał skrycie przejechać granicę i szybko znaleźć się na stacji końcowej.

Polsko-białoruską miedzę przekroczyliśmy szybko i późnym wieczorem byliśmy w Lidzie. Bardzo ciepło przywitaliśmy się z Władzią, a szczególnie mama. Zjedliśmy kolację i po krótkiej rozmowie o najważniejszych sprawach położyliśmy się spać, gdyż nazajutrz czekała nas dalsza droga. Był jeszcze telefon z Sobotnik od kuzyna Janka, który wiedząc, że przyjeżdżamy, zadeklarował odebranie nas z Iwia swoim samochodem.

27 czerwca, środa

Imianiny Jelisieja, Mscisława, Uładzislawa, Maryi

Odpust w naszej parafii w Sobotnikach pw. św. Władysława króla Węgier

Pierwsza letnia mgła jest dobrą oznaką grzybobrania.

Duszno o poranku - na niepogodę.

Wilgotne liście kwiatów pokojowych - będzie deszcz.

Rano pojechaliśmy z bagażami do Iwia w celu zarejestrowania naszego pobytu na Białorusi. Byliśmy jednymi z pierwszych petentów, a moje pewne już doświadczenie w wypełnianiu druków, pozwoliło na szybkie przebrnięcie przez procedurę meldunkową.

Kiedy otwierałem drzwi budynku wydziału paszportowego milicji, aby wyjść na zewnątrz, za klamkę po drugiej stronie chwycił też Janek. Nieopodal, na placu w centrum Iwia, zaparkował swój samochód. Wsiadliśmy do niego i po chwili okazało się, że kuzyn nie mógł odpalić swojej bryki. Zawołał przechodzących obok młodzieńców, którzy wzięli wysłużonego żyhul⁷⁰ na pych i już jechaliśmy. Po kilkunastu minutach byliśmy w naszym miasteczku. Janek zatrzymał się przed kościołem, ale nie wyłączył silnika z obawy, że go znów nie uruchomi.

Weszliśmy z mamą do naszej świątyni, gdzie zostaliśmy ochrzczeni, i tata, i nasi przodkowie. Gdzie mama z tatą brali ślub i gdzie przez wieki kapłani wiązali stulą dłonie innym Niechwiadowiczom, Kononowiczom oraz wybrańcom ich serc. Msza akurat się zakończyła. Grupa wiernych stała przed kopią Całunu Turyńskiego, a proboszcz ojciec Franciszek Gałdyś objaśniał im poszczególne elementy obrazu i ich znaczenie. Byliśmy w kościele bardzo krótko, gdyż śpieszyliśmy się na spotkanie z mamą Janka i siostrą mojego taty, ciocią Janiną.

Ciocia parę lat temu zamieszkała u swojej córki Ireny, we wsi Sienkiewicze w rejonie Łunińców na Polesiu. Do rodzinnego miasteczka przyjechała specjalnie, aby pomodlić się przed kopią świętej relikwii. Kopia Całunu przybyła do Sobotnik z pobliskiego Żemłostawia. Specjalne nabożeństwo rozpoczęło się tam północy, a skupienie modlitewne wiernych trwało kilka godzin. Po południu miał przyjechać z Łunińca kuzyn Tadeusz i z powrotem zabrać swoją mamę do Sienkiewicz, więc było trochę czasu, aby moja mama z bratową porozmawiały. Nie wiadomo, czy się jeszcze kiedyś zobaczą za swojego życia. Wreszcie przyjechał Tadzik z córką i zięciem, młodymi lekarzami. Bożena akurat zakończyła studia w Grodnie i z dumą pokazywała nam swój dyplom. Jej mąż odbywał praktykę lekarską w szpitalu w Hancewiczach na Polesiu. Jak zwykle przy takim rodzinnym spotkaniu, na stole pojawiło się więcej różnego rodzaju smakowitych potraw.

Były kupne i domowe wędliny na czele z ciemnowiśniową połędwicą, ozdobioną z jednej strony delikatnym kołnierzykiem białego tłuszczu. Były kotlety mielone, pieczona kura, okraszone ziemniaki puree nazywane tutaj kaszą, grzybki w śmietanie, grzybki w delikatnym occie i pod jeszcze inną postacią. Gdzieś wśród nich znalazły się ubiegłoroczne rydze, które zasolone dobrze przechowały się przez zimę. Były pomidory, całe i nieduże, zakonserwowane też w delikatnym occie. Tadeusz przywiózł świeże ryby i miód prosto z ula. Dawno nie jadłem świeżego miodu

wysysanego prosto z plastra. Był wielokwiatowy i bardzo słodki, z zapachem ziół z poleskich łąk, na które wiosną Tadzik wywiózł swoje dwadzieścia uli. Do picia mieliśmy sok brzozy, dobrą czystą wódkę i trochę samogonu, szampan i koniak, i ludzkie piwo. No i oczywiście był ciemny dobry chleb, jak tutaj mówią „czorny chleb”, bez którego na Białorusi nie może się odbyć żaden posiłek.

Rozmowom przy stole nie było końca, a czasu na wspólne spotkanie mieliśmy mało. I jak tu mogliśmy przekazać wszystkie swoje myśli, wyrazić uczucia, opowiedzieć, co nowego zaszło w naszym życiu, powspominać? Niestety, poleska część naszej rodziny musiała wcześniej odjechać, gdyż czekało ich ponad dwieście kilometrów drogi.

Ja z mamą poszliśmy przywitać się z mieszkającą po sąsiedzku bratową mojego taty, też ciocią Janiną. Stryj Albin, młodszy brat ojca, zmarł ponad dziesięć lat temu. Był bardzo dobrym krawcem. Ciocia żyła sama w domu, który dla młodych małżonków pomagał stawiać dziadek Bronisław Niechwiadowicz. Miała dwie zamężne córki i wnuki. Starsza Irena mieszkała w Niżnym Nowgorodzie w Rosji, a młodsza Alicja w Lidzie. To właśnie z ich synami zrobiłem niewielki spływ Gawią latem 2006 roku. Ciocia Janka była na emeryturze, którą wypracowała na etacie pielęgniarki w sobotnickim szpitalu. Swoje zawodowe zainteresowania nadal kontynuowała. Zajmowała się masażem leczniczym i ziołolecznictwem. Jej przydomowy ogród pełen był melisy, szałwi, tymianku, estragonu, hyzopu lekarskiego, arcydzięgla litworu oraz innych bardziej rzadkich ziół.

Zebraliśmy się i my do pójścia do Zosi na odległą o dwa kilometry kolonię. Nie było jednak mowy o tym, abyśmy poszli pieszo i do tego jeszcze z bagażami. Kuzyn zawołał swojego kolegę imiennika, Janka Makucewicza, który znał się na elektromechanice samochodowej, aby zobaczył, co się z jego pojazdem dzieje. Janek wyjął z samochodu alternator, coś tam sprawdzał, mierzył, założył nowe śruby i zamontował z powrotem. Było gotowe i mogliśmy jechać. Piaszczystą wstęgą Łyntupskiej Drogi powoli dojechaliśmy do wyżłobionego przez koła traktorów i kombajnów przejazdu przez pole, które wyznaczone wiele lat temu, stało się trwałą polną drogą. Podjechaliśmy na skraj lasu, kiedy nagle Jankowy samochód zaczął gwałtownie prychać. Spokojny dotąd szum silnika załamał się, a spod maski zaczął wydobywać się dym. Byliśmy blisko naszego celu, ale dalsza jazda samochodem stała się niemożliwa. Nawet gdyby był sprawny, to przed nami na leśnej drodze leżały drzewa uniemożliwiające przejazd.

U Zosi na kolonii

Ta leśna droga, darożka jak u nas mówią, nie była szeroka. Z ledwością mógł ją przejechać osobowy samochód, ocierając się o gałęzie drzew i krzewów. Wiodła ona prosto do gospodarstwa dziadka Jana, gdzie mieszkała siostra mamy i moja chrzestna, Janina Zofia, na którą wszyscy od małego dziecka mówili Zosia. Razem z nią żył jej mąż Władek Tuczowski, który pochodził ze wsi Pietrymanowszczyzna sobotnickiej gminy. Ich syn Witek mieszkał ze swoją rodziną w Lidzie.

Ciągnęliśmy nasze walizki po nierównej ziemi, przykrytej w wielu miejscach starym igliwem i zeszlórocznymi liśćmi, spod których wyrastały zielone kępki różnych traw. Las, który nam towarzyszył, był mieszany z przewagą sosen i brzoź, które tworzyły wzdłuż dróżki wysoki i dość szczelny szpaler. Podeszliśmy do kilku powalonych drzew tarasujących dalsze przejście. Dwa lata temu przeszła tutaj trąba powietrzna. Zakręciła, zawirowała, powaliła sporo drzew, siłowała się z domem dziadkowym, ale nie dała mu rady i odleciała dalej. W swym powietrznym, dzikim i beładnym tańcu, raz po raz dotykała naszej ziemi zostawiając na niej trwałe ślady swej obecności. Połamała sosny na Łysej Górze, zniszczyła brzozy lasek na początku kolonii przy

Dowgiałowszczyźnie, powaliła pojedyncze drzewa w Sobotnikach. Pojawiła się przelotnie rok później, a także tej wiosny, układając na drodze do domu dziadka Jana kilka drzew, o których zapomniała wcześniej. Taka była uroda tej naszej trąby powietrznej, którą starsi mieszkańcy sobotnickiej gminy pamiętali jeszcze sprzed wojny.

Staliśmy z mamą i zastanawialiśmy się, co robić, jak dalej iść? Na wprost była barykada nie do przejścia dla mamy, a po bokach, na jasnych polanach powstałych po wyrębie połamanych drzew, niedawno posadzono nowy las. Kilkunastocentymetrowe, zielone iglaste sadzonki śmiało przebijały się ku słońcu w gęstwinie dojrzewających malin i niewielkich jeszcze brzoź. Nagle z daleka dostrzegłem wujka Władka. Zawołałem do niego i pomachałem ręką. Władek podniósł dłoń do oczu zasłaniając je przed blaskiem zachodzącego słońca. Z początku nas nie poznał, ale ruszył w naszą stronę to przechodząc przez powalone drzewa, to nachylając się pod nimi. Zawołałem jeszcze raz i wujek już wiedział, kim jesteśmy. Podszedł do nas rozradowany. Zamieniliśmy kilka słów, ale to nie było jeszcze powitanie. Wujek wziął od mamy walizkę i ruszyliśmy za nim na ukos przez redliny z sadzonkami. Przedzieraliśmy się przez malinowe sznury, delikatne gałązki młodych brzoźek, bujne krzewy rozmarynu. Mama zgubiła po drodze parasolkę, którą później znalazłem. Minęliśmy stare gumno stojące w cieniu dwóch wiekowych brzoź i już witaliśmy się z Zosią i dopiero wtedy z Władkiem. Była radość i uściski, i były łzy. Nawet tak szorstki chłop jak Władek ocierał dłonią wilgotne oczy. I było zaskoczenie. Ciocia wiedziała, że przyjadę na św. Władysława, na nasze parafialne święto. Ale nie wiedziała, że z mamą, najstarszą z rodzeństwa.

Leśna droga. A przecież przed wojną było tutaj dziadkowe pole.

- Pole, niaūzosh szto było. Wsiudy było pole, aż pod chatu. Tolki kala reczki byli olchi. Oj mój Boże! Oj mój Boże! - wspominała później przy kolacji Zosia. - Hraczychu⁷¹ siejali. Pomnisz Mania, zaprehli kania z taboj, i eta, jechać pa hraczychu czy kuda to. Ety no, dyk ety koń, nie tak my jaho zaprehli i w wozie astalisia, a koń paszoū.

- Nie pamiętam tego - zaśmiała się mama.

- Nu, ty nie pomnisz - niedowierzała ciocia.

- Nie tak duhu załazyli - stwierdził wujek Władek. - Na pierad duhu⁷² załazyli i huży⁷³, wsio.

Ale jak ja nie paznaū? Użo oczy haūno. Dumaju, eta Kaszałotawa Maryna z etym Tuczko-ūskim iduć. Ależ dumaju, wałasy ryżyje, a u hetaj czornyje. Niedzie pakrasila na ryże. I jak ty rukoj machnuū, ja jeszcze nie paznaū. Dumaju, niechtoż rukoj machaje. No pajdu pahladzu. Hladzu, wyszoū za adnu sasnu, za druhuju. Tysz wo - zaśmiał się wujek Władek.

- Hawary, nie machaj rukami - powiedziała Zosia.

- Jaż srazu nie paznaū ni Kazika ni Mani.

- Dyk jak wy praz hetyje kusty ...

- Ja paszoū bokam, pasadkaj⁷⁴ my iszli.

- Znowu zawaliła etu darożku. Byli aczyściūszy.

Po tych rozmowach i późnej kolacji, jeszcze pełni emocji ze spotkania, położyliśmy się na nocny odpoczynek. Właściwie to jeszcze nie była noc, lecz późny wieczór. Ale taki jest rytuał każdego dnia życia u cioci i wujka. Oboje z mamą też byliśmy zmęczeni.

Pamiętam letnie późne wieczory na kolonii. Małe światełka w oddali. Porykiwanie bydła, pokrzykiwanie ludzi przy ostatnich tego dnia obrządkach gospodarskich. Ich głosy niosące się przez zasłonę przyjaznej ciemności. Ciocia Jadwiga idąca po naftę do lamp, do otwartego jeszcze sklepu w bliskiej Łyntupi. Ostatnie ptasie trele, a po nich tylko kumkanie żab, które jeszcze nie mają zamiaru iść spać.

Ciociu Jadwigo, jak ty trafiałaś po ciemku do Łyntupi? Aha, przecież na pamięć znałaś wszystkie miejscowe ścieżki i dróżki. Wiedziałaś, w którym miejscu jest kładka na Łyntupce i

mościk. Mogłaś wszędzie iść z zamkniętymi oczami. Wiodły cię różne głosy, a srebrny miesiąc zawsze dla ciebie świecił. Byłaś dla mnie tutaj babcią, życzliwa krucha drobinko, siostrzeczko dziadka Jana. Zastępowałaś mi prawdziwą babcię, tę znaną tylko z opowiadań, ale ogromnie kochaną babcię Wiktorię.

U Zosi jak zwykle nie mogłem długo zasnąć. Przewracałem się z boku na bok i spoglądałem w okno. Schowany za drzewami olbrzymi księżyc oświetlał bliską Dowgiałowszczyznę i niebo nad kolonią. Było jasno i za wcześnie na sen. W miasteczku ludzie chodzą spać później niż tutaj. I zawsze mi się wydaje, jakby ciemna nocka przychodziła w Sobotnikach prędzej. A kiedy już przyjdzie i zaświecą gwiazdy, to są tak nisko, że można je sięgnąć ręką, i jest ich tak dużo, że jedna prawie przy drugiej. Chciałoby się wówczas wskoczyć na Wielki Wóz, zaprząc do niego skrzydlatego Pegaza i pognać Mleczną Drogą nad naszą ziemią, nad Sobotnikami.

Raz w domu w Poznaniu, we śnie, płynąłem nocą nad moją ajczyzną doznając przy tym niesamowicie przyjemnego uczucia lekkości. Moje nieważkie ciało bardzo wolno poruszało się w nadziemnej przestrzeni w różnych kierunkach. Obracałem się w lewą i prawą stronę, koziółkowałem do przodu i do tyłu, wykonywałem długie księżycowe susy. Leciąłem nad Sobotnikami, przypatrywałem się mijanym wioskom, szukałem wzrokiem znajomych miejsc i srebrnej od odbicia księżycowego światła wstęgi Gawii. W pewnej chwili moje stopy zatrzymały się w miejscu, a reszta ciała wychylała się poziomo nad kolonią, jak kłosa żyta przeginanego silniejszym wiatrem. Kiedy otworzyłem oczy przez chwilę nie wiedziałem, czy jestem jeszcze we śnie, czy już na jawie, tak silne było to moje senne marzenie. Nawet jeszcze kilka dni później mogłem je dokładnie odtworzyć w pamięci.

Podobnie jak letni wieczór, poranek w naszych stronach jest również cichy i jasny. W dzień pojawia się wiatr, na niebie przemieszczają się kuczawija⁷⁵ obłoki i może przejść krótki nawałniczny deszcz. Prędkość wiatrów jest mniejsza niż zimą, ale zdarzają się huragany i trąby powietrzne, jak nasza sobotnicka. Tak można by bardzo ogólnie opisać tutejsze lato.

A jak słowem do wyobraźni nanieść na białe kartki papieru obrazy naszej ziemi? Zapowiadające piękny letni dzień ciepło wschodzącego słońca, różową mgłę nad Matruną, krople rosy kołyszące się na źdźbłach trawy, delikatny powiew znajomego wiatru, pofalowaną wstęgę Gawii, zapach siana w stodole, pierwsze barwy jesiennych liści, skrzypienie śniegu pod butami, wczesnowiosenną nagość drzew? Czy umiałbym opisać widok kilku tysięcy bocianów, które na początku września zebrały się na polu za Janka chatą, na swój ostatni i wielki sejm przed odlotem do ciepłych krajów?

28 czerwca, czwartek

Imianiny Ryhora

Obficie kwitnie jarzębina - będzie urodzaj na len.

Jeżeli noc jest bez rosy, to w dzień będzie padać deszcz.

Mama nareszcie mogła odpocząć po trudach podróży. Chociaż urodziła się w Sobotnikach, to właśnie na kolonii przeżyła dziewczęce, a później panieńskie lata. Lata różne, w których decydującym wydarzeniem była śmierć matki Wiktorii zastrzelonej przez sowieckiego policjanta - bandytę w roku 1946. A wszystko w rodzinie Kononowiczów było już gotowe do wyjazdu do Polski.

Na pierwsze na kolonii śniadanie jedliśmy jajka usmażone na sześciocentymetrowej słoninie i domowej kiełbasie. Była podobna do naszej polskiej surowej, ale jaśniejsza, gdyż niepodwędzana.

- Biary blin da sibile, Kazik. Co ty łamajesz? I jana też do sibile blin biary. Co ty łamajesz pa kusoczku? - powiedziała do nas Zosia. - Kazik, bierz czaj. Mania, może da czaju hetaho, wo, tut

daŹszy Janka.

- I ty Zosia jedz - zachęcała mama młodszą siostrę.

- Ja nie haczu. Ja trochi źjeła kuraciny z blinom i tyje, wo, syrniki. Papiła czaju, źjeła i nie haczu.

Wróciliśmy do przerwanej wczoraj rozmowy.

- Hraczycha mała ja, kaleni baliali, a hetyj łubin adzirać⁷⁶ treba było. Oj! - wspominała Zosia.

- Ja pamiętam - z uśmiechem odezwała się mama - poszłam raz na zabawę. Tata powiedział, że jak rano wstanę, to mam ścinać jęczmień, który rósł niedaleko domu. Wróciłam późno i wczesnie wstałam. Wysłałam na pole, założyłam sierpem, a oczy mnie się tak zamykali, że dosłownie spałam.

- A jak żesz ja nie wiedaju. Ci my z taboju ci z Władziej? Tady wieczarynka ź była. Pryszli na ranicy i treba było iści tudy, za kudru⁷⁷ źać⁷⁸. My paszli - zaśmiała się Zosia - snopów naźali i lahli. Do storty tata prychodzić, my śpim. Boże, mój Boże!

- Bić nas nie bił - komentowała mama. - Tylko na nas pokrzyczał. Mamusia, to pamiętam, bardzo była szybka do roboty. Jak rozpoczęła źać, to pędziła a pędziła, tak ścinała. Pamiętam, założyłam sierpem, już mnie śpina⁷⁹ bolała. Zaczęłam płakać, a ciocia Jadwiga powiedziała: „Chodź Maryśka do mnie, chodź”. I ja już z ciocią źałam. Mama już do przodu, a my, och, daleko od niej byli.

- Mama była na pieradzie. Mama była na pieradzie - powtórzyła kilka razy Zosia, podkreślając kluczową pozycję babci Wiktorii w rodzinie Kononowiczów.

- Mania, niekali ludzi pracawali. Oh! - skomentował wspomnienia sióstr Władek.

- Był już brat Janek, a mama bardzo chciała jeszcze drugiego chłopczyka urodzić.

- Nu, tut treba było chłopca, kab rabotnik byŹ. Tut treba było dwóch muszczyn na etu ziamlu. Dobrych dwóch muszczyn. I ziamla drenna. Jakaja tut ziamla. Wo, ja skolka raz siejaŹ jaczmień, na piadz uwyraście. Jakajaz ziamla. Wo, skolka raz za baniej tut wo siejaŹ i tut siejaŹ. Hnoju dasi, wsio rabiŹ, kali on nie raście. Pole drenne. Jakojeź tut pole.

- I wspominając teścia wujek Władek mówił dalej.

- Dyk bačka nieboszczyk mnie kazaŹ, pad Łyntupskaj Darohaj sześćdziesiąt złotych stoiła ziamla, tut trydcać. U Subotnikach sto złotych ziamla stoiła. Nu dyk wot. A balszawiki jak zajszli, haktar. Nu durni zajszli, zduszili ludzi. Mało szto haktar, a kaczestwo⁸⁰ ziamli. Nu dyk pry Polszczy ź było skolka stoił. Dyk za subotnicku ziamlu, za haktar, tut try dawali. Mnie ź bačka razkazywaŹ. Nu dyk szto ty woźmiesz na tych troch haktarach, kali ana chuja nie warta - skończył w swoisty dla siebie sposób Władek.

Babcia Wiktoria była nie tylko energiczna w pracy, w prowadzenia gospodarstwa domowego, ale była także bardzo odważna. 21 czerwca 1941 roku Niemcy zaatakowały swoich niedawnych partnerów w rozgrabianiu Europy, Związek Sowiecki. Niektórzy sowieccy żołnierze przebywający na terenie naszej gminy, nie zdążyli w porę wycofać się ze swoim oddziałem. Babcia Wiktoria, która wyszła niedaleko chaty nazrywać trawy dla świń, natknęła się na jednego z nich ukrytego w rowie. Wróciła z powrotem i przyniosła mu cywilne ubranie dziadka, a następnie przeprowadziła go obok niemieckiego posterunku w bezpieczne miejsce. Żołnierz ten ukrywał się później przed Niemcami jako jeden z mieszkańców miasteczka. Chodził razem z wszystkimi do kościoła, szybko nauczył się polskich modlitw i pieśni i przeżył wojnę.

Zostawiliśmy dalsze wspomnienia na jutro i wyszliśmy z mamą przejść się po dawnym gospodarstwie Kononowiczów i jego sąsiedztwie. W przydomowym sadzie rosły jabłonie posadzone ręką dziadka Jana. Jeszcze tliły się w nich iskiereki życia, jeszcze ostatnim tchem wydawały owoce. Dom stał nad rzeczką Łyntupką, która przecinała drogę Sobotniki - Lipniszki kilometr przed Borowikami i wpadała do Gawii w miejscu nazywanym Linkiszki. Przed wojną znajdował

się w pobliżu niewielki majątek Ganów z modrzewiowym dworkiem, który od tej rzeczki wzięła swoją nazwę - Łyntupka.

Kiedy przyjeżdżaliśmy tutaj z rodzicami i byliśmy jeszcze dziećmi, wybiegaliśmy rano z siostrą z domu, aby się umyć w Łyntupce stojąc na niewielkiej kładce. Rzeczka była bardzo wąska i mogłem ją przeskoczyć odbijając się z miejsca na dwóch nogach. Kilka lat temu Łyntupka została poprzecinana bobrowymi tamami i w tych miejscach rozlała się szeroko. Kiedyś na kolonii każdy gospodarz kosił trawę aż do brzegu rzeczki. Tak samo było nad większą Matrą w innej części sobotnickiej kolonii. Dzisiaj nie ma komu tego robić i przyroda z powrotem przejęła te miejsca w swoje władanie, a Łyntupka ukryła się za licznymi drzewami i krzewami.

Po prawej stronie domu dziadka było gospodarstwo Tomasza i Marii Tuczowskich. Pozostało po nim trochę wolnej przestrzeni między drzewami, gdzie kiedyś stała chata i budynki gospodarskie. W starym sadzie rosły powoli dziczące jabłonie, wśród nich tętniące jeszcze życiem papierówki rodzące okazałe owoce. **Białe naliu**, jak tutaj je nazywają. Tuczowscy mieli czworo dzieci, a wśród nich syna Walentego, starszego o dwa lata od mojego taty.

Kiedyś przed laty zaszliśmy z Jankiem w Sobotnikach do jednego człowieka, który robił pomniki nagrobne. Na podwórku na ławce siedział jakiś starszy mężczyzna z dużymi wąsami. Kiedy skończyliśmy rozmawiać z kamieniarzem, ja mówiłem po polsku, wąsacz zwrócił się do mnie czystą polszczyzną.

- A jak tam zdrowie twojego ojca? Jak życie, nie bajki?

- Kto pieniądze ma ten żeni się bogato, kto pieniądze nie ma smutno patrzy na to - dodał wierszem.

- A skąd pan mnie zna? - zapytałem go zdziwiony.

- Podobny jesteś do Stasia. Twój ojciec i ja byliśmy kolegami.

- Tata jest już na emeryturze, ale nie lubi siedzieć beczynnie i zawsze sobie znajduje jakieś zajęcie. Mama jeszcze szyje, zdrowie im dopisuje. Mieszkają w tym samym domu razem z moją siostrą i jej rodziną - powiedziałem opisując pokrótce moich bliskich.

- Pra **siebie** trochu rozkażycie - zwrócił się do niego Janek

- Nu **żywu** bez nuždy bez **gora**⁸¹. Po polsku ja mogę też rozmawiać. Wszystko dobrze, dziękować Bogu żyję o - powiedział i przeciągnął dłonią pod brodą.

- Zdarouje?

- Zdarouje? Nie **czustwuju**⁸², wraczej nie lublu, **ruskich** i **bielaruskich**, ot. I u **Polszczy** nie **chaczu** leczycca, ot. I za **hranicu** nie **chaczu** **jechać**. Mnie tut **charaszo**. **Trinadcać milionaŭ**⁸³ **placiać** **dzienieg** i **żywu** bez nuždy i bez **gora**.

- **Trinadcać milionaŭ** to na dolary dwadzieścia pięć - wtrącił Janek

- Tak, kochany mój ty.

- No to do widzenia - powiedzieliśmy do niego z Jankiem na pożegnanie.

- Do widzenia. Dziękuję pokornie - odpowiedział wąsacz.

To był właśnie Walenty Tuczowski, kolega taty z młodych lat.

Za pustym miejscem po Tuczowskich nadal mieszkali Walenty i Helena Puciulowie. Ich dom, obejście, niewielki sad i łąka, utrzymane były we wzorowym porządku. Nie trzymali krowy, świń, ani nawet kur. Ktoś z Sobotnik przyjeżdżał i kosił ich łąkę na swoje potrzeby. W zamian przywoził mleko i jajka, a resztę należności spłacał pieniędzmi. Inne potrzebne produkty i rzeczy Puciulowie kupowali ze swoich emerytur. Walenty bardzo niewyraźnie mówił, gdyż od dziecka miał sztuczną część podniebienia. Ale w latach pięćdziesiątych, kiedy na koloniach i w wioskach było tyle młodziży, tyle gwaru i śmiechu, nadziei i planów w młodych głowach, Walenty wraz z innymi brał udział w wieczorynkach i festach⁸⁴. Przysłuchiwał się wypowiedanym marzeniom i sam z ufnością patrzył w swoją przyszłość.

Lata młode przeleciały nie wiadomo kiedy. Dzieci poszły swoją drogą, wnuki pokończyły szkoły i też mieszkały gdzie indziej. W wielu wioskach pozostali nieliczni mieszkańcy, w większości starzy i schorowani. Choroby nóg już nie pozwalały im na trzymanie krowy, świń, wyprawę po produkty do miasteczka. Rak przykuwał ciała do łóżek i szybko odliczał dni do odejścia w wieczność. Ludzie mówili, że te choroby zostały spowodowane ciężką fizyczną pracą nie tylko w kołchozie, ale i na swojej małej gospodarce. Wiele zajęć wykonywało się ręcznie, a ludzki grzbiet był codziennym środkiem transportu **dziarui**⁸⁵ siana, worka z kartoflami, czy też pnia ściętego drzewa. A może i Czarnobyl pożył swój śmiertelny cień na tej ziemi?

Rodzina Walentego Tuczковского od dawna nie mieszkała na kolonii i ja jej nie znałem. Najbliższymi dziadka Jana sąsiadami po lewej stronie byli Henryk i Wiktoria Grażyńscy. Podczas naszych wizyt bawiłem się z ich dziećmi, starszą ode mnie o rok Krysia i o kilka lat młodszym jej bratem Jurkiem. Wiktoria, Wikcia, była z domu Stankiewicz z Dowgiałowszczyzny. Heniek przed ożenkiem mieszkał w Sobotnikach, ale na kolonii stała już nowa chata należąca do jego rodziny. Wikcia miała troje rodzeństwa, z którego najstarszą była Felicja. Fela słynęła w całej szerokiej okolicy z niezwykłej urody i miała przydomek Caryca. W 1939 roku miała dwadzieścia lat.

Trzymam przed sobą rodzinne zdjęcie Stankiewiczów, zrobione około 1949 roku. Na fotografii są rodzice: Bronisław i Maria z Bigoniów, oraz ich dzieci: Felicja, Genowefa, Wiktoria i Antoni. Fela stoi lekko uśmiechnięta. Zaczesane gładko do tyłu ciemno blond włosy odsłaniają jej szerokie czoło. Twarz ma troszkę pociągłą. Pod policzkami widać śliczne i delikatne zagłębienia, końcówki kresk brwi są lekko opuszczone w dół, wyraźnie zarysowany podbródek świadczy o jej silnym charakterze.

W czasie wojny, kiedy front właśnie przesunął na zachód i ponownie przeszli sowieci, niedaleko Sobotnik został strącony niemiecki samolot. Rannego pilota znalazły w lesie dzieci z Dowgiałowszczyzny i powiadomiły o tym starsze dziewczyny. Fela, która była odważna i trochę znała język niemiecki, wraz z dwoma koleżankami przyszły zobaczyć rannego. Wieczorem, ukrytego na wozie pośród snopów zboża, przywiozły go do stodoły Stankiewiczów. Tam obejrzały rany i je opatrzyły. I tak było codziennie przez dwa miesiące. Pilot na tyle wydobrzył, że o pałce⁸⁶ samodzielnie zaczął chodzić koło stodoły. Pewnego dnia w jej pobliżu i wnętrzu rozległy się gwałtowne krzyki po rosyjsku. Po chwili sowieccy żołnierze wyprowadzili ze stodoły Niemca. Podjechał samochód, wrzucili go do środka i powieźli do Iwii. Nie wiadomo co się z nim później stało, ale widziano go jak obmiał podwórko i ulicę przed siedzibą władz rejonu. Ukrywanie niemieckiego lotnika Fela i jej matka były sądzone w Iwii. Los był dla nich jednak łaskawy i w więzieniu siedziały bardzo krótko. Józik Rusakiewicz spotkał się później kilka razy z Felą w Dowgiałowszczyźnie. Nie mieszkała już w wiosce, ale w Lidzie. Jej piękne włosy zrobiły się zupełnie siwe. Nadal jednak była pełna naturalnego uroku i elegancji.

- A Paszkowa Hańcia, a Janinka Horbaczowaha Józika też bez noh - Zosia wieczorem opisywała znajomych z Dowgiałowszczyzny.

- A Józik żyje? - zapytała siostrę mama.

- Żyje, ale ni sotkañ nie sadiüşy byli ani niczoha. Karowy nie majuć, nie wiedaju świniej. Tolki kania. Józik niczoha wyhladaje, jana bez noh. Jana horaszo wyhladaje, ale bez noh.

- Muszę coś jeszcze narzucić na siebie, bo mi trochę zimno - powiedziała mama.

- No dyk biary tam na kreśle maja takaja szweda⁸⁷. Wo, wo, hety adzieñ. Adziewaj, adziewaj hety - pokazała Zosia.

- Wiesz, co Zosieczka, że najlepiej to ja mam z was wszystkich.

- Najlepiej, najlepiej. Ja użo i płaczu i wspaminaju. Boże, mój Bożeczka! Oj ciazka było jak mamu zabili. Jak tata kazañ: „Jak Boh dañ tak i musisz harawać”. A i ciapier szto ty zrobisz? Ja

chwora, bez noh. Ni dojdiesz nidzie - powiedziała ciocia i zakreśliła się łzy w jej oczach.

Najmłodsza z siostr Władzia zapamiętała zdarzenie, jakie miało miejsce tuż po śmierci matki. Był to rok 1946. Wojna niedawno się skończyła. Panowała wielka bieda, zraniona ziemia powoli przychodziła do siebie, a ludzie nie przyzwyczaili się jeszcze do nowej rzeczywistości. W związku z wyjazdem do Polski dziadkowie Kononowiczowie nie obsiali większości swojego pola. Pozbyli się też części inwentarza i gospodarczego sprzętu. W domu miały pozostać Michalina, matka dziadka Jana, i jego siostra Jadwiga. Po tragicznej śmierci babci Wiktorii dziadek zrezygnował z wyjazdu i długo jeszcze powtarzał do siebie wspominając zmarłą żonę:

- Moja dziewczynko, moja dziewczynko. Jak młodzi zesłaliśmy się, tak i młodzi rozchodzimy się.

W tamtym czasie w okolicy pojawiało się sporo obcych osób żebrzących i proszących o wsparcie. Pewnego dnia w progu dziadkowej chaty stanęła stara kobieta z żebraczą torbą na ramieniu. Kiedy ujrzała trzy wychudzone i bose dziewczynki siedzące na piecu w kuchni, bez słowa sięgnęła do swojej żebraczej torby, wyjęła z niej kawałek chleba, dała im i odeszła na dalszą swoją wędrówkę.

- Ciociu, a co jedliście, jak zabrakło mamy? - spróbowałem szybko przejść to bolesne wspomnienie.

- Szto tam jeli? Czort jeho znaje szto jeli. Chaładnik, bulbu⁸⁸, buraki, szto jeli.

- Ja pamiętam - wtrąciła się mama. - Nieraz chłopcy tu wstąpili z Byczkoŭ

- Pajdu u Nackawiczy - przerwała jej Zosia. - W Nackawiczy jak pajdu, tam baba użo wieszczaki⁸⁹ narobić. I pa skolki tam skwarek! Chdziesz ty je zjasi tuju skwarku. Nadto szmat skwarek. I bliny z hreckaj muki. Jeszcze Lonia żywie. Nie wiedaju jak tam.

Na starość, kiedy jest się tylko we dwoje, to jedno drugiego podtrzymuje. Pomaga w chorobie, w codziennym zmaganiu się z życiem. Chory współmałżonek też może pomóc swojej drugiej połowie, jak choćby rozmową z nią. Jakże to ważne jest porozmawiać z drugim człowiekiem, który jest blisko ciebie, którego możesz dotknąć, chwycić za rękę. Dzieci gdzieś żyją w miastach. Jedne odwiedzają rodziców często, niosąc im pomoc na stare lata w obowiązku i podziękowaniu za dar istnienia i trud wychowania. Inne rzadziej się pojawiają zajęte swoim, często też niełatwym życiem. Są też i tacy, którzy zapominają o swych rodzicielach. Samotność na starość to trudna próba dla człowieka, to jak ciężka choroba. Czasami dołącza do niej alkoholizm i człowiek sam nie może się przed tym obronić. I wtedy ginie. Alkoholizm stał się ciężkim znamieniem tej ziemi, od kiedy pojawili się na niej Soweci. A jak mi powiedziano, ludzie piją teraz więcej niż dawniej. Przykładem tej sytuacji była kontynuowana rozmowa siostr, a właściwie opowieść Zosi o jednym ze starszych mieszkańców Dowgiałowszczyzny. Mieszkał on razem ze swoim synem alkoholikiem. Pewnego jesiennego dnia ubiegłego roku poszedł do lasu i

- Dwie noczy w lesie naczawaŭ. Nie pamior. Dwie noczy i zimno było, użo osień i bulbu kapali. Paszoŭ pa hryby i po tym, tam ci on zabłudziŭsia, ci on szto, nie znaju. Szukali, szukali, szukali, szukali, szukali - dodała emocji swojemu opowiadaniu ciocia.

- Ale dobra szto Halina Dubickawa kapala bulbu i uwidziela, szto paszoŭ niehto tudy. To wiedzieli dzie szukać. Dwie noczy. Kazaŭ, chacieŭ pamiraci. No serce mocne. Ciapier lażyć, wo, synok dahladaje. Piensiu woźmie, napijecca i wsio. Pajedzie u Sybotniki, nakuplaje sabie i wina. A niczoha sabie nie sadziŭ, ni bulbaczki. Tak rok jaszcze, choć nijaki aharod byŭ pasadziŭszy.

Wujek postanowił pochwalić się przed nami nowymi wiadomościami i powiedział:

- Ale użo księdza baradatoho nima.

Wiedziałem, że miał na myśli ojca Krzysztofa Groszyka, kapucyna z Polski, który po siedemnastu latach pracy na Białorusi, w Sobotnikach i Lipniskach, powrócił do kraju.

- Kazik, a ŭ Lipniskach żesz tu, byŭ że ksiądz jeszcze adzin. Hety i astaŭsia musi?

- Tak ciociu.

- Ale tam baradaty! Hety to haroszy, dobry był ksiądz - szybko poprawił się wujek.

- I w Gieranionach także zmienili księdza - powiedziałem.

Zasłużonego dla tej parafii ojca Ryszarda Czajkę, chrystusowca z Polski, zastąpił Andrzej Ły-sy rodem z Iwia. Rok temu ukończył Seminarium Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Za-granicznej w Poznaniu. Jego kolega Oleg Szpieć, też z Iwia, dwa lata temu został pierwszym wyświęconym na księdza chrystusowcem z Białorusi. Po dwuletniej praktyce w Polsce otrzymał parafię w Hancewiczach na Polesiu. Niedługo Sergiusz Angur z Iwia i Andrzej Ryngiel z nieda-lekiego Barowa nad Niemnem, też opuszczą mury seminarium.

- Nasz ksiądz jaszczu na hod wyrabiū, jaszczu hod budzie - powiedziała ciocia mając na myśli innego chrystusowca, ojca Franciszka Gaudysia, proboszcza naszej parafii.

Znaczyło to, że miał on ważny pobyt na Białorusi i zezwolenie na pracę w parafii Sobotniki do końca tego roku. Księża i siostry z zagranicy muszą co pół roku składać wnioski o ich prze-dłużenie.

30 czerwca, sobota

Imianiny Manuīła, Sawelia, Emilii

Pszczoły oblażył ścianki ula - będzie upał.

Ten dzień był zupełnie inny. Po południu, kiedy jechałem rowerem wzdłuż kolonii do miastecz-ka, minęło mnie parę młodych osób skręcając do Dowgiałowszczyzny. Po ich pośpiechu i przeję-tych twarzach widać było, że coś się musiało w wiosce stać. I stało się. Zmarła Alina Grażyńska lat czterdzieści dwa. Jej dziadek Witold Grażyński zginął pod Monte Cassino. Był strzelcem w 17 Batalionie Strzelców w 6 Lwowskiej Brygadzie Piechoty Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dzień po jego śmierci na ruinach klasztoru załopotąła biało-czerwona flaga. Ali ojciec Wa-cław w latach pięćdziesiątych wyjechał do Donbasu na Ukrainie, gdzie pracował w kopalni wę-gła. W górniczym wypadku stracił oczy. Wcześniej poznał dziewczynę, Rosjankę Olę. Wacek był wysoki, przystojny i sympatyczny. Dobrze grał na akordeonie i ładnie śpiewał. Młodzi zako-chali się w sobie, a Ola nie opuściła Wacława po jego tragedii. Pobrali się i przyjechali do jego rodzinnej wioski.

Późnym wieczorem, kiedy już niebo nad kolonią rozświetliły gwiazdy, wyszedłem z domu dziadka Jana i ruszyłem znajomą ścieżką do bliskiej Dowgiałowszczyzny. Ścieżka została wy-deptana przez ludzi i krowy. Krów już nie było i ścieżka zarastała coraz bardziej wracając we władanie lasu, którego skrajem biegła. Otaczający mnie pomrok rozjaśniałem żarzącym się ogni-kiem papierosa, zwracając baczną uwagę, aby nie zahaczyć nogami o wystający korzeń drzewa, nie nadziać się na wyciągnięte do mnie gałęzie drzew. Po paru minutach byłem na mostku na Łyntupce. Przy drewnianym krzyżu skręciłem w lewą stronę i wszedłem do wioski drogą wybru-kowaną z rzadka polnymi kamieniami. W coraz większej ciemności wypatrywałem światełek rodzinnego domu zmarłej Aliny. Odbywało się tam nocne czuwanie modlitewne przy jej zwłokach. Wszedłem do chaty i prowadzony słyszonym śpiewem otworzyłem drzwi pokoju, gdzie w otwartej trumnie leżała ona, odświętnie ubrana, przykryta delikatną, ażurową białą narzutą. Twarz miała zasłoniętą, więc nie widziałem, czy Pani Śmierć łaskawie zostawiła na niej uśmiech na pożegnanie tego świata.

W pokoju za stołem siedziały cztery kobiety i po polsku śpiewały psalmy. Śpiewały wolno, mocno przeciągając niektóre sylaby.

(...) Wzywam cień, Boże, świadku mojej niewinności,
Któryś mnie zwykł wywodzić zawsze z mych trudności;

Chciej sień teraz nade mną strapionym zmiłować
A moje smutne próśby łaskawie przyjmować!

A wy, o niezyczliwi i zapamiętali
Długo sień na mą sławę będziecie targali?
Długo rzeczy znikome naśladować chcecie?
I lada wiatru, głupi, chwytać się będziecie?

Także wiecie, kogo sam Pan godnie miłuje,
Tego w żadnej przygodzie Pan nie odstępuje;
Nie odstąpił mi miły Pan, nigdy łaski swojej
Dawał miejsce i dawa, i da prośbie mojej. (...) ⁹⁰

Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie,
A światłość wiekuista niechaj jej świeci wiecznie.

Trzy ze śpiewających kobiet znałem. Były to: moja kuma Maryna Kiewra, jej mama Janina, na którą mówią Janeczka, i Ania Poźniakowa po mężu Nastusiewicz. Na stole leżały owoce, słodczyce i napoje. Kobiety musiały się trochę posilać, bo z przerwami miały śpiewać przez całą noc. Na krzesłach siedziały matka zmarłej i sąsiadki ze wsi. Był też Józef Nowicki i Marysia, córka Loni Stankiewiczowej, która przyjechała z Lidy pożegnać swoją koleżankę i przyjaciółkę. Stałem przy piecu i tak jak inni modliłem się w milczeniu. Nie pamiętałem, czy w swoim życiu przebywałem tak długo i tak blisko obok zmarłej osoby. Jeszcze wczoraj rano żyła, chociaż może w swoim umyśle zdawała sobie sprawę, że coś ważnego się dla niej wydarzy.

„**Miahka była**”, czyli wiotka i delikatna, jak ją wnosili do mieszkania, a to oznaczało, że niedługo będzie w wiosce kolejny pogrzeb. Tak powiedział wujek Władek i to się sprawdziło. Tego samego roku w wieku osiemdziesięciu trzech lat zmarł Wiktor Paszko. Po godzinie czuwania wyszedłem z chaty i zamyślony nad nieznanym mi życiem Aliny i jej śmiercią wróciłem na kolonię.

1 lipca, niedziela

Imianiny Liawoncja, Mariana, Haliny

Wieczorem koniki polne grają na dobrą pogodę.

Po południu poszedłem na pogrzeb Aliny. W Dowgiałowszczyźnie mieszkało zaledwie kilkanaście osób i do tego kilka na kolonii, więc na mszy pogrzebowej było nas niewielu i ta garstka odprowadziła zmarłą na cmentarz za rzeką Gawią. Alina została pochowana w nowej jego części. Podczas pochówku nastąpiła pewna kontrowersja i niewielkie zamieszanie. Krewni zmarłej ze strony jej mamy byli wyznania prawosławnego. Chcieli, aby przy ostatnim pożegnaniu przy otwartej trumnie, zostawić na zmarłej białą ażurową narzutę. Nasza tradycja w Sobotnikach była inna i wszelkie dodatkowe okrycia są zdejmowane z nieboszczyka przed zamknięciem wieka. Zostało tak, jak jest u nas.

Po ostatnim pożegnaniu Aliny podszedł do mnie mężczyzna trochę młodszy ode mnie i powiedział:

- Cześć Kazik.

Ja go nie poznałem, a on przedstawił się jako Staś Tuczowski. Tyle lat minęło, więc nie pamiętałem, że jako dzieci bawiliśmy się razem w Pietrymanowszczyźnie. Mieszkała tam wówczas ciocia Zosia z mężem i teściową. Kilkaset metrów dalej w wiosce Ślesary mieszkała ciocia Janka, siostra mojego taty, która wyszła za mąż za Antka Kursewicza. I tam także często bywałem i

bawiłem się z miejscowymi dziećmi nad wodną strugą łączącą się z Matruną. Może wśród nich była Maria Juralewicz rodem ze Ślesar, obecna pani dyrektor szkoły w Sobotnikach? Mama Stasia, Helena z domu Grażyńska, była rodzoną siostrą ojca zmarłej Aliny. Na wieść o przyjeździe mojej mamy wskoczyła na rower i przyjechała na kolonię, aby się z nią zobaczyć i porozmawiać. Nie widziały się przez wiele lat, a w młodości były dobrymi koleżankami i przyjaciółkami.

Zaraz po pogrzebie poszedłem na nasze rodzinne groby. Później dowiedziałem się, że rodzina Aliny chciała zaprosić mnie na poczęstunek.

- Gdzież jest nasz Polak? - pytali się jeden drugiego patrząc dookoła na cmentarzu.

2 lipca, poniedziałek

Imianiny Iwana

Zbiegły się chmurki w jedną dużą - będzie padać deszcz.

Słonina w jaszczkach⁹¹ potnieje - też będzie padało.

Na Białorusi jest wiele małych wiosek, kolonii i chutorów zamieszkałych prawie wyłącznie przez starych ludzi. W miejscach tych i w ich pobliżu nie ma żadnych sklepów spożywczych, a oprócz starości, choroby tego wieku często uniemożliwiają udanie się po niezbędne produkty żywnościowe oraz inne do miasteczka. Kiedyś, i ja to dobrze pamiętam z dawniejszych podróży, w wielu wioskach były sklepy, czyli jak tam u nas mówią „mahaziny”, w których można było kupić, chleb, wędliny, herbatę, mąkę i kasze, sól i cukier, konserwy rybne, oranżadę, napoje alkoholowe i papierosy, niektóre artykuły potrzebne w gospodarstwie domowym jak na przykład naftę, kiedy jeszcze nie wszędzie był prąd. Dzisiaj sklepy funkcjonują tylko w niektórych ludniejszych jeszcze wioskach i w miasteczkach. Są w nich także małe, prywatne sklepiki jak na przykład w Żemłosławiu i Sobotnikach.

Do pozostałych wiosek naszej gminy, a szczególnie tych bardziej oddalonych od miasteczka, do którego nie ma żadnej komunikacji autobusowej, produkty spożywcze są dowożone z Iwii specjalnym samochodem zwanym autafaŭka⁹². Trasa takiego przejazdu jest zawsze ustalona, co do dnia i mniej więcej godziny. I jest to raz lub dwa razy w tygodniu. Do Dowgiałowszczyzny autafaŭka przyjeżdżała zawsze w poniedziałki około godziny dwunastej.

Lekko mżyło, kiedy wyszedłem do wioski, aby pomóc cioci przynieść do domu siatki z zakupami. Rozłożyłem stary damski parasol i zarastającą mokną ścieżką udałem się na punkt zborny. Znajdował się on przy zagrodzie Loni Stankiewicz, gdzie zwykle zatrzymywała się autafaŭka. Zaledwie kilka kobiet na nią czekało: Janka Stankiewicz, Janeczka Kiewra, Albina Nowicka, moja ciocia Zosia Tuczowska, Lonia Stankiewicz i Marysia Hryniuk. Siedziały na szerokiej ławce przytulonej do gumna, a od kropiącego delikatnie deszczu osłaniały je wystające stare płyty szyfieru⁹³, którym pokryto dach budynku. Usiadłem między nimi i przysłuchiwałem się prowadzonym rozmowom. Chociaż tematyka ich była różna, to dotyczyła bieżącego życia i spraw, jak kiedyś u nas w Polsce w kolejkach za kartkową żywnością.

Kobiety rozmawiały o pogodzie. O tym, że w telewizji mówili, że po Grodnie będzie deszcz, ale u nas bardziej sprawdza się prognoza dla Mińska, więc może nie będzie padać. Wspominały jakąś Mańkę, która była bardzo zapracowana, bo i skacinę⁹⁴ miała, i musiała sianować, i krowę zagonić do stada idącego na pastwisko, a potem spotkać ją, a i do kościoła codziennie chodziła, a ten jej, to by tylko pił. Mówiły o tym, jak u kogo rośnie bulba i czy jest nawożona. Gnoju na wiosce nie było, bo nikt już nie trzymał krowy i mało kto świnie. Na kolonii jedynie Janeczka i Dabryńska miały krowy, ale to było o wiele za mało, żeby naturalnym obornikiem nawieźć kartoflane sotki. Rozrzuca się go jedynie na działce przy zagrodzie. Na pole potrzebna jest saletra. Coś dołożyli emerytom do pensji, jakieś cztery tysiące rubli, ale to grosze, a nie żadna dobawka. Więc

rząd ma coraz mniejsze uznanie w oczach ubogich emerytów.

Niewiasty częstowały się przyniesionymi jabłkami.

- Ważmi antonouku - powiedziała Stankiewiczowa do Kiewry.

- Nie, sałodki - ta odparła sięgając po drugi gatunek. - Adnaħo razu moj Kiewra zjeżdżaħ do Kałabunskaho. Tu niedaleko na kolonii - wyjaśniła mi. - Tam u joch nadto sałodkie i smacznyje jabłyki byli. Nima uħo toj chaty, ni tych chlawoħ i inszych budynkaħ. - Jany sałodkie, aleħ jany twiordyje - stwierdziła kosztując swoje jabłko. - Jany jaszczė asiennije. Jany priama ũ rocie rasta-juć jak dastaniesz⁹⁵.

Tak sobie rozmawiały a ja słuħałem, kiedy niespodziewanie zza chaty Loni wyłonił się konny wóz z kilkoma starszymi osobami. Minęli nas w milczeniu pozdrawiając skinięciem głów. Koń był zaprzężony do wozu z charakterystyczną duħą. Powoli i spokojnie ciągnął wóz z pasażerami w kierunku Dowgiałowskiej Drogi.

- To adnapolcy - stwierdziła Janka Stankiewiczowa. - Jeduć za nieczym u Sybotniki.

Niewielka wioska Odnopol (Annopol) leżała niedaleko drogi Sobotniki – Lipniszki i znajdowała się w jurysdykcji parafii lipniskiej, chociaħ historycznie i jeszcze przed wojną należała do naszej parafii.

Wstałem, żeby zrobić pamiątkowe zdjęcie.

- A szto to, budzie zdjęcie? My baby szyrokaj kaści, trudno zniać - powiedziała śmiejąc się Janeczka.

- Dyk a szto, usich nas zojmiesz, ci im bliħej sieści? - spytała się mnie ciocia.

- Choroszo siadziacie, bo pad kaściołam budziecie wisiać - zaħartowała znowu Kiewra, mając na myśli moją wystawę fotograficzną.

Panie przysunęły się bliħej siebie, wychyliły się zza osłaniających je malw, a ja pstryknąłem kilka fotek.

Wreszcie nadjechał samochód, stary pojazd z napisem „Produkty”, czyli przystosowanym do przewozu żywności. Jednak tym razem wybór ich był niewielki. Chleb, mąka, cukier, kasze, jakaś kiełbasa, mrożone ryby, napoje, trochę domowej chemii i coś tam jeszcze. Ciocia chciała kupić pomidory i kurę chcąc oszczędzić swoją gromadkę, ale drobiu już nie było. Przywiozą za tydzień. U sprzedających można zmówić jakiś konkretny towar i wtedy jest gwarancja, że się go otrzyma. Nie dotyczy to jednak wszystkich artykułów. Tak to wygląda. No cóħ, autołauka to nie sklep spoħywczy w miasteczku, ale dobrze, że jest.

3 lipca, wtorek

Imianiny Hleba, Iny, Rymy, Anatola

Lipiec, kosi i źnie, dħugo spać nie daje.

Kto w lipcu na polu poci się, tego piec zimą ogrzeje.

Ostatnie dwa dni pobytu na ajczynie. Mama nie ruszała się z kolonii, a ja pomagałem kuzynowi Jankowi w wybetonowaniu nowego chodnika. Prowadził on od wejścia z ulicy Antokol do domu i kawałek dalej, do budynków gospodarczych. W drewnianej podłūħnej kaści ręcznie mieszałem zaprawę betonową, nazywana tutaj roztworem. W profilowaniu chodnika pomagał nam Wołodia z wioski Kwiatkowce naszej gminy, który akurat pracował na różnych budowach w Sobotnikach. Ich front był szeroki, gdyż nasze miasteczko miało zostać przekształcone w ahrogardok⁹⁶.

Była to nowa tendencja w przemianach gospodarczych na Białorusi, która miała na celu przekształcenie i reformowanie wiejskich centrów gminnych. Dzięki temu, według pomysłodawców, białoruska wieś przestanie się wyludniać, młodzi ludzie będą mieli dobrą i realną perspektywę do pozostania, a w dalszej kolejności do założenia rodziny w takim miejscu.

Ja jednak uważam, że dla młodych ludzi kończących dziewięć lub jedenaście klas i mających trochę więcej ambicji, nie ma na wiosce żadnej przyszłości. Także dla osób z niewielkim stażem zawodowym, gdyż na wsi brak jest rzeczy podstawowej dla jej mieszkańców- miejsc pracy. Można wyasfaltować całą wioskę, przeprowadzić kapitalne remonty sklepów i budynków użyteczności publicznej, doprowadzić do wszystkich domostw wodę i gaz. Jednak, jeżeli nie stworzy się ludziom odpowiedniej ilości miejsc pracy godziwie wynagradzanej, to nie zachęci się ich do pozostania na wioskach.

Zdjęcie

- Ciociu, to jest zdjęcie suszarni lnu w Dowgiałowszczyźnie, o którym cioci mówiłem. Dostałem je od Jurka Motyla. Może ciocia spróbuje odgadnąć, kto jest na tym zdjęciu?

Zosia wzięła fotografię do ręki, podeszła do okna i uważnie jej się przyglądała. Po chwili powiedziała:

- Od lewej Paszkowa Hańcia, druhoj nie znaju, Gienia Julinowa z Łyntupi.

- Dyk szto - przerwał wyliczanie cioci wujek Władek. - Gienia Julinowa prychadziła siuda miać⁹⁷?

- Nu dyk prasili miać. Czamu miać, ...

- Aaa, dyk eta ludzi sabie prasili miać. Ja dumaũ kałchoz.

- Hańcia Kwiatkowska, z tyłu jej matka, później Józia Nawickawa, a eta działczynka, heta Jadzia Kałabunskawej Hańci. Nie ma, zmarszy, pamiorszy daũno. Dabrynszczycha Albina, un, jakaja maładaja byũszy, Matylichu, Kałabunsczycha Anna. Tut za Dabrynskimi żyli. Eta musi Mania, czy nie tolka, szto ũ nich była. U nich służyła, u nich astała. Ana i cipier żywie u Sybotnikach. Padobna, no jana musi, ot.

Renia

- Dzień dobry pani Reniu. Może pomóc? - zapytałem siostrę wujka Władka, która z koleżanką przyjechała konnym wozem na kolonię po siano.

- A ty znajesz chłopiec, muchi waźmi pahaniaj. Jana choć pastaić - tak powiedziała o swojej kobyle.

- A pani Reniu, pani jeszcze z kimś przyjechała. Gdzie ta druga kobieta?

- A palaciela niehdzie da Loni. Nie, da Jani.

- Stój! Stój! Prrrr!!!

- Musi chwacić nam, bratok ty moj - powiedziała pani Renia do wujka, który załadował wóz sianem.

- Awsianku tuju zabirajcio.

- Oj Boh ty moj. Chwacić. Tut siena heta wot to dobre. I nadto eta siena pachnące. Dyk paczekaj bratok. Ja trochi prycisnu jaho. Oj, do.

- Dobra jesteś, dobra - zwróciłem się do kobyły odganiając od niej komary i muchy. - Nie mam dla ciebie nic do jedzenia, nie mam.

- I toje szto tady dobre było, dyk ależ pad daždžom pawalałasia i wsio. Dobra szto ja w sybotu jeho ũłażył u kopy.

- Jak to ludzie na emeryturze jeszcze muszą się na starość tak trudzić - powiedziałem do roźdzeństwa. - To niepojęte. Wy dałżny addychać, a nie robić.

- Addychniesz, jak **każe** ksiądz: „wieczny odpoczynek” - odparł Władek
- Oj Boże, mój Boże! Wstaniesz u czatyry czasu ...
- Ale pani Reniu, ma pani jakąś pensję?
- Maju, maju **dzwieście siemdziesiąt** (270 000 białoruskich rubli, czyli około 130 dolarów).
- No, to **bolej**, czym Zosia.
- Nu dyk **janaż** na **fiermach**⁹⁸ **rabiła** - powiedział o siostrze wujek.
- I tak **małuju** pensiu dali.
- I mąż ma pensję?
- Aha.
- No to może trzeba mniej trochę tak pracować u rucznuju?
- Nie **chawałby** niczoha dyk i nie **pracawałby**. **Karowu** **choczecca** **chawać**, **kania**.
- A po co **koń** jeszcze?
- Oho! Bez **kania** jak bez ruk.
- Ale wy **stariki** użo.
- Nu, **ale** i bez **karowy** to **ciażka**.
- **Dwanaccać** **karou** ũ **Kwiatkoŭcach**. U nas mniej. Tam **nawiazywajuć**⁹⁹.
- **Chacia** szto **Mania** **wywaliłasia** do **Polszczy** i **pażywie** - to o mojej mamie.
- **Wsio** **balić**, i **špina**. **Wozduchu** **nima**. **Władyk**, **może** **dzie** **padniać** **heta** **jeszcze?** - pani Renia pokazała na leżące siano. - **Bo** **mało** **ūlezie**.
- **Jaż** nie **znaju**. **Ja** nie **padymaŭszy**.
- Nie **padymaŭszy?**
- **Dobra** **jesteś** **dobra**, **czuprynko** **moja** **siwa** - powiedziałem do kobyły odganiając od niej muchy i komary.
- **Da**, **pajedziem** **tuda**. **Zaścielem** **dziaru**hu.
- **Charosze** **drobnieńka** **siena**. **Dy** na **dzień** **karowie** **dawać**. **Nie** **treba** **rezać** **jeho**.
- **Treba** **trocha**. **Może** **joj** **wiaroŭkami**¹⁰⁰ **prywiażesz?** **Budzie** **lepiej** **jak** **prywiażesz**. **Jano** **budzie** **nie** **rastresacca**. **Tużej**¹⁰¹ **budzie** i **ūsio**.
- **Eta** **treba** **siuda** **prynieści**.
- **Balnica** u **Sybotnikach** **jeszcze** **miesiac** **budzie** i **potym** **zakryjuć**. **A** **może** **pakinuć?** **A** **piarun** **ich** **znaje!**
- Nu, **każuć** szto **budzie** **balnica**. **Może** i **budzie** - **zastanowił** się wujek.
- **Gdzie** **budzie!** - **wtrąciłem** się do rozmowy. - **Nie** **budzie**. U **ety**m **hodzie** **zakryjuć** i ũ **Juraciszkach** **budzie**.
- U **dwa** **miesiacy** **zakryjuć**. **Eta** **po** **płanu** - **dodał** wujek. - **Lepiej** **ludzi**am **zrabili!**
- **A** **hetym** **wot**, **użo** **dwa** **razy** **zuki**¹⁰² **haniał** i **skolki** **hroszy** **ja** **addała**. **Musi** **tryccać** **tysiacz** (30 000) - **Zosia** **wyszła** z **chaty** i **włączyła** się do rozmowy. - **Dziś** **piac** **kupiła** **jeszcze** **tych**, **wo**. **Na** **wiadro** **etaj**, **samaj** **wady**, **treba** **dwa** **flakonczyki** **etawa**. **I** **jość** **ūsio** **raŭno**.
- **A** ũ **was** **Kazik**, **żukoŭ** **nima?**
- **Nie**, **myślę** **że** **są**.
- **Janyż** **etyje** **drobne** **siadziac** **pad** **listami** i **potym** **rastuć**.
- **Tylko** **trzeba** **mieć** **roztwór** i **maszynkę**, i **znać** **kali** **eta** **robić** - **wtrąciłem** swoje.
- **Wietkami**¹⁰³ **nie** **zrobisz** **nic**.
- **Tak** **rok** **wietkami** **zrobił** i **dobra** **było**.
- **Eta** **dażdży** **ūsio**. **Pad** **dożdż** **niczoha** **nie** **pamoże**.
- **Łamasz** **mnie** **kazaŭ** - **informował** wujek - **Nikamu** **nie** **wier**. **Chiba** **nawalniczny**.
- **A** **wun** **Juruszczycha** **idzie** - **Zosia** **pokazała** **laską**. - **Maładziec**.
- **O** **Jadzieńka**, **ja** **każu**. **Chacia** **kab** **pryszła**. **Tak** **smaliłab** **pieszkom** - **powiedziała** Renia

- Dobry dzień - przywitała się z nami pani Jadzia.
 - Ja kažu, nie skazała tabie, kab paspieszała?
 - Ja tolki weszła. Pakazali jany mnie remont swój, zrabili ũ chaci. Pryjechau ety wnuk. Admalawaŭszy tam usio, pawypratywaŭszy¹⁰⁴. Piecz razruchali, won wykinuli.
 - Piecz?
 - Nu.
 - I na szto kažu eta - powiedziała Zosia. - Kto tut budzie żyć jak pamresz?
 - Jadziunia na woz leź! - podała komendę pani Renia.
 - Zaraz¹⁰⁵ drabiny. Kazik, spad bani pryniasi drabiny - powiedział wujek.
 Pobieglem po drabinę. Wujek przystawił ją do wozu, a dwie starsze panie wgramoliły się na samą górę siana i odjechały do swojej wioski Pietrymanowszczyzny.

4 lipca, środa

Imianiny Juliana

Po śniadaniu wzięłem rower i pojechałem przez Dowgiałowszczyznę do Borowik. Na skraju wioski skręciłem w polną drogę w miejscu, gdzie w latach pięćdziesiątych była susznia¹⁰⁶ Inu. Następnie podążyłem leśną drogą koło lasu Ściana i po pół godzinie jazdy byłem już na miejscu. Chciałem spróbować odnaleźć krewnych Crisa Szluchy, który mieszka w USA

W roku 1912 z Borowik do Ameryki przybył jego dziadek Michał Szlucha wraz ze swoją siostrą Katarzyną. On miał wówczas osiemnaście lat, a ona dwadzieścia dwa. Na ojcowiznie zostało ich rodzeństwo, brat Antoni i siostra Józefa. W Stanach Michał ożenił się z Magdaleną Stanulewicz, dziewczyną pochodzącą z bliskiej mi wioski Chilewice i położonej niedaleko Borowik. Siedemnastoletnia Magdalena i jej dwudziestopięcioletnia siostra Michalina, przyплыły do Ameryki 9 kwietnia 1914 roku na statku „Dwinsk”, który rozpoczął swój rejs z portu Libau (Lipawa na Łotwie). Lata 1904-1914 były okresem dużej emigracji z naszej ziemi. Emigracji za chlebem, za lepszym życiem za oceanem skąd dochodziły zachęcające wieści o potrzebnych rękach do pracy, o dobrych zarobkach i wolnym życiu.

W Borowikach wpierw zajechałem do pani Felicji Grygudź. Jej stryj Antoni Paszko też znalazł się w Ameryce, ale w inny sposób. Brał udział w wojnie polskiej we wrześniu 1939 roku. Podczas przekraczania granicy rumuńskiej został schwytyany przez Sowietów, osądzony i zesłany do łagru na Syberii. Stamtąd trafił do armii Andersa i był żołnierzem Brygady Karpackiej. Walczył w bitwie pod Monte Cassino, gdzie został ciężko ranny. Po wojnie przebywał przez pewien czas w Anglii i Holandii, a następnie wyjechał z żoną do USA.

W Borowikach przed wojną mieszkało dziesięć rodzin Szluchów. Starzy ludzie poumierali, ich dzieci powyjeżdżały do miast i tylko czasami pojawiają się w rodzinnej wiosce. Żyli w niej tylko jedni Szluchowie, ale ich akurat nie zastałem. Dlatego pani Fela zaprowadziła mnie do Zofii Pietryman z domu Juchniewicz. Miała ona osiemdziesiąt osiem lat i była najstarszą mieszkanką Borowik. W jej rodzinie też znalazł się emigrant do Ameryki. Był nim Bolesław Juchniewicz, który 18 marca 1913 roku w wieku dwudziestu lat, na statku „Rhein” płynącym z portu Bremen przybył do ziemi obiecanej.

Pani Zofia, chociaż o kulach, to dość żwawo poruszała się w przydomowym ogrodzie i w swoim domu. Rozmawialiśmy o tym, co mnie do Borowik sprowadziło. Obie panie mówiły językiem tak zwanym prostym, który na wioskach nadal istnieje i ja go bardzo lubię. Próbowałem mówić podobnie, pomagając sobie słowami rosyjskimi i polskimi. Szluchów w Borowikach było nie mało. Jednak czas, który minął, pozacierał sporo śladów i poplątał myśli. Więc trudno było paniom ustalić genealogię tej jednej, konkretnej rodziny. Trochę pomocny był nam spis miesz-

kańców wioski z lat 1939/1940 i inne dane, które ja znalazłem w parafialnym archiwum. Jednak nic pewnego nie udało nam się stwierdzić.

Pani Fela musiała nas opuścić, gdyż miała do niej przyjechać wnuczka z Lidy, a my z panią Zofią rozmawialiśmy sobie dalej. Pokazując na moją książkę pt. „Białoruskie podróże” powiedziałem, że wydałem ją w wersji dwujęzycznej. Dla tych, co znają język polski i dla tych, co nie umieją w nim czytać, czyli w języku białoruskim. Od tej chwili w rozmowie ze mną, pani Zosia przeszła na prawie czysty język polski i to bez żadnego akcentu kresowego.

- Proszę pana, wie pan, że ja nienawidzę tych bolszewikaŭ. I nie chciała uczyć się po białorusku. Jak przyszło gdzie rozpisać się¹⁰⁷, ja po polsku, ja po polsku. I tak nasz ksiądz

Franciszek mówi: „Toż ty chyba zakorzeniała Polka?”. A mojaż mama z Polski była, z Radomia. Wot widzicie, ja malutka została osiem lat od mamy. To teraz chciałaby wiedzieć, chto tam w tym Radomiu żyje. No nie mam żadnej wiadomości.

- A czemu mama aż tu z Radomia przyjechała?

- A, a tamta wojna w siedemnastym roku jak była, ojciec był na wojnie. Ot, ja wam wszystko opowiem. No a mama pracowała w nu, w restaranie, czy tam u tych, co wajennym gatawali jeść. No i poznali się i tatuś przywiózł jej tutaj. I wie pan, ja jak już urodziła się i podrosła, tak ja po polsku rozmawiała ładnie. Ależ u tej wiosce zabitej, tej zamochrystej¹⁰⁸ tej, zaczęli śmiać się ze mnie. A pszczka¹⁰⁹, pszczka, pszczka, i ja rzuciła ten język. Oto, co trochę pamiętam od tych ośmiu lat. Ja i księdzu swojemu Franciszkowi mówiła, i on mówi: „To dawaj pajechali do Polski”. A gdzież ja. Trzebaż, każu, paspart. Zaczęli śmiać się. No i wot, a teraz jakoś aż boli na sercu, że nic, żadnej po mamie, żadnej rodziny nie znam. O tak.

Na koniec pani Zosia pokazała mi swoje palto uszyte kiedyś przez mojego stryja Albina i pożegnaliśmy się.

5 lipca, czwartek

Imianiny Jausiejka, Karaliny

Tego dnia odjeżdżaliśmy z mamą do Lidy. Wpierw pożegnaliśmy się z Zosią na kolonii. Był płacz i prośba Zosi:

- Kazik, jak budzie nastupny Sjezd, kanieszna prywiazai matku z saboju.

Pożegnaliśmy się także z naszym miasteczkiem. Tuż przed odjazdem autobusu Alena, córka Janka, zrobiła nam pamiątkowe zdjęcia. Podjechał na rowerze Janek Koszczyk, mamy kolega z młodych lat. Mama go wcale nie poznała, a on ją tak, mimo że widzieli się ostatni raz dawno temu. Chwilę ze sobą rozmawiali, a każde z nich w tym czasie starało się opisać swoją rodzinę, powiedzieć parę słów o sobie. Nadjechał autobus Żemłosław-Lida. Wsiadliśmy i ruszyliśmy w drogę przejeżdżając obok szpitala, w którym pielęgniarka Wika, Wiktoria Tomaszewicz z domu Poźniak, 6 lipca 1957 roku odebrała mój poród.

Zajechaliśmy do Lidy i udaliśmy się do Władzi, najmłodszej z rodzeństwa mojej mamy. Tego samego dnia na godzinę siedemnastą poszliśmy do miejskiego Pałacu Kultury, gdzie miało nastąpić uroczyste powitanie uczestników IX Zjazdu Lidzian. Na miejscu było już kilkanaście osób z Polski, które przyjechały własnymi samochodami. Razem z nimi czekaliśmy na zorganizowaną grupę z kraju, która wreszcie nadjechała jednym autokarem.

Ogarnęła mnie smutna refleksja. W roku 1992 na II Zjazd Lidzian przyjechało ponad dwieście osób. Trzy autokary lidzian w honorowej eskorcie milicyjnej wjechały do miasta. Ale lata mijają nieubłaganie. Starsi ludzie, dla których Lida i ziemia lidzka były domem rodzinnym, w którym spędzili młode i w pełni świadome lata, odchodzą na kolejny, ale już zupełnie inny etap życia. Ich dzieci, które przyszły na świat w nowej Polsce, ich wnuki, nie chwyciły tego bakcyła przy-

wiązania do ziemi ojców. A może im tego nie przekazano?

Ja wiem, jestem o tym mocno przekonany, że więź z ajczyzną istnieje ukryta bardziej lub mniej w sercach tych, co przyjeżdżali w łonach swoich mam jak trzymiesięczna Teresa Klimczak, jako kilkumiesięczne niemowlaki jak ja, kilkuletni brzdące jak Olek Jurewicz¹¹⁰ z Lidy, nastolatkowie, dojrzała młodzież jak Czesław Niemen ze Starych Wasiliszek. My oraz wielu innych, musieliśmy opuścić ziemię rodzinną w ramach pierwszej i drugiej ekspatriacji.

Nastąpiło polskie powitanie uczestników Zjazdu chlebem i solą. Dzieci w polskich strojach ludowych recytowały wiersze. Następnie Olek Kołyszko, prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej, omówił program Zjazdu i rozeszliśmy się na swoje kwatery. My z mamą do ciotki Władzi, a Krystyna Żołądkiewicz, wnuczka Bolesława Czejdy, założyciela i właściciela sobotnickiej apteki, zamieszkała u Ireny Udot, sąsiadki ciotki przez ścianę.

6 lipca, piątek

Imianiny Arcioma, Ahrypiny, Daminiki

Moje pięćdziesiąte urodziny. Pięćdziesiąt lat temu urodziłem się w miasteczku Sobotniki nad rzeką Gawią, prawym dopływem Niemna.

Tego dnia na Białorusi w tradycji prawosławnej odbywają się ludowe uroczystości i obrzędy związane z nocą Kupały, czyli tak zwane Kupalle. W Polsce ten stary obyczaj święta ognia i wody, słońca i księżyca, radości i miłości oraz urodzaju znany jest pod nazwą Nocy Świętojańskiej, Sobótki, obchodzonej w nocy z 21 na 22 czerwca. Na Łotwie, po odzyskaniu przez ten kraj niepodległości, noc przesilenia letniego z 23 na 24 czerwca ma rangę święta państwowego, a dni te są wolne od pracy. W tym czasie Łotysze spożywają duże ilości tradycyjnego sera z kminkiem i piwa. Mieszkańcy Litwy w dniu 24 czerwca również nie pracują. Świętują także, chociaż w mniejszym, stopniu Finowie i Estończycy.

W tym dniu w programie Zjazdu mieliśmy spotkanie ze Stanisławem Sudnikiem. Urodził się on niedaleko Nieświeża i był aktywnym narodowym działaczem białoruskim z tej grupy osób, których w niewielkim stopniu tolerowały władze. Staś Sudnik pracował w redakcjach dwóch pism: „Lidzkiego Latopisu”¹¹¹ - czasopisma krajoznawczo-historyczno-literackiego i „Naszego Słowa” - gazety wydawanej przez Towarzystwo Białoruskiej Mowy im. Franciszka Skaryny¹¹². Obydwa periodyki wychodziły w języku białoruskim, a szczególnym zadaniem drugiego była obrona tego języka przed dominacją języka rosyjskiego, czy też bardziej przed jego radziecką odmianą - trasianką.

„Nie porzucajcie mowy naszej białoruskiej, abyście nie umarli!”. Te słowa Franciszka Bahuszewicza, jako motto, widniały obok tytułu gazety.

Tego też dnia wieczorem uczestnicy Zjazdu mieli spotkanie integracyjne w szkole średniej nr 11. Kiedy udawaliśmy się na nie z mamą i panią Krystyną, na lidzkim niebie powoli zaczynały się zbierać ciemne chmury. Spotkanie było bardzo przyjemne z dobrym poczęstunkiem i częścią artystyczną. Na początku wystąpił białoruski zespół ludowy „Nadniemeńcy” z Brzozówki nad Niemnem. Śpiewał żywe ludowe pieśni przygrywając sobie na tradycyjnych instrumentach. W części drugiej zaprezentowali się „Kresowiacy” z Lidy. To znany polski zespół wokalny, który towarzyszył Zjazdowi Lidzian od samego początku. W ich wykonaniu a capella pieśń „Za Niemen hen precz! (...)”¹¹³, zawsze u słuchających budziła duże wzruszenie. Kierownikiem artystycznym „Kresowiaków” był Staś Januszkiewicz, rodem również z Brzozówki. Staś, który w grudniu tego roku niespodziewanie odszedł do drugiego świata. My także wzięliśmy udział we wspólnym śpiewaniu. Niektórzy z nas zostali poproszeni o osobiste wystąpienia i wspomnienia z rodzinnych, kresowych stron. Na zakończenie spotkania odbyła się zabawa taneczna.

Nasza trójka wyszła trochę wcześniej niż inni, gdyż do cioci mieliśmy spory kawałek drogi a postanowiliśmy przejść go pieszo, chociaż zaczął padać deszcz. Mieliśmy ze sobą parasole i letni ciepły deszcz nie wydawał nam się groźny. Szliśmy chodnikiem wzdłuż ulicy, która już prawie cała była pokryta spływającą wodą. Opady stawały się coraz bardziej intensywne, a my po kilku minutach mieliśmy problemy ze znalezieniem miejsca na chodniku, które nie było zalane. Zatopione studzienki kanalizacyjne nie przyjmowały kolejnych partii deszczówki, wyrzucając ją z siebie z głośnym szumem i bulgotem. Nie było mowy o przejściu na drugą stronę ulicy, aby nie brodzić po kostki w wodzie.

Nad miastem przechodziła gwałtowna nawałnica, którą spowodowało oberwanie się olbrzymiej, skumulowanej chmury deszczowej. Zewsząd dochodził do nas szum milionów padających kropeł połączonych w wodne nitki, sznurki i bicz. Dla nas był to istny kataklizm. Ulice, place, skwery i chodniki Lidy całkowicie przykryła woda. Wyglądający niewinnie trawnik okazał się zdradziecki, kiedy usiłowaliśmy przez niego przejść omijając zalane miejsce. Nigdy na żywo czegoś takiego nie widziałem i nie doświadczyłem. Porównywałem to, ale tylko w przenośni, z corocznymi wielkimi powodziąmi w Bangladeszu, które pokazywała polska telewizja. Kompletnie przemoczeni, szliśmy jednak twardo przez to miasto na wodzie i w końcu dotarliśmy do Władzi. Kiedy już trochę ochłonęliśmy zastanawiałem się, dlaczego na drogę powrotną ze spotkania nie zamówiłem taksówki, na którą miałem kartę stałego klienta? Ale nie potrafiłem sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Podczas Zjazdu często przebywałem w jego biurze, gdzie sprzedawałem rodakom moje książki. Dom Kultury znajdował się blisko kościoła pw. Podwyższenia Krzyża św. Podczas jednego z dyżurów zauważyłem podjeżdżający na pobliski plac parkingowy autobus z polską rejestracją. Zabrałem trochę moich prac, wydawane na miejscu czasopismo „Ziemię Lidzką”¹¹⁴ i poszedłem w kierunku parkingu. W sumie spotkałem uczestników dwóch wycieczek z Polski, które wracały do kraju z Litwy przez Białoruś, a Lidę sobie obrały za miejsce krótkiego odpoczynku i zwiedzania. Jedni z nich swoje korzenie rodzinne wywodzili z Kresów Południowo-Wschodnich. Drudzy związani byli z szeroko pojętą Wileńszczyzną. Właśnie oni wykazali spore zainteresowanie moją literaturą i „Ziemią Lidzką”. Poinformowałem wycieczkowiczów o działającym w mieście Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej i o Domu Polskim, w którym mieścił się oddział Związku Polaków na Białorusi. Niestety postój rodaków był krótki i nie mieli oni czasu na zapoznanie się z lidzkimi Polakami i uczestnikami naszego Zjazdu.

Kiedy ja byłem na miejscu w Lidzie, to mama starała się zobaczyć jak najwięcej z tego, co zostało przygotowane w programie Zjazdu. Nie wszystko organizatorom udało się zrealizować ze względu na niepogodę i częste deszcze. Mama jednak była na Szlaku Adama Mickiewicza w Nowogródku i nad Świtezią oraz na akowskich grobach w Wawiórcie, Surkontach i Niecieczy. Chłopcy z Nowogródzkiego AK byli zorganizowani w 77 Pułk Piechoty Ziemi Nowogródzkiej. Pułk ten jako jedyny w całej Armii Krajowej liczył osiem batalionów żołnierzy, tak jak w strukturze przedwojennej. Jego żołnierze dokonali wielu spektakularnych akcji przeciwko niemieckim i sowieckim okupantom. Jedną z nich była akcja dziesięcioosobowej grupy na więzienie w Lidzie, w której znajdował się silny garnizon niemiecki. Akowcy bez jednego wystrzału uwolnili około siedemdziesięciu więźniów.

8 lipca, niedziela

Imianiny Piatra

Dzień świąteczny. Na ten dzień uczestnicy Zjazdu mieli zamówioną mszę świętą w kościele pw. Miłosierdzia Bożego na osiedlu Młodzieżowym. Jednak w ostatniej chwili proboszcz ks. Józef

Pacyna, lidzianin i Polak, budowniczy tego kościoła, odmówił nam tej uroczystości. Ratunkiem okazała się parafia pw. Podwyższenia Krzyża św. z proboszczem ks. Włodzimierzem Hulajem. Msza, na której byliśmy, odbywała się jednak w języku białoruskim. U wielu uczestników Zjazdu wywołało to komentarze, ponieważ prawie połowa mieszkańców Lidy byli to Polacy i osoby polskiego pochodzenia, i oni też tworzyli niemal w stu procentach społeczność katolicką tego miasta. Podczas mszy miał miejsce chrzest niemowlęcia płci męskiej, który otrzymał imię Maksim. Nie jest to imię polskie ani nawet białoruskie, co bardzo zirytowało Antoniego Daszkiewicza, uczestnika Zjazdu. A tyle jest pięknych imion, które nadawano dzieciom przed wojną i w latach późniejszych, i nie straciły one nic ze swojej aktualności mimo różnych, często śmiesznych mód.

W spisie parafii Sobotniki 1939/40 wśród dzieci pełno jest Stasiów, Józków, Witków i Witolców, Heńków, Franków, Tadziów, Janków, Wacków i Władków, Albinów, Antków, Zbyszków, Bolków, Marianów i Mietków, Maryś i Mariann, Janin, Władysław, Wand, Józefin, Felicji, Wiktorii, Helenek, Jadwig, Ann, Irenek, Zoś, Leonard, Genowef, Bronisław, Teresek. Zdarzają się także Dorotki, Halinki, Krysie, Stelle, Faustyny, Anastazje i Stefanie.

Przed wojną nie było rzadkością nadawanie dziecku takiego imienia, jakie miał jego ojciec lub matka, czy też wybranie dla córki i syna tego samego imienia. Na przykład ojciec mojej mamy miał na imię Jan i takie samo imię na chrzcie otrzymał jego syn, mój wujek Janek. Moja babcia ze strony mamy miała na imię Wiktoria, a jej brat Wiktor. Ojciec mojego taty miał na imię Bronisław, a jego siostra Bronisława. Te imiona były też popularne wśród Białorusinów. Nadawanie imion rosyjskich dzieciom białoruskim i polskim jest oznaką przemian, które dzięki sowieckiej dominacji przez wiele powojennych lat w każdej sferze życia, na stałe zakorzeniły się wśród obywateli Białorusi, jako coś naturalnego i rodzimego.

10 lipca, wtorek

Imianiny Samsona, Iwanny

Jeżeli na Samsona pada deszcz, to będzie padał przez następnych siedem tygodni też.

Dzień przed odjazdem z Lidy mieliśmy najprzyjemniejszy punkt programu Zjazdu - ognisko nad Niemnem. Wszyscy się obawialiśmy, czy dojdzie ono do skutku nad rzeką, gdyż po niedawnym oberwaniu chmury pogoda wciąż była w kratkę. Spotkanie na koniec naszej imprezy wraz z jej podsumowaniem i tak się by odbyło, ale woleliśmy, aby to się stało tradycyjnie nad Niemnem, a nie w jakimś zamkniętym lokalu. W tym dniu Opatrzność jakby przychylniej spojrzała na swoje kresowe dzieci. Pogoda z samego ranka rokowała dobre nadzieje i organizatorzy Zjazdu postanowili zaryzykować. Pojechaliśmy nad Niemen! Wsiadliśmy do autokaru i po niedługim czasie byliśmy na lewym brzegu tej magicznej dla nas rzeki, niedaleko Bielicy.

Wszystko było już przygotowane na nasz przyjazd. Stos drewna na ognisko, stoły zastawione jedzeniem, kwas chlebowy, dobre lidzkie piwo, białoruska wódka. Na nasze powitanie grał i śpiewał „Hudzki harmonik”, białoruski zespół ludowy z Lidy.

Podszedłem nad tuż płynący Niemen. W tym miejscu był szeroki. Płynął majestatycznie, cicho i powoli, tak jak na całej swojej długości. Nagle naszło mnie coś takiego, że chciałem w mgnieniu oka zrzucić z siebie ubranie, wejść w niemnowe fale i przepłynąć na drugi brzeg rzeki. A płynąc mówić do niej, pieścić się z nią delikatnie rozgarniając rękoma jej wody, przywoływać z pamięci Elizę Orzeszkową, Bohatyrowiczów, chłopców z nowogródzkiego AK, wojów Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Bardzo przyjemnie i wesoło bawiliśmy się nad Niemnem. Uczestnicy Zjazdu przechodzili od

jednego stołu do drugiego. Wymieniali się wrażeniami z imprezy, opowiadali historie i losy swoich rodzin, spacerowali brzegiem rzeki. Przygrywali nam muzykanci i zachęcali do tańców, do polki białoruskiej. Płonęło wysokie ognisko, w którego żarze piekliśmy kiełbaski.

Następnego dnia odjeżdżaliśmy do Polski, a kiedy znowu przyjedziemy nad Niemen? Niektórzy z nas za kolejne dwa lata, a inni może już nigdy?

A więc napijmy się jeszcze! Wznieśmy toasty i zaśpiewajmy!

„Za Niemen hen precz! Hen precz!
Koń gotów i zbroja,
Dziewczyno ty moja,
Uściśnij, daj miecz.
Za Niemen, za Niemen (...)”.

Żniwień 2007

(17.08-29.08.2007)

17 sierpnia, piątek

Imianiny Dzianisa, Eūdakii, Żanny

Żniwień – sierpień. Obie te nazwy ósmego miesiąca roku, białoruska i polska, bardzo do siebie i do rolniczego trudu w tym okresie pasują. Po raz trzeci, tak jak w roku poprzednim, pojechałem w rodzinne strony wyrównując mój rekord rocznych wypraw. Trasa kolejnej podróży była taka sama jak zwykle, ale jej przebieg nieco się różnił od poprzednich wojaży. Z Poznania wyjechałem o godzinie drugiej minut czternaście pośpiesznym pociągiem ze Szczecina do Białegostoku. Pociąg nie miał miejscówek, a ja nierozważnie usiadłem w przedziale dla palących. No i znalazł się tam jeden pasażer, który kopał papierosa za papierosem. Wyglądał na trzydzieści parę lat, miał niewielką rudawą bródkę, a na sobie czarne, łącznie z koszulą, wyjściowe ubranie. Nie wiem dlaczego, ale jego postać od razu skojarzyła mi się z prawosławnym batuszką, który na czas podróży zdjął sutannę. Był on jedyną palącą osobą w naszym zapełnionym przedziale. Nie jestem zdecydowanym przeciwnikiem palenia papierosów i sam czasami „zakurzę”, jak mawiał mój dziadek Jan, jednak takie stężenie dymu i smrodu nikotynowego było trudne do wytrzymania. Musiałem często wychodzić na korytarz, ale jakoś szczęśliwie dojechałem na miejsce. W białoruskim konsulacie udało mi się załatwić dwukrotną wizę ważną przez trzy miesiące. Zabezpieczyłem się tym na ewentualny jeszcze jeden przyjazd do Sobotnik na Wszystkich Świętych.

W piątek nie kursował bezpośredni autobus Białystok-Lida, dlatego kupiłem bilet tylko do Grodna. Przejście graniczne Kuźnica Białostocka-Bruzgi przejechaliśmy gładko. Razem ze mną podróżował do Lidy trzydziestokilkuletni Siergiej. Po białorusku jego imię wymawia się Siarhiej i tak samo pisze się łacinką. Na dworcu autobusowym w Grodnie wzięliśmy lewą, czyli nieoznakowaną taksówkę i za trochę większe pieniądze niż cena autobusowego biletu pojechaliśmy do Lidy. Tacy nielegalni przewoźnicy są na dworcach autobusowych w każdym większym mieście na Białorusi. Dyskretnie informują podróżnych, jak na przykład w Grodnie, o kierunku swojej jazdy:

- Na Mińsk, na Lidę.

Siarhiej miał po babci polskie korzenie. Od trzech pracował w Polsce w dużej firmie budującej hotele. Awansował na stanowisko brygadzysty i jak na warunki białoruskie dobrze mu się

powodziło, gdyż w Lidzie zaczął stawiać własny dom. Z rozmowy z Siarhiejem widać było, że dobrze radził sobie w życiu. Wcześniej przez parę lat pracował w Szwecji i Portugalii, i sam starał się o zatrudnienie w tych krajach.

Wreszcie dojechaliśmy do Lidy. Ciocia Władzia wiedziała, że przyjadę, ale myślała, że będzie to na początku października, na święto Matki Bożej Różańcowej - największy odpust w naszej sobotnickiej parafii.

18 sierpnia, sobota

Imianiny Euscihneja, Nony, Branisława, Iłony

Rano pojechałem autobusem do Iwia. Formalności rejestracyjne załatwiłem bardzo szybko, gdyż akurat byłem jedynym petentem w urzędzie. Miałem trochę czasu przed powrotem do Lidy, więc odwiedziłem Marię Michałowicz z domu Ochońko. Poznałem ją dzięki mieszkającej w Warszawie Marii Urydze z domu Dudzińskiej. Obie Marysie, urodzone iwianki, przed wojną chodziły razem do szkoły w Iwiu. W ich klasie były dzieci polskie, żydowskie i tatarskie. Po wojnie Ochońkówna została w Iwiu, a Dudzińska w 1946 roku wróciła z zesłania do Polski. Jej ojciec Grzegorz był nadgajowym w iwiejskich lasach hrabiego Zamojskiego. Gajowym w tych lasach był Jan Niechwiadowicz z wioski Jakuńka sobotnickiej gminy, a obie rodziny się ze sobą przyjaźniły. Córka Jana, też Marysia, była dobrą koleżanką Marysi Dudzińskiej.

W niewielkiej Jakuńce mieszkało przed wojną siedemnaście rodzin, z czego dwanaście to byli Niechwiadowiczowie. My jednak nie mieliśmy tam krewnych, chociaż Jakuńka leżała zaledwie trzy kilometry od Chilewicz, skąd wywodziła się nasza gałąź Niechwiadowiczów biorąc pod uwagę dziadka Bronisława i jego przodków (w Sobotnikach urodził się mój tato i ja). Ta bliskość może jednak świadczyć o tym, że kiedyś tam przed wiekami mogliśmy mieć wspólne korzenie.

Dla bolszewików bycie polskim pracownikiem leśnym było powodem wywiezienia jego wraz z rodziną na Syberię lub do Kazachstanu. 10 lutego 1940 roku spotkało to rodziny Dudzińskich i Niechwiadowiczów. Jest to historyczna data, pierwszej masowej deportacji polskich obywateli z Kresów Wschodnich. Obie rodziny jechały w jednym wagonie towarowym. Obie też trafiły do tej samej osady leśnej w głębi tajgi, w obwodzie irkuckim. W 1941 roku po tak zwanej amnestii Stalina¹¹⁵ dla zesłanych Polaków, rodzina Niechwiadowiczów wyjechała i kontakt z nimi się urwał. Dopiero niedawno Maria Dudzińska odnalazła swoją koleżankę z Jakuńki, Marię Hryniuk z domu Niechwiadowicz, która mieszkała w Stargardzie Szczecińskim. Jej brat Albin zmarł na tyfus 30 lipca 1942 roku i został pochowany w Kermine (obecnie Nawoj) w Uzbekistanie. Na początku 1942 roku w okolicy tego miasta formowała się 7 Dywizja Piechoty Wojska Polskiego, do której trafił osiemnastoletni Albin. Wycieńczony na zesłaniu chłopak zabrał ze sobą do uzbeckich piasków marzenie o powrocie do Polski.

Janka Adamowicz chodziła z Ochońkówną i Dudzińską do tej samej klasy. W czasie wojny została wywieziona na roboty do Niemiec, a po jej zakończeniu swoją przystań życiową znalazła w Holandii. Prawie wszyscy uczniowie żydowskiego pochodzenia z ich szkoły, zostali zamordowani podczas likwidacji iwejskiego getta 12 maja 1942 roku. Upamiętnione miejsce kaźni znajduje się blisko Iwia, tuż za wioską Stoniewicze w lesie przy drodze do Mińska. Losy tatarskich uczniów i ich rodzin też układały się różnie. Przed wojną potomkowie nieustraszonych wojowników byli znani jako specjaliści od wyprawiania skór zwierzęcych. Tę profesję władza sowiecka im odebrała. Od wielu lat w swojej Murawszczyźnie, dzielnicy Iwia będącej kiedyś odrębną osadą, uprawiają ogórki i pomidory.

Pani Maria Michałowicz miała ponad osiemdziesiąt lat. Była wdową, która kilka lat temu tragicznie utraciła syna, swoje najmłodsze dziecko. Miała jeszcze dwie córki. Jedna z nich mieszka-

ła w Lidzie, a druga w Bydgoszczy. Mama pani Marii dożyła stu jeden lat, czego jej samej bardzo serdecznie życzyłem.

Wróciłem do Lidy i resztę dnia spędziłem odpoczywając po trudach podróżowania.

19 sierpnia, niedziela

Imianiny Baliastawa

Kto w sierpniu trwoni czas na zabawy, ten zimą głoduje.

Brusznice dojrzały, a za nimi owies.

Na niedzielną mszę świętą udałem się do parafii pw. św. Rodziny. Była ona jedną z większych w Lidzie, a jej mieszkańcy żyli w blokach, których jeszcze przybywało. Przeważnie nie byli oni lidzianami z urodzenia, lecz pochodzili z wiosek rejonu lidzkiego, a nawet dalszych.

Ja chciałem osobiście wziąć udział w sprzedaży moich książek, które rok temu zostawiłem w przykościelnym sklepiku. W sumie byłem na trzech kolejnych mszach i do dziś nie wiem, czy to ogłoszenie przez księdza tytułów książek, czy też zaznaczenie, że sam autor będzie je sprzedawać, ku mojej uciechu sprawiły to, że rozeszło się więcej egzemplarzy niż przez cały miniony rok. Wśród kupujących byli krajanie z sobotnickiej gminy zamieszkali w Lidzie. Były osoby polskiego pochodzenia znający język polski. Byli też tacy, którzy go dobrze rozumieli, ale praktycznie nim nie władali.

Po południu pojechałem na kawę do mojego kuzyna Witka, syna cioci Zosi. Witek z żoną Swietlaną i dwójką dzieci właśnie mieszkali na terenie parafii pw. św. Rodziny, w nowym jedynastopiętrowym bloku. Już mnie tak mocno nie zdziwiły kobiety pracujące przy stawianiu sąsiedniego budynku. Mieszkanie Witka miało około siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Składały się na nie trzy pokoje, kuchnia, łazienka, toaleta i dość obszerny korytarz. Wszystko było ładnie urządzone i całkowicie wykończony. Brakowało jedynie mebli kuchennych, które miały być zrobione na zamówienie. Lokum i jego wyposażenie kosztowało małżonków nie mało pieniędzy. Chociaż finansowo pomogli im jedni i drudzy rodzice, to oboje i tak musieli wziąć dwa wysokooprocentowane kredyty, trudne do spłacania dla czteroosobowej rodziny.

Od kuzyna do cioci Władzi wracałem miejskim prywatnym rafikam. Rafiki kursowały na regularnych liniach i bardzo dobrze uzupełniały miejską komunikację autobusową w Lidzie. Chociaż bilety na nie były trochę droższe od autobusowych, to rafiki zdecydowanie szybciej dowoziły pasażerów na miejsce. Te jedenastoosobowe busy jeździły we wszystkich większych białoruskich miastach. Obsługiwały także połączenia na prowincji, na przykład Iwie-Gieranony, a także linie komunikacyjne między dużymi miastami jak Grodno-Mińsk. I w tych przypadkach tworzyły dobry zespół z międzymiastową komunikacją autobusową, dając pasażerom możliwość wyboru podróżowania.

Wieczorem o godzinie dziewiętnastej stałem już z bagażem na rogatek Lidy i czekałem na autobus do Sobotnik. Bilet kupiłem wcześniej i na szczęście w autobusie mogłem swobodnie usiąść. Trasa była mi tak znajoma, że tym razem nie patrzyłem przez okna na zbliżający się i mijany krajobraz. Nie przysłuchiwałem się też rozmowom pasażerów, zawsze ciekawym i chociaż we fragmencie ukazującym prawdziwy obraz życia na Białorusi. Przymknąłem powieki i półdrzemiąc odpoczywałem. Wydawało mi się, że te czterdzieści trzy kilometry przejechałem szybciej niż zwykle i już były Sobotniki, przywitanie z rodziną, późna kolacja, garść nowości z życia miasteczka, nocny odpoczynek.

20 sierpnia, poniedziałek

Imianiny Mitrafana, Pimena

Rano kuzyn Janek z żoną Ireną udali się do pracy do szkoły. Chociaż jeszcze trwały wakacje, to nauczyciele oraz inni pracownicy mieli sporo zajęć. Szkoła i jej otoczenie były poddawane gruntownemu remontowi. Odnowiono zewnętrzną elewację budynku, pomalowano wewnątrz wszystkie klasy, korytarze oraz inne pomieszczenia, zrobiono toalety z bieżącą wodą, które zastąpiły tradycyjne wiejskie sławojki, rozpoczęto budowę nowej sali gimnastycznej, jako oddzielnego budynku. Codziennie przyjeżdżało z Iwii i Lidy kilkudziesięciu robotników, a na miejscu cały czas znajdował się sprzęt budowlany. Wszyscy chcieli zdążyć przed pierwszym szkolnym dzwonkiem i to im się udało. Budowlańców i pracowników szkoły dopingowały też częste kontrole z rejonowego wydziału oświaty z Iwii, a nawet z wyższego szczebla z Grodna.

Nie tylko w szkole trwały intensywne prace. W centrum Sobotnik firma drogowa kładła nową nawierzchnię asfaltową i budowała chodniki. Wcześniej zostały wyasfaltowane ulice Antokol i Młyńska. Remontowana była poczta. W jej wnętrzu stały nowe plastikowe okna i leżało kilkadziesiąt płyt kartonowo-gipsowych.

Po drodze wstąpiłem do największego sklepu spożywczego w miasteczku. Jego zewnętrzna elewacja miała nowy tynk, pomalowany na jasne pastelowe kolory. Pamiętałem z poprzedniej wizyty, że tynk ten kładły młode dziewczyny. Wewnątrz sklepu też trwały jakieś prace. Kupiłem lidzkie piwo Stary Zamek i powoli je sącząc zajrzałem za osłonę z folii, za którą również młoda dziewczyna nakładała tynk na ścianę i pracowicie zacierała go pacą. Na co dzień mieszkała w Lidzie, gdzie wyuczyła się krawiectwa. Początkowo też pracowała w swoim zawodzie, jednak nie zarabiała zbyt wiele. Często też jej firma miała przestoje z powodu braku zleceń. Zmieniła branżę i poszła do budownictwa, do czaśnika¹¹⁶, gdzie miała większe pieniądze i więcej też było pracy.

Z mojego podróżowania na Białoruś, na Grodzieńszczyznę, wyniosłem przekonanie, że tam kobiety są pracowitsze i bardziej zaradne od mężczyzn. Szczególnie te, które mieszkają na wsi, oraz te, które wychowały się na wioskach, a później ułożyły sobie lepsze i wygodniejsze życie w mieście. Kiedy wracają co jakiś czas do rodzinnych gniazd, nie jest dla nich problemem pomoc rodzicom przy kopaniu ziemniaków, w skoszeniu kawałka łąki, w odpasieniu swojej kolejki wioskowych krów. I to te kobiety są w rzeczywistości kierującymi swoimi rodzinami, im należy się tytuł głowy rodziny

Ciągnąłem walizkę na kółkach przez nasze miasteczko. Wyszedłem na Łyntupską Drogę prowadzącą do wioski Łyntup przez sobotnicką kolonię koło Dowgiałowszczyzny. Pola oddały swój letni plon i zaorane odpoczywały. Z rzadka widniały na nich olbrzymie stogi słomy. Znana mi na pamięć droga przez dziadkowe pole. Pokaleczony przez powietrzną trąbę las powoli leczył swoje rany. Minąłem puste krzaki malin, a i po jagodach, po poziomkach, pozostało tylko wspomnienie. Później ich zapach i smak odnalazłem w słoiku z wędlinami¹¹⁷, który otworzyła dla mnie ciocia Zosia.

Przywitaliśmy się jakby mnie nie było zaledwie kilka dni. Wujek Włodek jak zwykle zadał mi pytanie:

- A ty ad kuda wiaũsia, kali pryjechaũ?

Zosia też sądziła, że przyjadę później. Dobrze jednak, że zmieniłem plany, bo przywiozłem potrzebne, a kończące się tabletki. Podczas kolacji tematem rozmowy było kopanie bulwy. Niektórzy gospodarze już zaczęli wykopki, chociaż ogólnie uważano, że to trochę za wcześnie i że było za ciepło. Wujek wziął konia, jakiego miał do spółki z Józikiem Nowickim i codziennie wykopywał po kilka pięćdziesięciometrowych barazion¹¹⁸ ziemniaków. Najwięcej bulw leżało na wierzchu, a te, które były przysypane ziemią spod kopałki¹¹⁹, należało ręcznie wydobyć. Przy pomocy motyki o trzech szerokich zębach trzeba było umiejętnie rozgarnąć podkopaną ziemię, wydobywać ziemniaki i wszystkie posegregować na dwa rodzaje. Średnie na posadzenie w przy-

szłym roku, a małe i duże na konsumpcję i jako karma dla świń. Ziemniaki wrzucało się do koszyków, z koszyków do worków, a worki zwoziło się do domu. Sadzeniaki należało zakopować, a pozostałe bulwy złożyć do osobnej komory w chacie. I to wszystko. Bardzo proste czynności, prawda?

Jednego popołudnia pomogłem wujkowi przy tym kopaniu ziemniaków. Przeszedłem zaledwie dwie barażony i miałem dosyć. Na początku nie szło mi dobrze. Nie tak rozgarniałem ziemię i źle sortowałem bulwy. Do tego smażyło słońce, bolały mnie plecy i krzyż od ciągłego schylania się. A później trzeba było załadować worki na wóz, zwieźć je pod dom i rozładować. Dobrze, że na wychadnyje¹²⁰ przyjechali Witek z synem i ciocia Władzia. W kilka osób dokonczyli mozolną pracę wujka Władka.

21 sierpnia, wtorek

Imianiny Leanida, Mirona, Ryhora, Kazimiry

W poniedziałek zrobiłem pierwszą wyprawę rowerową po okolicy. Wpierw pojechałem do bliższej Dowgiałowszczyzny i odwiedziłem Olę Grażyńską. Dałem jej zdjęcia z pogrzebu córki. Wysłałem je też wcześniej z Poznania, ale chciałem, żeby miała podwójne. Będzie mogła niektóre z nich przekazać rodzinie. Na końcu wioski skręciłem w polną drogę prowadzącą do lasu Ściana. Tutaj w pobliżu była susznia Inu, opisana w mojej poprzedniej podróży. W Borowikach nie uzyskałem żadnych nowych informacji o krewnych Crisa Szluchy. Brat jego dziadka, Antoni, zmarł przed wojną. Jego dzieci też nie żyły, a o wnukach trudno było się cokolwiek dowiedzieć. Borowiki, tak jak wiele wiosek na Grodzieńszczyźnie, znacznie się wyludniły. Młodszy dawno wyjechali do miast, starszych osób zostało niewiele i trudno było się kogoś spytać o dawne lata, miniony czas. Ale miałem jeszcze jeden ślad rodziny Chrisa prowadzący do Chilewicz. Sprawdziłem go, gdy parę dni później pojechałem tam odwiedzić wujka Wacka. Wskoczyłem na siodło i ruszyłem dalej do przodu, do Czechowców.

To niewielka wieś leżąca trzy kilometry za Borowikami. Jedyne ulica w Czechowcach została wybrukowana z rzadka polnymi kamieniami jeszcze za polskich czasów. W tej wsi w latach 1936-1939 mieszkała i pracowała Zosia Dubicka. Jako jedyna nauczycielka prowadziła cztero-klasową placówkę należącą do Macierzy Szkolnej. Do tej szkoły chodzili dzieci z Czechowców, Borowik i Nackowicz. Wszystkie te wioski leżały wzdłuż Gawii przy drodze z Sobotnik do Lipniszek.

Tuż za Czechowcami znajdował się majątek Pogawja, który przed 1939 rokiem należał do Achmatowiczów. Od roku 1866 Pogawja była własnością rodziny Tabeńskich, z której to Alina Tabeńska wniosła ją w posagu ślubnym wychodząc za mąż za Konstantego Achmatowicza. Kilka lat przed rozpoczęciem drugiej wojny światowej, Pogawja została oddana w dzierżawę Wacławowi Stasiewiczowi, wójtowi sobotnickiej gminy. Majątek wówczas liczył około dwustu trzydziestu hektarów, z czego ponad sto trzydzieści hektary to były grunty orne. Łąki zajmowały osiemnaście hektarów, wygon dla bydła około trzech hektarów, las sosnowy obejmował pięćdziesiąt hektarów, brzozywie niecałe siedem arów, grunt pod dworek miał prawie dwa i pół hektara, zaś nieużytki wyliczono na ponad pięć hektarów.

Na końcu Czechowców mieszkał Staś Miksza, który oprowadził mnie po miejscu, gdzie była Pogawja. Piszę była, bo tam gdzie stał drewniany dworek rósł bez, a z budynków gospodarczych pozostała jedynie kamienna, mocno zagłębiona w ziemi lodownia. Staś pamiętał, jak na początku lat pięćdziesiątych w dobrym jeszcze stanie były: dworek, gumno, stodoła, świrni¹²¹ i domki parobków. Pamiętał, gdzie w kierunku Gawii leżała tak zwana pańska pasza. W roku 1953 rozpoczęto organizowanie kolchozu w Czechowcach i prawie wszystkie budynki majątku rozebrano.

Nazwa Pogawja jednak pozostała w pamięci starszych osób z okolicznych wiosek, którzy po wojnie chodzili do szkoły mieszczącej się w niedawnym jeszcze dworcu. Pożegnałem się ze Stasiem i ruszyłem do kolejnej najbliższej wsi, Nackowicz.

To rodzinna wioska mojej kochanej i nieznannej babci Wiktorii Raksy, żony dziadka Jana. Jej rodzicami byli Emilian i Kazimiera z Bohuszewiczów. Kazimiera pochodziła z Sobotnik, a jej rodzinę w miasteczku nazywano Arojbowyje. Babcia Wiktoria miała trzech braci: Józefa, Stanisława i Wiktora. Staś był sołtysem w Nackowiczach podczas niemieckiej okupacji. Po wojnie został za to skazany przez Sowieców na więzienie, w którym zmarł. Józek został zabrany w łapance do idącej od wschodu II Armii Wojska Polskiego. Zdezerterował ze swojej jednostki, za co został rozstrzelany. Wiktor na jednej z wioskowych zabaw uczestniczył w bijatyce i wkrótce zmarł. Był kawalerem, więc został pochowany ze ślubnym białym kwiatem przypiętym do marynarki. Ci chłopcy z Nackowicz bardzo podobali się dziewczynom i mieli u nich duże powodzenie. Kiedy dzieci były jeszcze małe zmarła im mama Kazimiera. Emilian powtórnie ożenił się, tym razem z Emilią Łatwisówną z Czechowców, z którą miał dwoje dzieci, Lonię i Stefana. To tutaj, do dziadka Emiliana i już drugiej babci Emilli, przychodziły z kolonii mama z Zosią na pyszną wereszczakę i gryczane grube bliny. Chciałem się zobaczyć z Lonią i Stefanem, którzy nadal mieszkali w Nackowiczach, ale ich nie zastałem.

Zawróciłem rower i pojechałem prosto do Sobotnik. Przy kościele skręciłem na plebanię, aby odwiedzić proboszcza ojca Franciszka Gałdysia. Ostatnio nie było go w miasteczku ponad miesiąc. Pojechał do Detroit do parafii założonej i prowadzonej przez chrystusowców, aby zastąpić na czas urlopu tamtejszego proboszcza. Z ojcem Franciszkiem porozmawialiśmy o bieżących sprawach, jakie się wokół kościoła ostatnio działy: o malowaniu dachu świątyni przez litewskich specjalistów, o siostrach zakonnych potrzebnych do nauczania dzieci religii, o drewnianym budynku ambulatorium, przedwojennej aptece Czejdów, na której obmurowanie cegłą złożyli się parafianie. Ambulatorium zostanie przeniesione w inne miejsce. Co się stanie z budynkiem, co z wkładem, jaki ludzie ofiarowali na jego remont? Nie wiadomo. Porozmawialiśmy o zdrowiu, które już nie jest takie jak kiedyś i trzeba będzie pomyśleć o zastąpieniu ojca Franciszka przez kogoś młodego. Może przez Sergiusza Angura z Iwia, który niedawno ukończył seminarium chrystusowców w Poznaniu i był na praktyce w szczecińskiej parafii? Ale jeszcze nie teraz i nie za rok czy dwa.

Z plebanii udałem się na cmentarz. Zatrzymałem się na moście na Gawii, aby jak zawsze popatrzeć na rzekę z jednej i z drugiej strony. Przyglądałem się jej pofalowanej wstędze sięgającej aż po horyzont. Szukałem rzeki wzrokiem, kiedy chowała się za kępy drzew lub osłaniał ją brzeg. Opuściłem głowę i spojrzałem w dół, a Gawia pode mną płynęła i płynęła.

Krzysztof Groszyk powiedział mi kiedyś, że nasz cmentarz ma swój urok i jest trochę podobny do wileńskiej Rossy ze względu na pofalowany teren. Rosną na nim sosny i świerki, a w ich dziuplach mieszkają dzięcioły czarne, czerwone oraz sowy puchacze. Groby są otoczone metalowymi ogrodzeniami, co utrudnia poruszanie się między nimi i utrzymywanie porządku, ale taka kiedyś była tradycja pochówku. Kiedy jesteśmy na cmentarzu to przede wszystkim odwiedzamy groby naszych krewnych, czasami przyjaciół i znajomych. Warto też się przyjrzeć innym grobom, przeczytać wykute na pomnikach napisy i chociaż przez chwilę zastanowić się nad życiem i przemijaniem, i nad historią.

Wpierw pomodliłem się przy grobach dziadków Wiktorii i Jana Kononowiczów, prababci Michaliny i siostry dziadka, Jadwigi. Następnie poszedłem do dziadków Bronisława i Marii Niechwiadowiczów i stryja Albina. Po drodze zaglądałem do różnych zakątków cmentarza. Odczytywałem napisy zrobione czasami niesprawną ręką i z błędami ortograficznymi, ale mówiące o miłości i pamięci, o życiu i śmierci, o wierze.

Tu spoczywają zwłoki
śp. Jana Żulpy żył lat 60 umarł 1865 r.
syn Dominik żył lat 51 umarł 1964 r. i cała familia
Proszą o trzy anielskie pozdrowienia
Tę pamiątkę postawił Jan Żulpa

Tu spoczywa najukochańszy synku i braciszku
Czesław Mogielnicki
Żył 21 rok. Zmarł śmiercią tragiczną 28.04.1979 r.
Pokój jego duszy
Pamiątka od rodziców i siostrów

Jan Kmita
Zmarł 9.02.1869 r. w wieku 20 lat
Dominik Kmita
Zmarł 15.04.1896 r. w wieku 68 lat
Proszą o trzy Zdrowaś Maryja

Tu spoczywają Piotr Mackiewicz i Stało Emilia
Proszę zmówić trzy Zdrowaś Maryja.
Te pamiątkę stawi syn Józef 1874 r.

Boguszewicz Augustyn
zmarł w 1920 w wieku 60 lat
żona Anna zmarła 1938 w wieku lat 84
Pamiońka od rodziny
Pokój ich duszy
Curka Józefa zm. 1961 r. w wieku lat 70
syn Michał zm. roku 1941 w wieku lat 45

Kuprel Leonard
ur. 7.04.1908 r., zm. 5.11.1989 r.
Jego żona Kuprel Felicja
ur. 15.01.1906 r., zm. 28.10.1980
Kochanej mamusi i żonie od dzieci i męża. Pokój jej duszy
Kochanemu tatusiowi od córki, męża i wnuków. Pokój jego duszy

Niechwiadowicz Emilia córka Anufrija,
ur. 13.06.1913 r., zm. 10.01.1983 r.
Ot curki, ziencia i wnuków Gorbikowych
Śp. Anna Hryniukowa z domu Adamukajtis
Przeżywszy lat 53 zmarła dnia 4.06.1936 r.

Kropa Konstanty
zginął śmiercią tragiczną
21.11.1940 r. Żył 47 lat

Helena Grybowska
zabita 24.11.41, lat 27
Stanisław Adamowicz

zabity 30.03.1942, lat 57

Hulecki Władysław
zabity 30.03.1942, 32 lata

Tu spoczywają zwłoki
św. p. ks. Józefata Korkucia
proboszcza sobotnickiego
zm. 5 lipca 1881 roku w wieku 47 lat
Wieczny pokój jego duszy

Adolfa z Wołków Gan
Zm. 1 kwietnia 1889 roku, żyła 58 lat
Pokój jej duszy
Św. P. dziadkom i pradziadkom
Agacie i Kazimierzowi Samokarom
ze wsi Korkinięta
wnuk Albin, prawnuk Zbigniew

Tu spoczywają zwłoki
św.p. ks. Pawła Bagińskiego
Proboszcza sobotnickiego, żył 82 lata
Zm. 24.03.1962 r
Przepracował w sobotnickiej parafii 30 lat
Pomódlcie się za mnie

Na cmentarzu spotkałem Tadeusza Aniśkiewicza, którego rodzinę nazywano w miasteczku Hirudzi. Jestem z nim spokrewniony ze strony mamy mojego taty, babci Marii z domu Aniśkiewicz. Tadeusz miał siedemdziesiąt cztery lata i mieszkał w Moskwie. Do Sobotnik przyjechał odwiedzić groby rodziców i przy okazji spotkać się z Józefem Rusakiewiczem. Chodzili razem do jednej klasy i byli pierwszym rocznikiem, który w roku 1955 ukończył sobotnicką szkołę średnią. Tadeusz zrobił karierę w Moskwie osiągając wysokie stanowiska w ministerstwie odpowiedzialnym za kolejnictwo. Nadal pracował i był dyrektorem generalnym firmy, która sprowadzała do Rosji specjalistyczne wagony do kontroli dróg kolejowych. Józik przyjechał do Sobotnik na zaledwie dwa dni i musiał wracać do tej swojej Mejszagoły. Nie spotkaliśmy się, chociaż byliśmy tak blisko siebie. Budynek szkoły, którą ukończyli Józik i Tadzik to był jeszcze ten przedwojenny, drewniany. Nowa murowana szkoła w Sobotnikach, w której kontynuuje się około stu czterdziestoletnią tradycję nauczania w naszym miasteczku, została otwarta w roku 1959.

Kiedy skończyła się wojna, trzeba było też pomyśleć o wznowieniu edukacji szkolnej dzieci i młodzieży, wspominał Józik. Panował jeszcze wtedy pewien chaos polityczny i był to czas wielkich przemian i niepewności. Dlatego też nikt z władz rejonu nie stawiał rozpoczęcia pierwszego powojennego roku szkolnego na głównym miejscu. Nikt nie myślał o tym, że wielu chłopców i dziewcząt stało się przeroskami, i że dla nich był już najwyższy czas pójścia do szkoły. Zresztą tak naprawdę to nie wiadomo, kiedy dzieci mają pójść do tej szkoły. Jej budynek był zawalony sianem i słomą. W czasie wojny mieścił się w nim oddział niemieckich żołnierzy, a całą szkołę otoczono wałem ziemno-drewnym. Nie było nauczycieli, podręczników, map, obsadek i stałówek, atramentu, kredy i tablic.

Wówczas pojawiła się Irena Łukjanówna Tołkacziowa z córką Zosią i synem Jurkiem. Pani Irena umiała cudownie mówić i pisać po polsku. Znała również doskonale języki białoruski i rosyjski. Ona to pierwsza podjęła się nauczania w Sobotnikach w jakże trudnych warunkach, także

materialnych dla niej i jej dzieci. Za swoją pracę nie otrzymywała wynagrodzenia i nie miała w miasteczku żadnej rodziny, która mogłaby ją wspomagać. Dlatego uczniowie przynosili jej to, co kto mógł: jajka, mleko, chleb, mąkę, ziemniaki, ser oraz inne produkty. Podobnie było z ubraniem. Irena Łukjanówna była prawdziwą wolontariuszką z naszych czasów i trochę Stasią Bzowską z „Siłaczki” Stefana Żeromskiego¹²².

Pierwsi i nieformalni jeszcze uczniowie chodzili na zajęcia w kratkę. Uczyli się z gazet, czasopism i książek, kto jakie miał w domu, a język nauczania nie grał żadnej roli. Nie było żadnych klas i zewnętrznej kontroli. Dzieci pisały sokiem z czerwonych buraków, a obsadki robiły z gęsich piór, tak jak dawniej. Tylko Józik, jego trzech kolegów i kilka dziewczynek mieli prawdziwe ołówki подарowane im przez oficera Armii Krajowej. Otrzymali je za pomoc przy odlewaniu orzełków do żołnierskich czapek.

Było to już po przejściu frontu, który przesunął się gdzieś pod Warszawę. W najbliższej okolicy Dowgiałowszczyzny leżało sporo różnych pocisków-niewypałów. Starsi koledzy Józika zbierali je, rozkręcali i wrzucali do ogniska powodując wybuchy. Chociaż im akurat nic się nie stało, to w Sobotnikach w podobnych przypadkach śmierć poniosło kilku chłopców. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale za tytoń udało się chłopakom kupić kilka sztuk broni od sowieckich żołnierzy. W kuźni w Dowgiałowszczyźnie zrobili z nich obrezy¹²³ i nocami bawili się w prawdziwe wojsko i w strzelanie. Później w tej samej kuźni robiono różne samopały, a zabawa nimi o mało nie skończyła się tragicznie. Ktoś z dorosłych spoza terenu naszej gminy dowiedział się o odważnych, chociaż niebezpiecznych wyczynach dzieci. Odnalazł je i zaproponował im udział w pewnym ważnym i także niebezpiecznym przedsięwzięciu. Pokierował nimi, powiedział, co i jak mają robić. A oni, może znudzeni już swoją zabawą w wojnę, z chęcią zgodzili się na nowe działanie.

Dla Armii Krajowej były potrzebne orzełki z koroną, przypinane do czapek. Co prawda były już orzełki, jakie nosili polscy żołnierze I i II Armii, ale nie miały one korony i wyglądały jak kury. Tak też je kurami nazywano i nie lubiano ich. Na tajną odlewnię orzełków wybrano karier¹²⁴ znajdujący się za lasem między Dowgiałowszczyzną a majątkiem Łyntupka. Idealne miejsce, zaciszne i na uboczu. Pod ręką było drzewo i pełno suchych korzeni. W okolicznych lasach leżały wraki niemieckich i sowieckich samolotów. W Wasilewiczach spadł nowy samolot myśliwski Jak, więc aluminium było pod dostatkiem. Młodzi hutnicy wprawdzie odlewali z niego miski, kubki, łyżki, widelce, a później wojskowe orzełki. Mieli trzy różnej wielkości aparaty do odlewania, podobne do szpakówek, wypełnione drobnym piaskiem. Na piasek kładziono oryginalnego orła, z wierzchu całość trambowano¹²⁵ i powstawał jego odcisk. Następnie do utworzonej formy wlewano ciekły metal. Po ostygnięciu orzełka oczyszczano go pilnikiem i robiono w nim dwie dziurki do przysycia. W ten sposób dziennie wytwarzano od pięćdziesięciu do stu orzełków. Józik, jego trzech kolegów i kilka dziewczynek byli najmłodszymi z całego dziecięcego cechu. Ich nie dopuszczano do odlewania, powierzając zadanie oczyszczania orzełków. Józik zapamiętał, jak na zakończenie całej akcji pojawił się w odlewni oficer AK i każdemu z najmniejszych dzieci подарował po ołówku. Nie widzieli jeszcze takich nienaostrzonych ołówków i otrzymanych od oficera. Była to dla nich największa nagroda w wojennym czasie.

Kilkadziesiąt lat później Józik oglądał te orzełki w szkolnych muzeach na Litwie i w Polsce. Stał przed oszklonymi gablotami i z nostalgią patrzył na znajome eksponaty. W pamięci przed oczami pojawiała mu się cała odlewnia. Na jej tle stały zakurzone, brudne i bose, ale zadowolone i uśmiechnięte dzieci z nienaostrzonymi ołówkami w dłoniach.

Dopiero w oficjalnym roku szkolnym 1947/1948 zostały utworzone pierwsze klasy, a dokonała tego również Irena Łukjanówna. W dniu 1 września 1947 roku Józik nie mógł przyjść do szkoły. Zjawił się nazajutrz i pani Irena poddała go egzaminowi z czytania, pisania i rachowania. Na-

stepnie ogłosiła mu, że od tego dnia jest uczniem trzeciej klasy sobotnickiej szkoły. Józik wspominał, że już wówczas w szkole oprócz pani Ireny pracowało kilku dobrych nauczycieli. Dyrektorem była Zoja Bronisławowna Charytonowicz, z punktu widzenia uczniów wielka komunistka i bolszewiczka. Bardzo dobrym nauczycielem matematyki był pan Darnicki, który z żoną mieszkał w szkole. Wkrótce przysłano do Sobotnik dwie młode i bardzo sympatyczne nauczycielki. Aleksandra Grigorjewna Jadzewicz wykładała język i literaturę białoruską. Wyszła później za mąż za miejscowego kawalera z Mażul. Lidia Dmitrjewna Gierasimowicz nauczała języka i literatury rosyjskiej oraz zastępowała dyrektora szkoły. Była tak bardzo wymagająca, że uczniowie się jej bali. Ale miała też duże poczucie sprawiedliwości, dlatego ogólnie poważano ją i lubiano. Znalazła sobie za męża solidnego chłopca o nazwisku Cet i osiedliła się z nim na stałe w centrum miasteczka. Wychowanie fizyczne prowadził Borowikow.

Następnie przyszedł nowy białorusista Aleksander Drabyszewski. Był w średnim wieku, łysowaty i bardzo lubił żartować. Kiedy Zoja Charytonowicz została dyrektorką szkoły w Żemłosławiu, na jej miejsce przyszedł Aleksander Gonczenko. Był to wysoki czarnowłosej Ukrainiec, emerytowany wojskowy i kierownik oświaty obwodu brzeskiego, a następnie rejonu iwiejskiego, komunistą. Jako dyrektor szkoły wiele wymagał, ale nigdy nie podnosił głosu na uczniów, nawet jak mocno narozrabiali. Bardzo lubił sport i zawsze kibicował szkolnym drużynom na występach sportowych w rejonie. Dyrektor Gonczenko był też głównym ideologiem partyjnym całego miasteczka i wszystkich gminnych organizacji.

W pamięci Józika trwale też pozostała jego wychowawczyni pani Halina Nieczaj, która pochodziła gdzieś spod Nowogródka. Bardzo podobała się uczniom, a w swym wyglądzie niewiele różniła się od dziewcząt z najstarszej klasy. Pani Halina dawała wszystkim chłopcom mocno przypalenia, czyli była wobec nich bardzo wymagająca, bez żadnej taryfy ulgowej.

Podeszła raz do Zdziśka Biblisa z Dowgiałowszczyzny, który był na bakier z nauką, położyła mu rękę na ramię, spojrzała w oczy i życzliwie powiedziała:

- Wuczysia synoczek, czelawiekam budziesz.

Podskoczył Zdzisiek na równe nogi i do swojej wychowawczyni, która sięgała mu głową za ledwie do brody, jak do matki powiedział:

- Moja najdroższa i kochana mamuska, od dnia dzisiejszego naprawdę będę się uczyć.

Zdziśkowi wcześniej umarła mama, dlatego często przebywał u rodziny Józika i zostawał u niej na noc. Razem z Józikiem uczyli się i bawili, i byli serdecznymi przyjaciółmi. Wspólnie też odebrali lekcję wychowania patriotycznego.

Było to pewnego marcowego dnia w czwartym roku wojny. Józik i Zdzisiek mieli po siedem lat i jak to często w tym czasie i wieku było, bawili się w wojnę. W domu Józika odgrywali sceny jako żołnierze polscy, niemieccy i sowieccy. Ojciec Józika przy rozpalonym piecyku naprawiał swoje zimowe buty. Chłopcy w rękawy koszul włożyli młotki będące niby pistoletami i zaczęli do siebie krzyczeć.

- Ejsz ty kacap! W błocie ciebie zaduszę! - zawołał Zdzisiek udając polskiego oficera.

- Ech ty suka, palackaja morda, da papadiosz ty w moi ruki! - jeszcze głośniej odpowiedział Józik w roli sowieckiego lejtnanta.

I tak kilka razy jeden do drugiego, coraz głośniej i z coraz większym zacietrzewieniem. Ojciec Józika odwrócił się i długo spoglądał na chłopców. O czymś widocznie konkretnym pomyślał, bo w pewnej chwili wstał, poszedł do kuchni i wrócił z szerokim kręconym pasem niemieckim. Chwył Józika za rękę i tak dał, że chłopiec nie wykrzyknął ani słowa. Następnie Emilian Rusakiewicz wyciągnął zza szafy Zdziśka i też mu tak dał, że jego mama Bronisława i Józefa mama Józika, przez trzy dni chłodne kompresy chłopcom na pewne miejsce łożyły.

Kiedy o całym zajściu dowiedział się Bronisław Biblis, ojciec Zdziśka, przyszedł do domu

Rusakiewiczów i tak powiedział:

- Panie Emilianie, bardzo w czas pan to zrobił. Może drugi raz nie przyjdzie się nam wyjaśniać, co to jest pałacowa mordka.

Z dawnych powojennych pedagogów mieszkał w Sobotnikach historyk Stefan Igantjewicz Murawiov. Mimo podeszłego wieku miał jeszcze dobrą pamięć i siły do gospodarzenia w niewielkim gospodarstwie przydomowym.

22 sierpnia, środa

Imianiny Aliaksieja, Macwieja

Po Macieju chłop na polu nie poci się.

Zakończyły się główne prace letnie. Kolejne dni przynosiły pierwsze oznaki jesiennego ochłodzenia. W drugą wyprawę rowerową wybrałem się do Chilewicz, położonych sześć kilometrów od Sobotnik. Z Chilewicz pochodził mój dziadek Bronisław Niechwiadowicz i jego ojciec Franciszek, i jego ojca ojciec Józef, i dziadek jego ojca też Józef, i tak dalej. Dziadek Bronisław przyjechał w prymy do Sobotnik i ożenił się z Marysią Aniśkiewicz. W naszej rodowej wiosce mieszkał kuzyn mojego taty, Wacek Niechwiadowicz zwany Cygan. Jego ojciec Augustyn i mój dziadek Bronisław byli rodzonymi braćmi. Był jeszcze jeden brat Józef i trzy siostry: Bronisława, Helena i Jadwiga. Józef też pozostał na ojcowiznie, a dziewczyny wyszły za mężów do innych wiosek naszej gminy. Córka Bronisławy, Józefa, podobnie jak my wyjechała do Polski.

Wstałem wczesnie rano, chociaż z kolonii do Chilewicz było tylko osiem kilometrów. Ja podczas wycieczek rowerowych na ajczyźnie bardzo lubię często się zatrzymywać, przyglądać krajobrazowi i różnym przyrodniczo ciekawym miejscom. Odstawiam wtedy rower, aby na chwilę wejść do lasu, nachylić się nad kwiatami rosnącymi na łące, zanurzyć stopy w napotkanym strumieniu.

Poranna trawa skąpana była w rosie. Po kilku krokach wsiadłem na rower i zostawiłem za sobą dom dziadka Jana. Dróżką przez las, który w ciągu tych kilku dziesiątków lat zakrył domy na kolonii, dojechałem do pól. Jeszcze kawałek i już byłem na Łyntupskiej Drodze. Jechałem otwartą przestrzenią, która ukazywała przede mną serdeczne krajobrazy. Po lewej stronie za horyzontem była Litwa. Blisko, w zasięgu wzroku, miałem dolinę Matruny, przykrytą delikatną mleczną mgłą.

Wzdłuż tej krynicznej rzeczki ciągnęła się sobotnicka kolonia z zachodniej strony miasteczka. Stała tam pusta chata dziadków Niechwiadowiczów. W latach 1938-1939 w ramach rządowej reformy rolnej scalania gruntów, ten dom i budynki gospodarcze zostały przeniesione na kolonię z ulicy Wileńskiej w Sobotnikach. To był dom, w którym mieszkali dziadkowie ze swoimi dziećmi: Stasiem, Janką, Czesiem i Albinem. W tym domu po ślubie zamieszkali moi rodzice, a ja przeżyłem w nim pierwsze dziesięć miesięcy życia do czasu wyjazdu do Polski. Kiedy w 1966 roku zmarł dziadek Bronisław, babcia Marysia przez krótki czas mieszkała sama. Następnie przeprowadziła się do córki Janiny do Ślesar, a chata została sprzedana starszemu małżeństwu Rakowiczów z Kudejsz. Oni już też poumierali, a dom pozostał pusty.

Zajeżdżam tam czasami rowerem. Zaglądam do wnętrza chaty przez zabrudzone szyby okien, wpatruję się w puste dno wąskiej studni, dotykam zdziczałych grusz. Stary drewniany dom wygląda na mniejszy niż go pamiętam z dziecięcych lat. Jakby się obniżył, żeby mocniej objąć swoją ziemię i zostać z nią złączony na wieczność. Jakby za nic w świecie nie chciał być rozebrany, przeniesiony w inne miejsce, może zniszczony. Jakby chciał zatrzymać w swoim wnętrzu nieuchwytnie ślady naszej w nim bytności, które wraz z otwarciem drzwi przez nieproszonych gości uleciały gdzieś w niebo i nic już nie pozostanie, ani pamięci, ani domu.

Często obserwowałem letnie zachody słońca na naszej ziemi. Ciepłe promienie wysyłane z pomarańczowej kuli, która stopniowo chowała się za horyzontem dodając ludzkim postaciom długie cienie ich sobowtórów. Kiedy słońce układało się do snu czasami myślałem o tym, że jednocześnie gdzieś tam, na innych łąkach i w innych krajach, wstawał radosny i świetlisty poranek.

Jadąc do Sobotnik rowerem wypatrywałem przed sobą tych pierwszych życiodajnych promieni. Ich pojawienie się dodało delikatnej różowej barwy mgłę w dolinie Matruny. Był to dla mnie tak niezwykły i baśniowy widok, że zatrzymałem się i zsiadłem z roweru. Chciałem zanurzyć się w tę różowość i przeniknąć do innego świata. Może byłby to zaczarowany świat duchów tej ziemi? Może ujrzałbym walecznych rycerzy Wielkiego Księstwa jak poją konie w czystej Gawii? A może dziadka Bronisława okadzającego ule, babcię Marysię siedzącą z bojką¹²⁶ do masła i siebie w krótkich spodenkach na szelkach, zapiętych z tyłu na krzyż? Ja wpatruję się w wodne oko studni i bawię się kołowrotem. Puszczam go, a rozpedzone wiadro nurkuje z pluskiem w ciemną czelusć i tam zostaje. Oj, dostanie mi się od dziadka. Westchnąłem na to wspomnienie i wsiadłem z powrotem na rower. Szybko przejechałem przez jeszcze ciche, ale już budzące się do nowego dnia miasteczko.

Za mostem na Gawii skręciłem w prawo na Iwie. Jechałem dobrą asfaltową drogą pośród sosnowego wysokiego lasu, przeplatanego rzadko świerkami. Minąłem ukryte za drzewami niewielkie wioski Mażule i Mażule Szlacheckie. Następnie były Wasilewice, tuż za nimi most na bystrej, czystej i rybnej Jakuńce wpadającej do Gawii, i po chwili pojawiła się nazwa Chilewice. Przed wioską, tak jak przed wieloma innymi, wznosił swoje ramiona drewniany krzyż. Za nim stał nieczynny od wielu lat niewielki, murowany budynek miejscowego sklepu. Wjechałem na wybrukowaną podobnie jak w Czechowcach ulicę. Drewniane domy w Chilewiczach stały do ulicy krótszym bokiem, a na wielu z nich przybite były krzyże. Wujek mieszkał prawie na końcu wioski w domu, w którym przed wojną wynajmowała pokój Janina Kiroł. Pani Janka była jedyną nauczycielką w chilewickiej czteroklasowej publicznej szkole. Uczęszczały do niej także dzieci z Wasilewicz, Wodoli i Jakuńki.

Wujek Wacek zawodowo pracował na stanowisku kowala i ślusarza. Chociaż od dobrych paru lat był na emeryturze, to w swojej kuźni i warsztacie czasami wykonywał drobne zlecenia. Jego żona Taisa pracowała jako nauczycielka w szkole początkowej w sąsiednich Wodolach. Mieli troje dorosłych już dzieci i wnuki. Czekali na przyjazd syn i córki w niedzielę i pomoc w kopaniu ziemniaków. Rozmawialiśmy trochę o naszej rodzinie Niechwiadowiczów, o życiu w Chilewiczach. We wsi mieszkało niewielu samych starych ludzi. Na całą wioskę przypadały tylko cztery krowy i jeden koń. To był wynik przemian, jakie w sposób naturalny rozpoczęły się dość dawno temu na grodzieńskiej wsi. Uważam, że w pozostałej części Białorusi jest podobnie, a w niektórych regionach nawet gorzej. Poruszyłem z wujkiem sprawę poszukiwań krewnych Crisa Szluchy. W Borowikach się nie udało, to może tutaj? Z Chilewicz pochodziła Magdalena Stanulewicz, matka ojca Crisa. Znowu przydały się spisy mieszkańców wioski, tym razem Chilewicz z roku 1901, z lat 1939-1940 i dobra pamięć wujka. Magdalena miała rodzeństwo, w tym siostrę Walerię. Waleria wyszła za mąż za Józefa Jurasza z Chilewicz. Mieli oni dwoje dzieci, z których córka Jadwiga mieszkała w miasteczku Łazduny iwiejskiego rejonu, dwadzieścia kilometrów od Sobotnik. I taką wiadomość, o żyjącej na Białorusi bliskiej cioci, przekazałem po powrocie do domu amerykańskiej gałęzi Szluchów.

Sąsiadem wujka był chłop, który umiał zamawiać różę. Róża to choroba bakteryjna skóry. Objawia się tym, że u chorego powstają obrzękowe zmiany skórne. W tych miejscach skóra jest wygładzona, napięta, lśniąca, nadmiernie ocieplona i zaczerwieniona. Są to zmiany bolesne powstające nagle. Towarzyszyć im może bardzo złe samopoczucie i wysoka temperatura u chorego. Starsi mieszkańcy wiosek Grodzieńszczyzny uważają, że na tę chorobę nie ma żadnego, szybkie-

go i skutecznego lekarstwa, i że lekarze są wobec róży bezradni. Pomocne jest tylko zamawianie choroby przez odpowiednią osobę. Można nauczyć się zamawiać różę i jeżeli w rodzinie jest kilkoro dzieci, to tylko pierwsze i ostatnie jest w stanie osiąść tą umiejętność.

Podobno od ukąszenia hadziny¹²⁷ też można zahawarywać¹²⁸ i potrafią to robić niektóre kobiety, jak na przykład Juchniewiczowa, żyjąca kiedyś w wiosce Narbuty naszej gminy.

Odnosnie ludowego leczenia róży znowu sięgnąłem do osobistych wspomnień Józika Ruskiewicza. W latach szkolnych ani on ani jego koledzy nie wierzyli w żadne ludowe leczenie. W żadne jakieś tam zamawianie, dziwne szeptanie nad chorą nogą lub ręką, nad chorym człowiekiem. Wierzyli tylko w sowieckich lekarzy. Józik dotąd nigdy nie chorował i ani razu nie był w szpitalu. Pewnego dnia zimą jeździł z chłopakami na łyżwach po zamrożonym stawie. Nagle lód się pod nim załamał i Józik po pas wpadł do wody i bardzo się przestraszył. Na szczęście było blisko brzegu, a koledzy pomogli mu wydostać się ze stawu i szybko dotrzeć do domu. Nazajutrz prawą nogę miał mocno opuchniętą, a nad kostką od stopy wyskoczył przezroczysty pęcherzyk wielkości wiśni. Noga zrobiła się czerwona i mocno bolała. Mama Józika poprosiła do chaty miejscową zamawiaczkę chorób, a ta spojrzawszy na spuchniętą nogę od razu powiedziała:

- On różę zruszył. Trzeba zamawiać.

- Nie! - zaoponował Józik.

- No to zawieźcie go do lekarza - powiedziała zamawiaczka, machnęła ręką i wyszła.

Nazajutrz wcześniej rano Józik wyszedł z chaty i poszedł po konne sanie, którymi chciał pojechać do szpitala w Sobotnikach. Jak go zobaczyli we wsi, to się wszyscy zdziwili:

- Ooo?! Chory, a sam poszedł?!

- U nas liczy się człowiek chorym, kiedy go do sań lub wozu wynoszon w kilka osób i bez pamięci jest. To już to chory, a kiedy poszedł sam, to zdrowy - wyjaśnił reakcję sąsiadów Józik.

W szpitalu popatrzeni na nogę, pomazali maścią ichtiolową, watą i merłą¹²⁹ opatrzyli i kazali wracać do domu. W połowie drogi Józik zatrzymał konia, zdjął bint¹³⁰ i zobaczył, że pęcherza już nie było. Nie było też w tym miejscu skóry, tylko rana wyglądająca jakby była oparzona wrzątkiem, a na niej maść ichtiolowa przykleiwszy się jak smoła. Do mieszkania Józik doskakał na jednej nodze. W nocy prawie nie spał, chora noga musiała być podjęta do góry, wtedy nie tak smaliło.

Rano powiedział mamie szeptem na ucho: - Wieczorem pójdziemy do Lutusichi. Ona też zamawia, ale lepiej, czym Banetczycha pomaga.

Wspominał dalej Józik.

- Lutusicha żyła z kilometr od nas, na kolonii sobotnickiej. Rozmawiała po polsku, mówili, że jest z Warszawy, ale nie to mnie ważne było, ale co będzie robić? Patrzyłem bardzo uważnie. Już przy lampie czymś chorą nogę pomazała, jakby oliwą z drobnymi listkami, i coś szeptała niewyraźnie. Może i jakąś modlitewkę. Powiedziała przyjechać poza jutro. Nie pojechali do niej, a ja poszedłem do szkoły. Poza jutro już biegłem pięć kilometrów na nartach w zawodach. Po nich znowu róża. I znowu pojechaliśmy do Lutusichi. Pomogło.

- Od tego zdarzenia minęło dwadzieścia pięć lat. Pracowałem jako nauczyciel w mejszagolskiej szkole średniej koło Wilna. Raptem zrobiło mi się z nogą to samo, co było przedtem. Pomyślałem sobie, że to już amen. Pani Lutusiowa dawno zmarła, a ja nikogo podobnego nie znałem. Ktoś mi wtedy podpowiedział, że pani Zubrycka z Wilna umie zamawiać różę. Kupiłem tojesioje, zamrużyłem¹³¹ się i poszedłem. Pomyślałem sobie tylko, że jak dowiedzą się o tym w szkole, to zakluwają¹³². Zaszedłem do pani Zubryckiej, a ona uśmiechnęła się jak dobra znajoma i powiedziała:

- To co? I pan Józef nie wieczny?

- Wychodzi że tak, pani szanowna.

Ona dodała, że „nie gwarantuje, komu pomaga, a komu nie”. Mnie i na ten raz pomogło. Niestety, już ona dawno nie żyje. Wieczny jej pokój za dobre uczynki dla ludzi.

Osoba pani Lutusiowej nie była mi obca. Była żoną Leona Anuszka zwanego Lutusiem, dlatego nazywali ją Lutusicha. Mieszkali w niewielkiej chacie przy Łyntupskiej Drodze, a ich pole graniczyło z polem dziadka Jana. Mieli kamienną, bardzo, bardzo głęboką studnię. Tej pamiętnej mroźnej nocy 12 marca 1946 roku, Lutuś i babcia Wiktoria wracali z miasteczka do swoich domów. Wracali w bardzo dobrych nastrojach. Mieli przy sobie wszystkie potrzebne dokumenty związane z wyjazdem na stałe do Polski. Byli już blisko chaty Lutusia, kiedy dosięgły ich bandyckie, sowieckie kule. Babcia Wiktoria była w zaawansowanym stanie błogosławionym.

Zapytałem wujka o majątek Jakuń Dmochowskich. Trochę go pamiętał z dziecięcych lat. W majątku był młyn, cztery stawy, drewniany dworek, zabudowania gospodarcze z mieszkaniami dla parobków. Nic z tego nie pozostało. Z powrotem do Sobotnik chciałem jechać przez Wasilewice. Wujek odprowadził mnie na skraj Chilewicz i pokazał krótszą polną drogę do bliskiej i widocznej wioski.

- A tam dalej jest Zalesie, a w prawo Narbuty - powiedział pokazując na horyzont i błyszczące w słońcu kreski dachów. - Tu, widzisz, zaraz przed nami są Kisle, a tam dalej za lasem był majątek Jakuń.

Odjeżdżałem, ale wiedziałem, że się jeszcze zobaczymy w niedzielę. Przypadkowo spotkałem też wujka w Sobotnikach w innym dniu, kiedy z kolegą przyjechał dwukołową konną bryczką.

W Wasilewiczach chciałem odwiedzić Stasia Kuleszę rocznik 1924. Kilka lat temu byłem u niego i jego żony, Gieni z domu Chatkiewicz rodem z Szarkuć. Staś grywał na skrzypcach na weselach, wieczorynkach i różnych uroczystościach, i był dobrym kolegą mojego taty. Zawsze będę pamiętał, jak mi zagrał z błyszczącymi oczami „Jeszcze Polska nie zginęła (...)”. Niedawno zmarła mu żona, a i jego stan zdrowia się pogorszył. Dobrze, że w Wasilewiczach mieszkała siostra żony i często z pomocą ojcu przyjeżdżał syn Janek z Mińska.

Pan Stanisław przechadzał się po przydomowych sotkach, na których szwagierka wykopywała ziemniaki. Z pewną trudnością mnie rozpoznał i przypomniał sobie mojego tatę. Kiedy już wiedział, kim jestem, od razu w rozmowie ze mną przeszedł na czysty język polski bez kresowego akcentu. Przed wojną ukończył sześć klas szkoły powszechnej w Sobotnikach.

Zosia Pietryman ukończyła tylko trzy klasy. Nie wiem ile, ale sadzę, że nie więcej polskiej edukacji otrzymały świętej pamięci Stasia Tuczkowska „Sobolanka”, Władzia Kwiatkowska „Palestynka”, Stasia Iwanowska, Anna Boguszewicz, Anna Suczewska oraz inni z roczników 1920-1930, z którymi bardzo przyjemnie rozmawiałem w języku polskim. A przecież, na co dzień w Sobotnikach i gminie mówiło się „po prostu”. Bardzo lubię prosty język, a do jego zrozumienia i nauki nie jest potrzebny żaden słownik czy też nauczyciel. Gdybym mógł przenieść do Poznania na przykład Annę Suczewską, i postawić ją pośród ludzi czekających w kolejce przed sklepem, nikt by nie spostrzegł, że mówi ona innym językiem, że zaciąga po kresowemu, że jest nietutejsza.

Tą nieskazitelną czystość w polskiej mowie bardzo rzadko spotykam na Grodzieńszczyźnie wśród Polaków urodzonych już po wojnie, mających nawet wyższe wykształcenie i wieloletnie kontakty z Polską i z polską kulturą. Waśnie w ich polskiej mowie są już obce naleciałości powstałe w sowieckich czasach. Po wojnie z pewnością spowodował to brak polskich szkół, brak inteligencji, dostępności do polskich książek, do polskiej kultury i nie używanie języka polskiego w domu rodzinnym. Jedyne miejsce, gdzie nasi rodacy mogli spotykać się z językiem ojczystym był kościół. A i to im się teraz odbiera!

Janek akurat odwiedził ojca z żoną i synem. Z Mińska te około sto pięćdziesiąt kilometrów drogi szybko przejechali samochodem. Trochę porozmawialiśmy o bieżących sprawach, o rodzi-

nie Janka w Polsce, o Mosarze koło Postaw w obwodzie witebskim, gdzie ks. Józef Bulko wybudował nowy i piękny kościół pw. św. Anny. Janek znał księdza i pokazał mi gazetę z artykułem o świątyni i jej zdjęciem. Powiedziałem mu o projektowanym na piątek niewielkim spływie Gawią do wysokości Wasilewicz i Czechowców.

- W piątek wieczorem znowu przyjadę z Mińska. Jak będziecie jeszcze na wodzie to zadzwonię, odwiozę was do Sobotnik - zaproponował.

Wymieniliśmy adresy i telefony, i pożegnaliśmy się do następnego, może również nieoczekiwanego spotkania. Janek serdecznie zapraszał mnie do siebie, jeżeli będę kiedyś w Mińsku.

Przed wjazdem do miasteczka jak zwykle zatrzymałem się na moście na Gawii, aby chociaż przez chwilę na nią popatrzeć. Usłyszałem delikatny odgłos końskich kopyt na asfalcie. Odwróciłem się i zobaczyłem konia biegnącego truchtem, który ciągnął wóz na gumowych kołach. Biegł lekko i swobodnie. Widać było, że sprawia mu to przyjemność. Na wozie siedziały dwie babcie i z ożywieniem o czymś rozmawiały. Wóz wjechał na most i wtedy podkowy zaczęły wystukiwać dźwięczniejszy rytm, jakby na przywitanie rzeki. Wsiadłem na rower i ruszyłem w kierunku kościoła.

Z ulicy Kościelnej na Wileńską skręcił konny wóz bez bocznych ścian. Ze spuszczonej nogami siedziała na nim bardzo młoda dziewczyna. W rękę trzymała lejce dając nimi koniowi delikatne znaki, którym był on posłuszny. Duży koń zaprzężony do wozu i powożąca nim młoda dziewczyna. A jeszcze młodsza, może sześć czy też siedmioletnia, pognęła konno na oklep ulicą Wileńską. Trzymała się tylko końskiej grzywy i pewnie kierowała zwierzęciem.

Jak dobrze, że na Białorusi zostało jeszcze tyle koni i furmanek. Tak jak od wieków nadal z pożytkiem służą ludziom. Można nimi zwieźć zebrane z pola ziemniaki, przywieźć kopiasty wóz siana, podjechać w kilka osób do miasteczka na zakupy, czy też do kościoła na niedzielną mszę św. A zimą zamiast do wozu, zaprzęga się konia do sań i to jest dopiero frajda!

Mocniej nacisnąłem pedały roweru. Było już późne popołudnie i nadeszła pora wracać do bazy na kolonię.

23 sierpnia, czwartek

Imianiny Laùrena, Pilipa

Na Laurena w południe przypatrywano się wodzie. Jeżeli jej toń była spokojna, to jesień miała być cicha, a zima bez zawieruchy.

Otrzymałem wiadomość, że zachorował ojciec Franciszek. Pojechałem na plebanię zobaczyć, co się stało. Rzeczywiście, był chory i leżał w łóżku. Krowa od sąsiadów weszła na teren plebanii i zaczęła zjadać smaczne buraki z ogrodu proboszcza. Nie było to pierwszy raz, więc kapłan zdenerwował się i zerwał biegiem, aby przegonić zwierzę. I wtedy poczuł olbrzymi ból w obu podudziach. Upadł na ziemię, na czworakach doczołgał się do plebanii i stamtąd zadzwonił po lekarza. Przyszedł doktor Matwiejczyk z z sobotnickiego szpitala i zaaplikował jakieś zastrzyki. W tym dniu miała też przyjść pielęgniarka z nową porcją zastrzyków. I jeszcze za parę dni miał przyjechać neurolog z Iwii, żeby zrobić dokładniejsze rozeznanie tego, co się stało. Ojciec Franciszek chciał być szybko postawiony na nogi i pojechać na leczenie do Polski. Oczywiście nie mógł podróżować sam. Przy mnie odebrał telefon od swojego brata z Kędzierzyna Koźle, który miał przyjechać do Sobotnik i razem mieli wrócić do kraju.

Codzienna białoruska gazeta „Gwiazda” z dnia 25 sierpnia podała, że średnia płaca brutto w kraju w miesiącu lipcu wyniosła 747 355 rubli, wówczas około 350 dolarów, i była wyższa od czerwcowej w wysokości 728 015 rubli. Kuzyn Janek zastanawiał się, kto w Sobotnikach może

mieć taką wysoką pensję pracując na jeden etat. Może dyrektor szkoły z wszelkimi premiami i nagrodami? Pensja wiejskiego nauczyciela jest niewystarczająca na utrzymanie rodziny i ponieśienia wszelkich kosztów mieszkania we własnym domu. Dlatego musi on prowadzić małe gospodarstwo rolne. Trzyma w nim krowę, świnie, kury, uprawia przydomowy ogród, sadi ziemiaki dla siebie i zwierzę, kosi trawę na siano. Ma dużo dodatkowej, ale koniecznej pracy.

W mieście pensje i emerytury są wyższe. Kuzyn Witek wyjątkowo zarobił w jednym miesiącu równowartość czterystu dolarów. Jego syn Władek, który od niedawna pracuje w firmie transportowej zajmującej się przewozem tirami, przyniósł raz do domu sześćset tysięcy rubli. Bardzo dużo jak na dwudziestoletniego chłopaka, ale w tej pensji były jakieś zaległe spłaty z poprzednich miesięcy.

Mimo to w Sobotnikach, Żemłostawiu, a jeszcze bardziej w Iwiu i Lidzie widać, że wielu ludziom dobrze się powodzi jak na warunki nie tylko białoruskie. Powszechna jest opinia udokumentowana wyjazdami obywateli Białorusi, że w ich kraju żyje się lepiej niż w Rosji i na Ukrainie, a nawet nie gorzej niż na Litwie. Lepsze są drogi, bardziej pracowici i przedsiębiorczy ludzie, stabilniejsza gospodarka. Trudno jest mi o tym dyskutować, przecież nie mieszkam tutaj na stałe. Sądzę jednak, że gdyby prezydent i rząd pozwolili na o wiele większą swobodę gospodarczą, a także inną, to Białoruś znacznie zbliżyłaby się do Polski i krajów Unii Europejskiej. Jednak taka swoboda na wielu płaszczyznach życia, niesie za sobą prędzej czy później konieczność podzielenia się władzą, a może nawet jej oddania. A któż sam z własnej dobrej woli oddaje słodki miód dla szczypty soli?

Akurat byłem poza miasteczkiem, kiedy wjechało do niego kilkanaście dużych samochodów wypełnionych ludźmi z psami z jednostek specjalnych. Jak mi później powiedziano, zdążyli oni w kierunku bliskiej granicy z Litwą. Gdzieś niedaleko, w Dziewieniszkach czy też w Solecznikach Małych, miał się odbyć duży koncert rockowy z udziałem także białoruskich zespołów. Władze obawiały się, że młodzież będzie nielegalnie przekraczać granicę z obydwu stron. A mogło też przyjść niektórym do głowy coś niezwykłego. Ale co, na przykład?

- Będzie wojna! - powiedziała mi z przekonaniem napotkana w miasteczku starsza kobieta.

24 sierpnia, piątek

Imianiny Maksima, Fiodara

Kiedy deszcz zaczął padać w południe, to długo nie przestanie.

Na dworze jest cicho, ale suche gałązki spadają z drzew - będzie deszcz.

Wróble chowają się pod strzechę - będzie burza.

Tego dnia z Saszą, synem kuzyna Janka, popłynęliśmy Gawią. Aleksander, zdrobniale Sasza, a w oficjalnej wersji i zgodnie ze swymi białoruskimi przekonaniem, Aleś, studiował filologię czeską na Uniwersytecie Wrocławskim. Do domu przyjechał na wakacje i dał się namówić swojemu polskiemu wujkowi na wodną wyprawę Gawią. Plastikowy kajak kupiony w poznańskim Praktikerze napompowaliśmy poprzedniego dnia wieczorem. Do podręcznej torby włożyliśmy kilka kanapek i wodę mineralną Darida o lekko słonym smaku. Chwyciliśmy kajak, wiosła i Antokolem, ulicą Młyńską, poszliśmy nad Gawię. Spływ rozpoczęliśmy z niewielkiej trawiastej plaży, pustej o poranku. Trochę dopompowaliśmy naszą łódkę i kiedy już mieliśmy podejść z nią do wody, zbliżyła się do nas konno dziewczyna, oczywiście bez siodła. Widocznie koń chciał się napić wody z rzeki, a ja miałem nadzieję na zrobienie ciekawego zdjęcia. Jednak zwierzę trochę się spłoszyło naszą obecnością, bo zrezygnowało z ugaskania pragnienia i smukła amazonka odjechała stępa.

W końcu popłynęliśmy. Początkowo nie mogliśmy skoordynować naszych ruchów wiosłami.

Zahaczaliśmy jedno o drugie, opryskiwaliśmy się wodą, ale później było już lepiej. Inną rzeczą, która utrudniała nam płynięcie był nasz kajak, bardzo lekki i miękki. Nie miał on takiej masy jak kajaki drewniane czy też wykonane z tworzywa sztucznego. Musieliśmy mocno wiosłować, aby płynąć prosto i utrzymywać się w nurcie rzeki. Kiedy przestawaliśmy to robić traciliśmy na szybkości i Gawia kierowała kajakiem według swojego uznania. Na naszej wodnej drodze spotykaliśmy przeszkody w postaci powalonych drzew i wtedy musieliśmy bardzo uważać, aby się nie zaplątać w gałęziach, nie przedziurawić łódki i nie nadziać się na obłamany i ostry konar.

Trasa do Borowik była mi już znajoma. Wysoki lewy brzeg Gawii niedaleko cmentarza, na którym sosny trzymały się ziemi tylko połową korzeni, podczas gdy druga ich część unosząca się w powietrzu, tworzyła artystyczny ażurowy splot. Szerokie zakole rzeki przy szpitalu i prawie wszędzie widoczne dno. Co jakiś czas badaliśmy wiosłem głębokość wody i wszędzie mieliśmy grunt. Nie oznaczało to, że na Gawii nie było miejsc głębszych i wielkich jam. Woda w nich miała barwę ciemnognatową, miejscami prawie czarną. W głównym nurcie rzeki dominowały zieleń, a na płycznach widać było złoto piasku. Tę niesamowitą urodę Gawii malowało słońce, które w swej dziennej wędrówce po niebie oświetlało ją pod różnymi kątami.

Nagle przed nami poderwała się z wody kaczka rodzina. To już nie były ledwo opierzone maluchy jak poprzednio, ale podrostki fruujące za swoją mamą. Na kolejnym zakolu omal nie wpłynęliśmy w stado borowickich krów. Stały w wodzie i zdziwione naszym widokiem przekrzywiały na bok głowy. Były rasy czerwonej w białe łaty, a rogi miały wygięte jak tatarskie łuki. Nie widziałem takich w Sobotnikach. Położenie Borowik blisko rzeki zachęciło mieszkańców wioski do hodowania gęsi. Spotkaliśmy dwa takie stadka w tym jedno liczące ze dwadzieścia sztuk. To właśnie gdzieś tutaj poprzednim razem widziałem dużą ilość czapli siwych i białych. Bliskość bieżącej wody daje się wykorzystać do różnych celów w gospodarstwie domowym. Jakaś kobieta płukała w Gawii świeżo wyprane rzeczy. Co chwilę pochylała się nad wodą, zanurzała w niej i wyjmowała kolorową sukienkę. Prostując sylwetkę spoglądała w naszą stronę, a z rozpostartego w jej rękach materiału wracała do Gawii wodne strugi, jak kaczątka do swojej matki.

Kawałek za Borowikami rzeka ukazała nam swój nowy obraz. Brzegi miała porośnięte gęsto sitowiem i jakimiś wodnymi trawami, które wystawały wysoko nad jej powierzchnię. Gawia na tym odcinku stała się przez to węższa, a my zupełnie nie widzieliśmy jej brzegów. Wydawało nam się, że płynęliśmy do przodu i tak rzeczywiście było, jeżeli chodzi o kierunek nurtu. Jednak po kilkunastu minutach wyglądało na to, jakbyśmy się cofali lub płynęli w inną stronę. Zapomnieliśmy, że rzeka w swej podróży wiła się wieloma ostrymi meandrami.

Sitowie ustąpiło i do brzegu zbliżył się sosnowy las. Niedaleko przechadzał się bocian pokazując nam swój czerwony dziób i górną część tułowia. W pobliżu ktoś pasł stado krów, bo widzieliśmy zwierzęta i czuliśmy dym z ogniska. Nagle zerwał się ze szczekaniem pies i podniosły się w naszym kierunku dwie zdziwione męskie głowy. Pomachaliśmy do nich rękami i popłynęliśmy dalej. Prawdę mówiąc, to nie wiedzieliśmy gdzie się znajdujemy. Spoglądanie na starą przedwojenną mapę nic nam nie dało. Niewiele też widzieliśmy z wody gdyż brzegi rzeki, chociaż płaskie na tym odcinku, wystawały około metr nad jej powierzchnię. Trudno było przy nich zacumować i wyjść na ląd. Janek Kulesza przestrzegał nas przed drzewem, które na wysokości Wasilewicz powaliło się i jak kładka połączyło dwie strony Gawii. To miał być nasz punkt orientacyjny.

Po lewej stronie minęliśmy ujście jakiejś rzeczki, prawdopodobnie Jakuńki. Wypłynęliśmy z kolejnego zakola Gawii na prosty odcinek i niedaleko przed nami ujrzeliśmy powaloną nad wodą sosnę. Wiosłowaliśmy teraz wolniej i uważnie patrzyliśmy którądy byłoby łatwiej przecisnąć się pod powalonym drzewem. Z lewej strony było trochę więcej miejsca, ale i tak musieliśmy pochylić się mocno w kajaku, żeby przepłynąć pod tym naturalnym mostem. Udało nam się to bez pro-

blemów. Godzina była już popołudniowa, więc zdecydowaliśmy się przybić do brzegu w najbliższym dogodnym miejscu. Po paru minutach zacumowaliśmy przy niewielkiej łasze piasku. Wyciągnęliśmy kajak, a Sasza poszedł na rekonesans sprawdzić, gdzie się znajdujemy. Wrócił po piętnastu minutach i okazało się, że trafiliśmy dobrze. Niedaleko była droga Iwie-Sobotniki. Widział też jakiś most. To z pewnością był most na Jakuńce między Chilewiczami a Wasilewiczami. Mieliliśmy jeszcze czas do przyjazdu autobusu, więc odpoczywaliśmy, a ja zażywałem kąpieli w Gawii.

Woda była z początku zimna i jak zwykle miałem opory przed szybkim zanurzeniem się w niej, ale kiedy moje ciało oswoiło się z płynącym chłodem, było już tylko przyjemnie. Miałem grunt pod nogami, a czysta toń i piaszczyste dno zachęcały do nurkowania z otwartymi oczami. Zanurzyłem się głębiej i wyłowilem z piasku jakiegoś małża, jak się później okazało skójkę perlorodną. Obecność skójek w Gawii świadczyła o wciąż wysokiej czystości jej wód.

Świetnie się nad Gawią odpoczywało, ale musieliśmy już wracać. Zwinęliśmy kajak, złożyliśmy wiosła i włożyliśmy razem do jednego worka. Wyszliśmy na leśną drogę wśród sosnowego boru. Odwróciłem się jeszcze i popatrzyłem za siebie. Czy zrealizuję kiedyś swoje marzenie spłynięcia Gawią z Sobotnik do Niemna, Niemnem do Grodna, a za Grodnem Czarną Hańczę do Polski do Kanału Augustowskiego? Szliśmy drogą udekorowaną po bokach krzaczkami brusznicą. Intensywna zieleń drobnych liści nakrapiana była czerwienią dojrzałych owoców.

Autobus, którym wracaliśmy do Sobotnik był pełen. Tradycyjnie w piątek odbywał się w Iwiu bazar, na którym można było kupić wszystko. Dlatego z wielu wiosek i miasteczek rejonu iwiejskiego ludzie ciągnęli do centrum, kontynuując w ten sposób wielowiekową tradycję targowego handlu z czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego.

25 sierpnia, sobota

Imianiny Aliaksandra, Kapitona, Liudwiha, Łuizy

Pojechałem rowerem do kościoła na sobotnią ranną mszę św. Wiedziałem już, że nie odprawi jej chory ojciec Franciszek. Było dla mnie miłym zaskoczeniem, kiedy zobaczyłem, że po dzwonku na rozpoczęcie liturgii z zakrystii wyszedł ksiądz Andrzej Łysy. Po mszy Andrzej zapraszał mnie do Gieranon, więc kiedy następnym razem przyjadę do Sobotnik z pewnością do niego zajrzę. Bardzo bym chciał zwiedzić tę parafię, miejsce o znaczeniu historycznym dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów i naszej małej ojczyzny na obszarze dzisiejszej ziemi iwiejskiej, porozmawiać z ciekawymi ludźmi. Na przykład z panem Kułdoszą, który z własnego wyboru mieszkał sam w domu na skraju lasu koło Pasieki Antonowskiej i żył tak jak dawniej, bez elektryczności i wszelkich udogodnień, jakie ona niesie. Trzy kilometry na północny-wschód od Gieranon znajdował się folwark Rockiszki Jamonttów. Bywała w nim Jadwiga Smosarska, a atmosfera ruin gieranonskiego zamku, w którym mieszkała Barbara Radziwiłł, pomogła aktorce przygotować się do jej roli w filmie pt. „Barbara Radziwiłł”. Z parafią Gieranony sąsiaduje parafia Konwaliszki. Z wioski Białozyszki tej parafii, pochodził ks. Antoni Sawicki rocznik 1911, który w Suchowoli dnia 16 września 1947 roku ochrzcił małego Jerzego Popiełuszkę¹³³.

Po południu znowu pojechałem rowerem do Wasilewicz. O godzinie szesnastej w tamtejszym klubie została odprawiona msza święta, ale już z niedzieli. Z kilku najbliższych wiosek przyszli na nią głównie starsi ludzie. Wśród nich były dwie panie, które pamiętały Janinę Kirol, swoją przedwojenną nauczycielkę. Pora wykopków i tutaj ograniczyła ilość osób podczas liturgii. Za ojca Franciszka odprawił ją ksiądz, którego nie znałem.

26 sierpnia, niedziela

Imianiny Ipalita, Cihana

Na świąteczną mszę wybrałem się wcześniej. Chciałem przy wejściu na teren kościoła powiesić moją wystawę fotograficzną, przedstawiającą historię naszego miasteczka. Jest to kilkanaście kartonowych plansz formatu siedemdziesiąt na sto centymetrów, na których znajdują się fotografie z różnych lat, kopie rozmaitych dokumentów, mapy i plany. Kiedy odwiedzam Sobotniki zawsze eksponuję wystawę, chyba że przeszkadza temu deszcz. Za każdym razem pojawiają się osoby, dla których jest to nowość. Niektóre z nich odnajdują na zdjęciach swoich krewnych, a czasami i siebie samych. Dowiadują się, jak wyglądał stary drewniany kościół, jak liczna była przedwojenna Ochotnicza Straż Pożarna. Na współczesnych fotkach oglądają najważniejsze wydarzenia z życia naszej parafii.

W zastępstwie ojca Franciszka mszę św. odprawił ojciec Jerzy Kotowicz, kapucyn i proboszcz z Lipniszek. Kościół był wypełniony, ale nie po brzegi. Czytania przed ewangelią odbyły się w języku polskim i białoruskim, a sama ewangelia w języku białoruskim. W tym języku została też wygłoszona homilia. W śpiewie i modlitwach wiernych, w czytaniach kapłana z mszału słyszałem tylko język polski.

Mam duże wątpliwości, co do zasadności powszechnego wprowadzania języka białoruskiego do liturgii mszy świętej w kościele rzymskokatolickim na Białorusi. Szczególnie dotyczy to tych parafii, gdzie co najmniej połowa mieszkańców jest polskiego pochodzenia, i gdzie dotychczas modlono się tylko w języku polskim. Można się w tych miejscach spotkać z czymś stwierdzeniem, że nie umiem czytać po polsku. Do rzadkości natomiast należy wypowiedź ludzi, że nie rozumieją oni mszy świętej odprawianej w tym języku. Gdyby było inaczej, to w dużych miejscowych parafiach jak na przykład w Lidzie, gdzie od pewnego czasu jedna niedzielna msza jest odprawiana w języku białoruskim i powstała możliwość wyboru, świątynie na białoruskiej liturgii pękałaby w przysłowiowych szwach. A jest zupełnie odwrotnie. Mam takie wrażenie, że komuś, pytanie, komu i dlaczego, bardziej zależy na wyrzuceniu języka polskiego z kościoła, niż wprowadzenie do niego języka białoruskiego. To nie była inicjatywa oddolna wiernych wynikająca z ich koniecznej potrzeby. Ciekawe, że takich zakusów nie widać w stosunku do cerkwi prawosławnej na Białorusi, gdzie język rosyjski jest wszechobecny i wydaje się być nienaruszalny.

Niestety, ale do przemian w języku liturgii przyczynili się też niektórzy księża z Polski pracujący na Białorusi. Przyjeżdżając tutaj kilkanaście lat temu nie znali dobrze kresowej polskośći. Nie bardzo rozumieli, dlaczego ludzie na co dzień nie rozmawiają po polsku, dlaczego utracili swój język ojczysty. Doszli do mylnego wniosku, że to nie są prawdziwi Polacy i dla rzekomo ich dobra duchowego, zaczęli wbrew woli wiernych wprowadzać język białoruski do liturgii mszy świętej. Księża ci nie zdawali sobie sprawy z tego, że język polski w modlitwie został ostatnim ogniwem łączącym naszych rodaków z polskością i że jest to język ich uczuć i serca. Podzielał ten pogląd reprezentowany przez księdza prof. dr. hab. Romana Dzwonkowskiego, kierownika Katedry Socjologii Grup Etnicznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tym bardziej, że osobiście zetknąłem się z podobnym odczuciem księży na Białorusi pochodzących z czysto polskich rodzin.

Kiedy po pierestrojce krzywa nauczania języka polskiego na Białorusi dawno już osiągnęła swoje maksimum i od kilku lat wykazuje tendencję malejącą, kościół katolicki znowu pozostał ważnym ogniwem łączącym naszych rodaków z językiem i kulturą polską tak, jak to było w okresie powojennym. Po zamknięciu ostatniej polskiej szkoły na Białorusi w 1948 roku, Polacy początkowo nie chcieli posyłać swoich dzieci do szkół białoruskich lub rosyjskich. W celu nauki

języka polskiego wysyłali je na parę godzin dziennie do kościoła. W 1958 roku Czesław Niemen ekspatriował się z Białorusi nie tylko dlatego, że powstawały kolchozy a jemu groził pobór do sowieckiego wojska. W jego Starych Wasiliszkach zamknięto kościół, który dla miejscowej ludności był jedynym kontaktem z polskością. A jeżeli język polski zniknie z kościoła, to co naszym rodakom pozostanie?

To tylko pozór, że język białoruski podczas nabożeństw jest bardziej zrozumiały dla wiernych. Pozór, ponieważ na co dzień rozmawia się na Białorusi nie po białorusku, a trasianką. Dlaczego sami Białorusini nie znają swojej rodnej mowy, a jeżeli znają, to dlaczego niechętnie się nią na co dzień posługują? Jaka jest tego przyczyna? Może jest to wynik głębokiej rusyfikacji prowadzonej na tych terenach intensywnie od 1831 roku, walki z katolikami i grekokatolikami, przymuszania ludności wiejskiej do przejścia na prawosławie, później bolszewizacji większości kraju, a po II wojnie sowietyzacji całej Białorusi?

Przypomniał mi się budynek dworca autobusowego w Lidzie. Podszedłem raz do mężczyzny w średnim wieku i spytałem się go po białorusku:

Skażycie kali łaska, jakaja hadzina ? - Proszę mi powiedzieć, która jest godzina?

Na te słowa bardzo się zdenerwował. Nie odpowiedział mi, chociaż dobrze wiedział, o co chodzi i miał zegarek na rękę. Coś tam pod nosem odburknął niesympatycznego i odszedł. Wczoraj, to jest jedenastego września, słuchałem w domu I Programu Białoruskiego Radia przez Internet. Akurat był koncert życzeń w języku białoruskim. Zadzwoiła jakaś matka i powiedziała, że jej synek chciałby złożyć życzenia swojej babci. Malec rozpoczął składać życzenia trasianką. Kiedy prowadząca koncert pani zapytała go po białorusku kogo chciałby pozdrowić, on jej nie rozumiał! Pani powtórzyła i znowu nastąpiła chwila ciszy.

Na Białorusi rodzą się białoruskie dzieci, które ojczystego języka uczą się dopiero w szkole i to nie zawsze z dobrym rezultatem, a co za tym idzie, nie używają go wchodząc w dorosłe życie. Nie do kościoła katolickiego trzeba język białoruski wprowadzać i to jakby na siłę. To niczego nie poprawi ani nie zmieni, jeżeli chodzi o uczestnictwo we mszach świętych. Nie obroni też języka białoruskiego przed dominacją trasianki. Aby ten język nie zachował się z czasem tylko jako element białoruskiego folkloru, aby naprawdę był równoprawny z językiem rosyjskim, to należy rzeczywiście oprzeć na nim wychowanie przedszkolne i edukację na wszelkich poziomach.

Uważam, że na Białorusi o poczuciu narodowości danej osoby bardziej niż język, decyduje jej wewnętrzna świadomość. Dotyczy to zarówno rosyjskojęzycznych Polaków jak i rosyjskojęzycznych Białorusinów. Na pytanie zadane naszemu rodakowi przez Białorusina „Co z ciebie za Polak, skoro nie znasz języka polskiego?”, on ze spokojem może odpowiedzieć „Ja nie mówię po polsku, ale u mnie serce jest polskie. Jeżeli zaś Polak zada mu pytanie, „A co z ciebie za Białorusin, jeżeli nie znasz swojej ojczystej mowy?”, to i on też ma prawo powiedzieć „Ja nie mówię po białorusku, ale u mnie serce jest białoruskie”.

Jeszcze nie tak dawno funkcjonowały na Białorusi dowody osobiste, w których była rubryka „narodowość”. Pamiętam rodaków z Sobotnik, z Lidy, którzy nie umieli mówić po polsku, ale w tej rubryce mieli wpisana narodowość polską i w rozmowach ze mną pokazywali tą wewnętrzną świadomość bycia Polakiem. Ich rodzice musieli mieć twarde argumenty dla urzędników, aby ci zapisali nowonarodzone dzieci jako Polaków a nie Białorusinów, co po wojnie było to trudne do zrealizowania, szczególnie na wsi. Często stosowano wobec naszych rodaków różnego rodzaju szykany i groźby, aby ich dzieci nie miały w dokumentach wpisanej narodowości polskiej.

Na Litwie, na początku XX wieku, powstała piękna i na tamte czasy nowoczesna myśl polityczna propagowana przez krajowców¹³⁴ i dlatego nazwano ją ideą krajową. Mówiła ona o tym, że historyczne tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego nie mogą być własnością tylko jednego

narodu. W mozaice wielu kultur i ludów, jakie były w Wielkim Księstwie, żadna kultura nie powinna dominować nad pozostałymi. Tożsamość tego kraju powinna polegać na wspólnocie wszystkich zamieszkałych w nim narodów, i na pierwszym miejscu powinien być postawiony kraj, a dopiero później naród. Na motto wspierające ten priorytet także bardzo pasują słowa wieszczki Adama: „Litwo, ojczyzna moja (...)”.

Po mszy wzięłem od kuzyna mocno wysłużony rower, z dziurawą oponą przewiązaną sznurkiem od snopowiązałki, i pojechałem do Żemłosławia. I chociaż to były tylko cztery kilometry, to się zmęczyłem jadąc pod wiatr, a i droga w tym kierunku prowadziła lekko pod górę. Pocieszałem się myślą, że jazda z powrotem będzie lekka i przyjemna. Blisko pałacu zatrzymałem jadącą z naprzeciwka srebrną toyotę Yaris z białostocką rejestracją. Samochód z Polski nie był tutaj częstym widokiem. Młody człowiek, Mariusz Proskien, przyjechał zobaczyć Żemłosław, o którym przeczytał w mojej książce pt. „Żemłosław” zamieszczonej w Internecie. Praktycznie nie mieliśmy czasu na rozmowę i wymieniliśmy się tylko wizytówkami. On się bardzo spieszył, bo wiedział, że był w strefie przygranicznej bez odpowiedniej przepustki. Mariusz robił bardzo dobrą rzecz. Objeżdżał i fotografował Grodzieńszczyznę, a jego zdjęcia, tak samo jak moje, zostały zamieszczone na bardzo ciekawej białoruskiej stronie internetowej pod adresem www.radzima.org.

W kaplicy w Żemłosławiu o godzinie trzynastej trzydzięci była kolejna msza święta w naszej parafii. I tu nie wszystkie ławki były zajęte. Spotkałem się z panią Jadwigą Jackiewicz, kierowniczką miejscowej biblioteki. Wypytałem ją o los pałacu, któremu groziła ruina, zamknięcie na kłódkę i postawienie tabliczki z napisem:

ZAKAZ WCHODZENIA! GROZI ZAWALENIEM!

Kiedy w marcu tego roku byłem w Żemłosławiu nie mogłem uwierzyć własnym oczom, jak szybko nastąpiła dewastacja pałacu i jego dwóch oficyn. Zdjęcia niszczących budynków, zrobione przez córkę Janka, przesłałem na internetową stronę „Radzimy”.

Po powrocie do Polski napisałem list do Ministerstwa Kultury Białorusi w sprawie podjęcia działań interwencyjnych w celu ratowania tych obiektów. W dość szybkiej odpowiedzi zastępca ministra poinformował mnie, że pałac w Żemłosławiu został zaliczony do III kategorii zabytków i jako taki nie podlega ochronie konserwatorskiej ze strony państwa. Z ministerstwa mój list został przekazany do władz rejonu Iwie i w niedługim czasie otrzymałem pismo przewodniczącego rejonu. Przeczytałem w nim, że większość zabytków znajdujących się na terenie iwiejszczyzny jest zachowana w zadawalającym stanie. W przypadku Żemłosławia zwracano się kilkakrotnie do Ministerstwa Kultury, aby zespół pałacowy został włączony do spisu tych zabytkowych obiektów, nad którymi właściwa opieka należy do państwa. Przyczyna tego była prosta. W rejonowym budżecie brakowało środków na ten cel. Niestety, uzyskano jedynie to, że pałac został zaliczony do niższej kategorii zabytków, nad którymi pieczę mają sprawować ich właściciele. W przypadku Żemłosławia była to uboga spółdzielnia rolno-produkcyjna „Sobotniki”. W drugim piśmie od Ministerstwa Kultury poinformowano mnie, że ze względu na ciężką sytuację finansową spółdzielni „Sobotniki”, nie może ona przeprowadzić prac remontowych pałacu. Dlatego też zgodziła się przekazać go wraz z innymi budynkami dowolnemu podmiotowi gospodarczemu, nawet bezpłatnie.

O sytuacji żemłosławskiego zabytku napisałem też do naszego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w którym znajduje się Departament ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą. Odpisano mi, że jest realna możliwość, aby uprawniony polski wnioskodawca mógł otrzymać dofinansowanie ze środków publicznych na cel rewaloryzacji pałacu w Żemłosławiu. Próbowałem zainteresować tą sprawą między innymi nasz konsulat w Grodnie oraz Instytut Polski w Mińsku, które są organizatorami spotkań przedsiębiorców polskich i białoruskich, ale

bez żadnego rezultatu.

Kiedy pisałem ten tekst była połowa maja 2009 roku. Pod koniec kwietnia o pałacu w Żemłosławiu zrobiło się wreszcie głośno na Białorusi, o czym informowały tamtejsze media a w Polsce gazeta „Rzeczpospolita”. Otóż spółdzielnia „Sobotniki” sprzedała zespół pałacowy za symboliczną kwotę dwóch tysięcy siedmuset euro, czyli około dziesięciu milionów białoruskich rubli. Nabywcą zabytku został prywatny przedsiębiorca z Mińska, który zamierzał przeznaczyć go na cele agroturystyki. Tuż po fakcie, nagle i niespodziewanie, odezwała się grodzieńska prokuratura dając do zrozumienia, że w tej transakcji musiało być jakieś szalbierstwo. Według bowiem jej wyliczeń cały zespół pałacowo-parkowy powinien kosztować nie mniej niż pięćset milionów rubli, czyli około miliona dwustu siedemdziesięciu tysięcy euro. Była to istotna różnica, ale czy za taką cenę znalazłby się kupiec, który przecież musiałby ponieść jeszcze większe nakłady finansowe na kapitalny remont i rewaloryzację żemłosławskich zabytków. Kilka lat temu żemłosławski pałac chciał kupić austriacki Raiffeisen Bank. Zrezygnował jednak ze względu na obowiązujące przepisy białoruskie, które nie gwarantowały inwestorowi z zagranicy prawa własności nabytego obiektu.

Uważam, że pomysł stworzenia agroturystyki w Żemłosławiu jest bardzo dobry. Wokoło są tereny do uprawiania turystyki rowerowej, konnej i wodnej. W lasach jest pełno jagód, grzybów, malin i brusznic. Zabytkowe budynki dawnego majątku można by przeznaczyć na bazę noclegową, restaurację, jadłodajnię, wypożyczalnię sprzętu sportowego, stajnię dla koni, niewielką salę koncertową. W okolicznych wioskach stoi wiele pustych drewnianych chat. Część z nich jest w dobrym stanie i może służyć jako dodatkowa baza turystyczna, dając ich właścicielom konkretny dochód. Także tutejsi mieszkańcy mogliby finansowo skorzystać z obsługi ruchu turystycznego. A może też zrodziłyby się jakieś ciekawe pomysły na powstanie biznesu, w dobrze zachowanych budynkach gospodarczych dawnego majątku? Byłaby też jakaś realna perspektywa dla młodych ludzi po szkole na znalezienie zatrudnienia na miejscu, na pozostanie i założenie w przyszłości rodziny. Jeszcze nie tak dawno w Żemłosławiu istniała średnia jedenastoklasowa szkoła, w której uczyło się około sto pięćdziesiąt dzieci i młodzieży, więcej niż w gminnych Sobotnikach. Liczba uczniów zmniejszyła się do niespełna stu i placówka utraciła status szkoły średniej, stając się dziewięcioklasową szkołą bazową.

Dobrym też pomysłem byłoby stworzenie w Żemłosławiu ośrodka wypoczynkowego i pracy twórczej dla różnego rodzaju artystów nie tylko z Białorusi, ale i z sąsiedniej Litwy i niedalekiej Polski. Mógłby być to wspólny projekt tych trzech państw. Dom wypoczynkowy dla takich osób z środowiska Uniwersytetu Wileńskiego istniał tutaj przed wojną.

Uważam, że bardzo ciekawym, ważnym i przyszłościowym pomysłem byłoby stworzenie w Żemłosławiu całorocznej bazy turystycznej dla młodzieży z Białorusi, Litwy i Polski. Tuż przy pałacu jest sztuczne jezioro utworzone na rzece Gawii. Młodzi ludzie mogliby na nim szkolić się w pływaniu żaglówkami. Sama Gawia jest bardzo malownicza i bardzo dobrze nadaje się na spływy kajakowe. Po całej gminie Sobotniki i do sąsiednich miasteczek: Traby, Juraciszki, Iwie, Lipniszki, Gieraniony, z których każde ma bogatą historię, można by urządzać wycieczki rowowe. Tereny wokół Sobotnik i Żemłosławia sprzyjają w organizowaniu „wczasów w siodle”, kuli-gów i biegania na nartach.

Byłaby to akcja integrująca młode osoby z trzech różnych, ale historycznie i obecnie bliskich sobie narodów. Jestem przekonany, że kiedy ta młodzież weszłaby w dorosłe życie, to przyjaźnie nawiązane w Żemłosławiu przyniosłoby wymierne korzyści dola dobrych i różnorodnych stosunków między Polską, Białorusią i Litwą.

Sobotniki i Żemłosław, okoliczne wioski i rzeka Gawia to piękne strony. Jest tam czyste powietrze przesiąknięte olejkami eterycznymi wydzielanymi przez miejscowe lasy iglaste. Nie bez

powodu pod koniec XIX w. powstał w Sobotnikach pierwszy, wówczas bardzo skromny, ośrodek leczenia gruźlików. Na jego bazie w latach dwudziestych zbudowano szpital gminny, który po II wojnie światowej został zamieniony na sanatorium. Sanatorium istniało do końca lat osiemdziesiątych. Następnie zostało zamknięte, a jego ogrodzony teren był przez pewien czas pilnowany. Znajdowały się na nim przedwojenne budynki postawione z dobrego smolnego drewna, którego jak później mi mówiono „benzo piła¹³⁵ nie chciała brać”. Były tam także murowane obiekty wybudowane w latach pięćdziesiątych. Kiedy zabrakło stróża, dzień po dniu ktoś wchodził na teren sanatorium i brał z budynków co mu się podobało. I nie bano się żadnych zarazków, żadnych krętków. Teraz to miejsce wygląda tak, jakby przeszła nad nim trąba powietrzna, która co jakiś czas pojawia się w naszej okolicy. Jest nie do odtworzenia w poprzednim stanie. Jako miłośnik ziemi rodzinnej bardzo bym nie chciał, aby pałac w Żemłosławiu podzielił los sanatorium.

Chociaż tego typu transakcje jak w przypadku Żemłosławia, są wyjątkowe na Białorusi ze względu na obowiązujące prawodawstwo, wszechobecną ingerencję państwa i ludzką mentalność to uważam, że nagłośnienie tej sprawy przyczyni się do ratowania żemłosławskich zabytków.

W Narwiliszkach niedaleko Żemłosławia, po drugiej stronie granicy z Litwą, prywatny inwestor przekształcił na cele turystyczne stary klasztor pofranciszkański. Na Litwie jednak panuje inny system polityczno-gospodarczy i Litwa należy do Unii Europejskiej.

27 sierpnia, poniedziałek

Imianiny Arkadzja, Micheja, Józefa

Kiedy na Micheja wieje cichy wiatr, to jesień będzie sucha. Kiedy wieje wiatr mocny, jesień będzie deszczowa.

Poniedziałkowe popołudnie w Sobotnikach. Chłodniejszy wiatr poprzerywał żółte wstążki z pierwszych opadłych liści. Czyżby to już była jesień? To niemożliwe, żeby tak szybko skończyło się lato! A przecież jeszcze będzie wrzesień i może ciepły początek października, i kolorowe liście na drzewach.

Nadszedł czas odjazdu, pożegnania mojego miasteczka. Byłem już trochę zmęczony tym pobytem, a na dodatek coś mi zaszkodziło z jedzenia. Przez trzy dni bolał mnie brzuch i żołądek, i miałem, jak tutaj mówią, panos¹³⁶. Stałem na przystanku autobusowym naprzeciw kościoła, kiedy podjechał do mnie Jan Koszczyc, który za kawalera smażył cholewy do mojej mamy. Widział się z nią miesiąc temu. Jankowi poważnie zachorowała żona. Zrobiono jej operację w Grodnie i dobrze, że mieszkały tam dwie córki Koszczyców. Obie były lekarkami i zapewniły matce odpowiednią opiekę.

Nadjechał już autobus Żemłosław-Iwie. Ruszyliśmy. Na moście ostatni rzut oka na Gawię. Przejechaliśmy obok Mażul ukrytych w sosnowym borze. Minęliśmy widoczne Wasilewicze i Chilewicze rozdzielone rzeczką Jakuńką. Za chwilę były Wodole i przydrożny drewniany krzyż stojący w cieniu sosen. Jeszcze tylko Urciszki i już wjeżdżaliśmy do Iwia.

Nie dziwił mnie pusty o tej porze dworzec autobusowy w Iwiu, chociaż miałem wrażenie, jakby to była niedziela, a nie dzień powszedni. O tej porze roku i dnia, podobnie pusto, wyglądały dworce autobusowe w innych miastach Białorusi. Rano mieszczychy wyjechały do rodzinnych wiosek, aby pomóc swoim krewnym w kopaniu ziemniaków. Autobusy zapełniły się ludźmi nie raz do granic możliwości. W jednym z nich na dworcu w Lidzie, stojący podróżni byli tak ściśnięci, że nie mogli obrócić się ani w prawą, ani w lewą stronę. Ci, którzy stali obok kierowcy prawie że kładli się na niego, a ich twarze omal nie rozpląszczały się na przedniej szybie autobusu. Wyglądało to bardzo komicznie i gdybym zrobił zdjęcie tej sytuacji, to miałabym sporą szansę uzyskania nagrody na World Press Photo¹³⁷. Każdy chciał jechać na swoją wioskę i kierowca

dał się ubłagać zabierając nadmiar pasażerów. W podobnych przypadkach bilet na konkretny dzień najpewniej jest kupić w przedsprzedaży. Jest on jednak droższy i wielu ludzi ze względów oszczędnościowych nie korzysta z tej możliwości. Liczą oni na to, że jeżeli nie kupią biletów w kasie, to o takiej samej cenie sprzeda im je kierowca. Mogą być stojące, nawet na jednej nodze, byle by tylko jechać.

Kupiłem bilet do Lidy, usiadłem na peronowej ławce i już po chwili zacząłem odczuwać pewien smutek pustki, którą może niosło za sobą kończące się lato. A może to już kiełkowała ma lutka tęsknota za Sobotnikami zostawionymi osiemnaście kilometrów stąd? Może....

Dopiero teraz zauważyłem zmiany jakie tutaj zaszły. Położono nowy asfalt, który zakrył dziury i nierówności. Krawężniki, kostka brukowa, nowa elewacja i odremontowane wnętrze niewielkiego budynku dworcowego, uzupełniły dobre wrażenie z tego miejsca.

Do Lidy wracałem szybkim busem relacji Grodno-Mińsk. Siedziałem tuż za kierowcą i nie mogłem widzieć drogi przed sobą. Za to przyglądałem się przez boczne okno jasnoniebieskiemu i czystemu niebu, na którym płynęły białe obłoki o różnych kształtach. W środku były zwarte i nieprzezroczyste, a na obrzeżach wiatr powyciągał z nich puszyste, rozrzedzające się smugi. Był to widok, na który mógłbym ciągle patrzeć podczas tej niedługiej podróży. Ale trzeba było zejść z nieba na ziemię. A na ziemi, na mijanych kartoflanych polach położonych w pobliżu wiosek, stały białe słupki worków. Właściwie to w ich obrazie panował pewien bezład i dowolność. Jedne jak żołnierze preżyły się na baczność dumnie wypinając swoje brzuchy pełne ziemniaczanych bulw. Drugie lekko się pochyliły, wypełnione do połowy. Jeszcze inne, do których dopiero wrzucano pierwsze koszyki bulwy, leżały na ziemi, zmęczone jakby na zapas przyszłym ciężarem. Nasz bus bez zatrzymywania się dojechał do Lidy, a ja wysiadłem w stałym miejscu, na narożniku ulic Lenińskiej i Kaczana, blisko osiedla, na którym mieszkała ciocia Władzia.

Bardzo lubię i kocham najmłodszą siostrę mojej mamy. Tak naprawdę to każdy mój przyjazd na Białoruś rozpoczyna się u niej i u niej też się kończy. Lubię z ciocią siedzieć wieczorem w kuchni, kiedy powoli kończy się dzień. Ostatnie dzieci z przedszkola za oknem zostają zabierane do swoich domów. Cichnie gwar ulicy, a odgłos otwieranych i zamykanych drzwi informuje o wracających z pracy mieszkańcach bloku. W kuchni cichutko i śpiewnie po białorusku szemrze radio. Ja siedzę przy stole i przeglądam swoje notatki, a ciocia przygotowuje dla nas kolację. Na przykład blinczyki, które smaży się jak draniki. Ich skład to tarte ziemniaki i kabaczki, trochę mąki, serwatka, jedno jajko, odrobina sody, sól i pieprz do smaku. I tak jak draniki bardzo smakują z gęstą kwaśną śmietaną, albo z masłem. Z ciocią jemy, rozmawiamy, czasami się powadzimy jak na przykład o moje książki. Ciocia uważa, że zamiast je pisać, wydawać i przywozić na Białoruś, z czego nie mam żadnego zysku, powinienem udać się w inną stronę Europy. Powinienem zabrać ze sobą moich dorosłych już synów i w okresie letnich wakacji pojechać tam do pracy. Ja jednak wolę przyjeżdżać tutaj.

Na Białorusi, kto jest młody i chce pracować, to też może się dorobić. I ciocia podała mi przykład z bliskiego, podmiejskiego osiedla Nowosiółki, gdzie na działce młode małżeństwo trzymało swego czasu po kilkanaście świń rocznie. Oboje pracowali w swoich zawodach, ona sprzedawała w sklepie. W czasie przerw obiadowych kobieta biegła na dachę nakarmić swoją trzódkę chlewną. Dodatkowy dochód uzyskany ze sprzedaży świń, pomógł małżonkom wybudować własny piętrowy domek.

28 sierpnia, wtorek

Imianiny Auhustyna, Aleksandra

Kruki chodzą po trawie - będzie deszcz.

Pośród ciemnych chmur płyną białe obłoki - będzie grad.

Rozpoczęło się młode babie lato, które według białoruskiej tradycji potrwa do jedenastego września.

Tego dnia w kościele prawosławnym przypadało święto Zaśnięcia Najświętszej Matki Bożej, podobne do naszego Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w dniu piętnastym sierpnia. Wtorek poświęciłem na odpoczynek, drobne zakupy na mieście i pakowanie się. W planie miałem też spotkanie z mamy chrześniakiem.

Przed uniwersamem¹³⁸ na osiedlu, gdzie mieszka ciocia Władzia, zawsze stoi kilka osób oferujących do sprzedania niewielkie ilości produktów spożywczych. Są to wytwory małych gospodarstw przydomowych i ogrodów. Stoją głównie starsze kobiety, a parę z nich widzę tutaj za każdym razem jak jestem w Lidzie.

Tym razem pojawiła się nowa dla mnie postać. Mężczyzna z siwym gęstym zarostem lat może sześćdziesiąt parę, ubrany w dość zniszczoną marynarkę i spodnie nie od kompletu. Wyjmował z worka jabłka i układał je na dwóch aluminiowych półmiskach. Owoce były zielone z czarnymi cętkami i lekko pomarszczone. Może pochodziły gdzieś z peryferii miasta, a może ten mężczyzna przyjechał z pobliskiej wioski, z której można nawet dojść pieszo? Kilka pań trzymało pomidory na domowych wagach. Były też ogórki, pęczki marchwi, pierwsze tegoroczne ziemniaki. Czasami przed uniwersamem pojawia się ktoś ze świeżym mlekiem, śmietaną i jajkami, z tańszymi papierosami ukrytymi w foliowej reklamówce. Nie jest to całkiem legalny handel, ale ci ludzie się tym nie przejmują. Jest to dla nich jedyna możliwość dorobienia kilku rubli do niewielkich emerytur i rent.

Kiedy jestem w Lidzie i włączam czasami telewizor lub radio, zawsze trafiam na informacje, na programy, które mnie zastanawiają, dziwią i często irytują. Oto prezydent Białorusi przyjął generalnego prokuratora kraju i postawił mu zadanie osiągnięcia jeszcze lepszych wyników w walce z przestępczością. Z kolei minister odpowiedzialny za przemysł otrzymał od prezydenta zadanie przeniesienia niektórych zakładów z Mińska w inne miejsce, aby uwolnić stolicę od smogu i zanieczyszczeń. Prezydent przyjął, wyznaczył zadania, pojechał i odwiedził, nakazał. A gdzie w tym czasie był premier? Jaka jest w tym państwie jego rola i rządu, którym kieruje?

Na Prypeci odnaleziono monitor rzeczny¹³⁹ z sowieckiej Floty Pińskiej, który zatonął w walce z Niemcami. Poszukiwania prowadzili ludzie ze stowarzyszeń miłośników militariów z Białorusi, Ukrainy i Rosji. Do kamery pokazali znaną metalową tabliczkę z nazwą rosyjskiej firmy, która zbudowała monitor czy też go wyposażyła. Jestem ciekaw, czy uczestnicy tego wydarzenia słyszeli o polskiej Floty Pińskiej? Została utworzona 19 kwietnia 1919 roku z przeznaczeniem do walki z bolszewikami znajdującymi się na rozlewiskach Prypeci i wspomagającą ją Flotyllą Dnieprzańską. Po zaatakowaniu naszego kraju przez Sowieców 17 września 1939 roku, wydano rozkaz zniszczenia i zatopienia polskich jednostek na Prypeci, aby nie wpadły one w ręce wroga. Niektóre okręty zostały uszkodzone w niewielkim stopniu, co umożliwiło Sowiecom szybkie ich wprowadzenie do służby. Więc być może pokazywany w telewizji wydobyty wrak był początkowo polską jednostką?

W radio przekazano relację z międzynarodowej imprezy, która odbyła się po białoruskiej stronie Kanału Augustowskiego. Wzięli w niej udział turyści oraz zespoły artystyczne z Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy. Konsul Białorusi z Białegostoku mówił o tym, jaka to była dobra impreza integrująca różne narody. Jak to strona białoruska szybko i sprawnie odremontowała swój odcinek Kanału, a Polacy mieli opóźnienia i tak w ogóle, to musieliby się dostosować do międzynarodowych norm żeglugi po rzekach i kanałach.

Taaak. Kanał Augustowski ma osiemnaście śluz, z których tylko trzy są po białoruskiej stronie. Większość śluz po naszej stronie jest czynna i od dawna służy turystom polskim i zagranicz-

nym. Białorusini dopiero teraz przystosowali swój odcinek Kanału do turystyki. Bardzo jestem ciekaw jak będą wyglądały przepływy na stronę białoruską. Trzeba mieć wizę, a chcąc przebywać na terytorium Białorusi dłużej niż trzy dni robocze, należy zarejestrować się w miejscowym wydziale paszportowym na milicji. Okolice Kanału to strefa przygraniczna i na przebywanie w niej jest potrzebne dodatkowe zezwolenie. Kanał Augustowski jest bardzo dużą atrakcją turystyczną nie tylko dla Polaków. Jego otwarcie w obydwie strony spowoduje duży napływ turystów z Polski oraz innych krajów europejskich. Jak wtedy Białorusini rozwiążą owe problemy mel-dunków i zezwoleń. Czy po swojej stronie mają odpowiednio przygotowaną bazę turystyczną? Czy będzie można popłynąć Czarną Hańczą dalej do Niemna, a Niemnem do Grodna, dużego, ciekawego i ładnego miasta?

Też w radio, w polskim programie z Grodna, wysłuchałem wywiadu ze Stanisławem Łuczni-kiem, prezesem starego Związku Polaków na Białorusi. Piszę starego, aby odróżnić go od umow-nie to nazwijmy nowego Związku pod kierownictwem Andżeliki Borys. Prezes Łucznik opowia-dał o spotkaniu nad Kanałem Augustowskim młodzieży z Polski i polskiego pochodzenia z Bia-łorusi i Litwy. Bez przerwy podkreślał, jaką to pomoc otrzymał od władz Grodna i Mińska, aby młodzi ludzie z różnych zakątków kraju mogli się znaleźć na tym festiwalu młodości. Jak to dzięki przychylności urzędników wszystko zostało dobrze przygotowane. Co rusz były peany i peany. Słuchałem tego z zażenowaniem i żałowałem, że nie był akurat przy mnie pan prezes. Oj dałbym mu przypalenia!

Rozbicie Związku Polaków na Białorusi, na dwie organizacje, źle służy interesom naszych ro-daków. Doszło do tego, że jedną z nich stawia się przeciwko drugiej. Polak stanął przeciwko Po-lakowi i to w kraju, gdzie nie tak łatwo rodziły się i działają różne polskie stowarzyszenia.

Białoruskie władze nie uznają Związku Polaków, któremu przewodzi Andżelika Borys, nato-miast Związek Polaków na czele ze Stanisławem Siemaszko nasz rząd nazywa reżimowym, cho-ciaż według mnie jest to niesprawiedliwe określenie. Słowo „reżym”, którym słusznie nazywano rządy Saddama Husajna w Iraku, nie ma takiego samego odniesienia w stosunku do Białorusi, chociaż nie jest to kraj rządzony demokratycznie. Uważam, że popieranie przez stronę polską tylko jednej organizacji i wysyłanie pomocy tylko pod jeden adres pogłębia stworzony podział, co jest na rękę białoruskim czynownikom¹⁴⁰. A już wrzucenie wszystkich działaczy wyższego szczebla ze starego Związku do jednego worka, wpisanie ich przez polskie władze na czarną listę osób, które nie mogą przez trzy lata wjechać do Polski, do macierzy, jest olbrzymim błędem. Wielu ludziom pracującym od lat na rzecz Polaków na Białorusi wyrządzono krzywdę. Była to dla nich i nadal jest działalność społeczna, a nie polityczna. Powstała w sercu zadra, która będzie trudna do zagojenia.

W końcu udało mi się umówić spotkanie z Karolem Dremzą, chrześniakiem mojej mamy. Okazało się jednak, że mama trzymała do chrztu nie Karola, ale jego starszego brata Janka, który mieszkał w Grodnie. Minęło tyle czasu, że mama pomyliła imiona, a była matką chrzestną w wieku czternastu lat. Nic się takiego nie stało, a my mogliśmy się bliżej poznać i porozmawiać. Byliśmy ze sobą dość blisko spokrewnieni. Michalina Kononowicz z domu Jurgielewicz, babcia mojej mamy, pochodziła z wioski Czarnele. To niedaleko od Sobotnik, ale już w obecnej gminie Juraciszki. Michalina miała siostrę, której córka Jadwiga była matką Karola i Józefa. Dremzowie mieszkali blisko Czarnel, w dużej i bogatej wsi Korkienięta Wielkie, która przed wojną należała do sobotnickiej parafii. Rodzina Karola była wielodzietna. Z ośmiorga rodzeństwa dwoje zmarło w wieku dziecięcym. Mieli trzydzieści hektarów ziemi, a ich ojciec był bardzo dobrym gospodarzem. 17 września 1939 roku przyszli ze wschodu oswoobodziciele i wszystko im zabrali.

W roku 1949, tuż przed zakładaniem kołchozu w ich wiosce, przyjechało do Dremzów NKWD¹⁴¹ - chapuny¹⁴² jak ich nazywano. Przeczuwając najgorsze, matka Karola szybko spako-

wała najpotrzebniejsze rzeczy, a przestraszone dzieci schowały się pod łózkami. Na powitanie „gości” ojciec Karola, też Karol, ze spokojem nalał oficerowi szklankę samogonu i położył przed nim kawałek chleba ze słoniną. Ten wypił wódkę duszkiem i padł jak ścięty nie zdążywszy zakąsić. Widocznie był niezwykajny takiego poczęstunku, chociaż jak na sowieckie zwyczaje było to dziwne. Zabrali tylko ojca, który po trzech dniach wrócił. Opowiedział im, co i jak było.

Na NKWD zagrozili mu, że jeżeli nie zgodzi się zostać przewodniczącym kołchozu, to go wywiozą na Sybir, gdzie jako kułak zgnije. A kołchoz i tak powstanie i znajdą kogoś innego na przewodniczącego. Ojciec wiedział, że władzy bardzo zależało, aby stanął na czele tej nowej organizacji. Był dobrym gospodarzem i w wiosce go poważano. Na jego przykładzie łatwiej by było przyciągnąć ludzi do kołchozu. Cóż miał robić? Nie zgodziłby się, to by go wywieźli. W domu było kilkoro małych dzieci i żona z kolejnym w ciąży. Kto wówczas zaopiekowałby się rodziną?

Dremza przystał na tą propozycję. Został szefem kołchozu i doprowadził go do stanu tak wzorowego, że przyjeżdżał do niego ówczesny pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Białorusi. Bardzo chciał, aby Dremza pojechał do Mińska i objął tam funkcję kierownika zespołu kontroli nad wszystkimi kołchozami w republice. Ale on się nie zgodził. Później awansował w gminie na jej przewodniczącego. Na przełomie lat 1957/1958 tym mieszkańcom swojej gminy, którzy chcieli ekspatriować się do Polski, pozytywnie załatwiał wnioski i potrzebne dokumenty. Karol nie wie, dlaczego sami nie wyjechali.

Wszystkie dzieci Dremzów zdobyły wykształcenie czy to średnie, czy wyższe. Mamy chrześniak Janek był profesorem terapeutą na Uniwersytecie w Grodnie. Karol miał dwóch synów, z których jeden ukończył medycynę. Karol wspominał lata pierestrojki, kiedy musiał odejść ze swojej firmy, bo po prostu nie było pracy i pieniędzy na wypłaty. Przez sześć trudnych dla kraju i społeczeństwa lat zajmował się prywatnym handlem. Jeździł do Polski, gdzie mieszkali jego krewni, do Rosji, na Litwę i Ukrainę. I niezależnie od tego, czy to było gorące lato, czy bardzo mroźna zima, i że niejednokrotnie trzeba było chować nadmiar towaru przed celnikami. Dzięki niemu rodzina przetrwała ten trudny czas. Karol Dremza przeszedł niedawno na emeryturę. Zaradny i pracowity był nie tylko w handlu, ale przede wszystkim w swojej działalności zawodowej. Trzy lata temu kupił sobie prawie nowego renaulta Megane kombi, a starszemu żonatemu synowi pomógł z żoną kupić mieszkanie.

Karol miał bogate doświadczenie życiowe, jak wielu ludzi na Grodzieńszczyźnie w jego wieku. Dorobek życiowy zawdzięczał tylko sobie. Patrzył z dystansem na wszelkie ruchy polityczne i demonstracje wymierzone przeciwko obecnej władzy. Uważał, że niektórzy młodzi ludzie chcieliby od razu mieć wszystko. Według niego Rosja często wykorzystywała gospodarczo Białoruś, szczególnie w okresie pierestrojki. Kraj przez to opóźnił w rozwoju, ale powoli i stopniowo dojdzie do poziomu państw Unii. Kiedy jego syn był na trzecim roku medycyny, to w tajemnicy przed rodzicami szykował się do wyjazdu do USA. Karol kiedy to odkrył, zdecydowanie zabronił mu wyjazdu w czasie nauki, ale też powiedział do niego:

- Pozwolę ci wyjechać i nawet pomogę, jak skończysz studia.

Nie zgadzałem się z niektórymi punktami widzenia Karola, spierałem się z nim, ale jak pisałem te słowa to doszedłem do przekonania, że większość racji była po jego stronie.

Kiedy nasze media przedstawiają wydarzenia na Białorusi, dziennikarskie wywiady z jakimiś wiejskimi kobietami, nie jest to do końca prawdziwy obraz tego kraju. Nie wszyscy emeryci popierają obecnego prezydenta. Niecała młodzież, a uważam, że nawet nie jej większość, jest przeciwko obecnej władzy. Oglądając w telewizji te niewielkie demonstracje w Mińsku, można wysnuwać różne wnioski. Zdecydowana większość społeczeństwa jest za obecną władzą; ludzie są przeciwni władzy, ale boją się jawnie to okazać; nie interesują się polityką i uważają, że nic nie

są w stanie zmienić; najważniejsze jest dla nich zapewnienie odpowiedniego bytu sobie i swojej rodzinie, dorobienie do pensji, emerytury czy renty; młodzież chciałaby ukończyć studia i znaleźć dobrą pracę, nawet za granicą, ku czemu ma możliwości. Według mnie pogląd nie interesowania się polityką, lecz jedynie swoimi sprawami popiera najwięcej osób. Natomiast, jeżeli chodzi o zmiany globalne w kraju, to spotkałem się z opiniami, głównie ludzi młodych i średniego pokolenia, że nie chcieliby oni przemian rewolucyjnych. Nie chcieliby także, aby w te przemiany, w ukazywanie ich kierunku czy wręcz mówienie, co mają robić, aby ich kraj był lepszy, wtrącały się kraje sąsiednie. Uważają też, że pewne zmiany już się dokonują, chociaż z zewnątrz są może mało widoczne. Białoruś jest krajem otwartym, jeżeli chodzi na przykład o swobodę podróżowania. Młodzi ludzie wyjeżdżają na studia, głównie do Polski. Wiele osób pracuje w różnych europejskich krajach. Przywożą stamtąd także inne spojrzenie na świat, na miejsce, które w nim zajmuje ich Białoruś. Nie jest tego już w stanie wypaczyć krajowa propaganda. Jest to bardzo cenny kapitał społeczny, który kielkuje od kilkunastu lat, powoli wzrasta i w końcu zaowocuje.

Jak dalek będzie się rozwijać sytuacja w tym bliskim nam kraju? Dotychczasowa kilkuletnia stabilność gospodarcza wydaje się być zachwiana. Rząd z początkiem września miał wprowadzić podwyżki cen chleba, mąki, mleka, rozmów telefonicznych, opłat za prąd i ogrzewanie, za mieszkanie, za przejazdy autobusowe w miastach obwodowych a w stolicy dodatkowo metrem. Chociaż nie będą to wysokie podwyżki, to w sumie okażą się tak istotne dla codziennego życia, że odczuje je każda rodzina. A co będzie się dalej działo, jeżeli wzrost cen powtórzy się w najbliższym czasie? Państwo nie zrekompensuje go odpowiednią regulacją świadczeń dla emerytów i rencistów. O podwyżkach dla osób w wieku produkcyjnym nie ma nawet co marzyć.

Wieczorem zamówiłem taksówkę na dworzec autobusowy.

29 sierpnia środa

Imianiny Działida, Sabiny

Po Spasie trzymaj rękawice w zapasie.

Trzeci, tak zwany mały Spas - święto chleba. Na zakończenie żniw odbywają się dożynki, charakteryzujące się różnego rodzaju obrzędami, dawniej magicznymi, tańcami śpiewem i uctowaniem. Dojrzewają orzechy, a przyroda coraz bardziej pochyla się ku zimie.

Rano pożegnałem się z ciotką Władzią i o godzinie szóstej trzydzieści pięć rejsowym busem relacji Ostrowiec-Grodno, ruszyłem w drogę powrotną do domu. Słońce już podniosło swoją pomarańczowożółtą buzię i świeciło mi prosto w twarz, coraz mocniej, coraz intensywniej. Po kilku minutach miejskiej jazdy nasz bus wyjechał na kierunek grodzieński zostawiając z tyłu Lidę i słoneczną tarczę, która na pożegnanie wysyłała za mną ciepłe muśnięcia. Krótki postój w Szczuczynie i już było Grodno.

Podróżnych oczekujących na odprawę celną i pociąg do Kuźnicy Białostockiej było niewielu. Otworzyłem walizkę przed celniczką i zaprzeczyłem jej pytaniu, czy nie wiozę jakiejś politycznej literatury. Jakiś obcokrajowiec mówiący po angielsku musiał wyjaśnić swoje dokumenty. Może nie miał ze sobą drugiej części karty migracyjnej? Wątpliwości się rozwiały i został szybko odprawiony. Ku mojemu zaskoczeniu nieczynne były sklepy wolnocłowe, w których można było się zaopatrzyć po zakończeniu odprawy granicznej i celnej. To w nich grodnianie udający się na kilka godzin do Polski kupowali tanie papierosy i alkohole, które później sprzedawali w Kuźnicy i Białymstoku. Podobno sklepy wolnocłowe na Białorusi były pralnią brudnych pieniędzy i decyzją prezydenta zostały zamknięte do odwołania.

Wreszcie ruszyliśmy. Stałem przy otwartym oknie, żeby nic nie stracić z uroków Niemna

podczas jego przekraczania. Kiedy akurat nad nim przejeżdżaliśmy, przyszedł mi na myśl słowa poety :

„Niemnie, domowa rzeka moja, gdzie są wody,
Do których przez kwieciste skakaliśmy błonie
I któreśmy czerpali w młodociane dłonie
Za napój lub za kąpiel spoczonej jagody?(...)”¹⁴³

Wygodnie jechało się pociągiem z niewielką ilością pasażerów. Świeciło słońce, a przez uchylone okna przelatywał rześki, nadniemeński jeszcze wiatr. Koła wagonów rytmicznie wystukiwały melodię żelaznej drogi. Chociaż do granicy było niedaleko, to spokojnie mogłem wypić piwo a pewna praktyczna obywatelka Białorusi zdążyła schować kilka kartonów papierosów w ścianie wagonu. Naprzeciwko mnie siedziała dziewczyna z dużym, czarnym rasowym psem. Zwierzę najwyraźniej stresowała jazda pociągiem, bo jego pani, co chwilę czochręła go po torsie i łapach, i mówiła do niego uspakajająco.

Po drugiej stronie korytarza wagonowego siedziało małżeństwo w średnim wieku. On pracował w sekcji Radia Swoboda w Mińsku, ona była naukowcem, biochemikiem na Uniwersytecie Grodzieńskim. Jechali do Białegostoku na konferencję naukową na Akademii Medycznej. Jeszcze nie tak dawno częściej jeździli na takie zagraniczne zjazdy, na przykład także do Chorwacji. Na Białorusi nie było chorwackiej ambasady, dlatego po wizę udawali się do Warszawy, gdzie otrzymywali ją bez przeszkód. Ale Chorwaci zmienili swoje przepisy i powiedzieli, że skoro Białoruś należy do Wspólnoty Niepodległych Państw, to jej obywatele po chorwackie wizy muszą jechać do Moskwy. Gdzie dla grodnian Warszawa, a gdzie Moskwa? W Kuźnicy czekał na nich Toni, profesor biochemii z Oxfordu. Przyjechał swoim angielskim samochodem z kierownicą oczywiście po prawej stronie. Moi towarzysze podróży byli tak uprzejmi, że zaproponowali mi wspólną podróż do Białegostoku, a Toni nie miał nic przeciwko podwiezieniu mnie pod sam dworzec kolejowy.

Wyciągnąłem się na szerokiej peronowej ławce i podniosłem nogi do góry. Zamknąłem oczy i wtedy obłoki odpłynęły i dotknęło mnie słońce. Poczułem przyjemne ciepło, które koncentrowało się na moim brzuchu. Pod opuszczonymi powiekami widziałem gorącą i jasną czerwień. Z prawej strony przetaczały się jakieś wagony, zderzały się zderzakami, coś postukiwało, posykiwało, szarpało, gwizdało i jechało. Super. Jak przyjemnie było leżeć na ciepłym drewnie, mieć zamknięte oczy i być co parę minut ogrzewany późnosierpionowym słońcem. Super. Mógłbym tak leżeć i leżeć, i myśleć o tych paru dniach spędzonych na mojej Białorusi. I już chciałem wracać tam z powrotem, miałem przecież jeszcze ważną wizę. Zabrałbym z kolonii rower i pojechałbym do wujka Wacka, do Cygana, aby mi pokazał, jak pracuje rozgrzana do czerwoności kuźnia, zaprowadził na miejsce, gdzie był majątek Dmochowskich. Szukałbym bocianów sejmikujących przed odlotem do ciepłych krajów. Udałbym się z kuzynem Jankiem w okolice wioski Girowicze naszej gminy, aby zobaczyć, czy są już zielonki? Spotkałbym się z farmerem Stanisławem Łużko z Korejwicz, żeby dowiedzieć się, jak mu się żyje i pracuje na sześćdziesięciu hektarach w białoruskich warunkach? Może odwiedziłbym redakcję rejonowej gazety „Iwiejski Kraj” i namawiałbym, aby w sobotnim wydaniu zamieszczali więcej informacji kulturalnych, historycznych i turystycznych. Może zgodziliby się na okazjonalny druk tekstów w języku polskim?

A może nic bym nie robił, tylko położyłbym się nad brzegiem Gawii i przytulił do naszej ziemi. To byłoby najlepsze i najprzyjemniejsze. Blisko mnie świerszcze grałyby na swych skrzypkach ulubione melodie. Jeszcze przez chwilę słuchałbym okrzyków kąpiących się dzieci, kiedy z głośnym pluskiem wybijały z Gawii wodne warkocze. To wszystko powoli by się wyciszało i

odchodziło gdzieś w dal. Zamknąłbym oczy i przeniósł do Sobotnik w lata trzydzieste. Zobaczyłbym tatę, małego chłopca, jak idzie do domu ulicą Wileńską i poszedłbym za nim. Zajrzałbym do Kononowiczów, żeby zobaczyć, kto akurat opiekuje się paroletnią mamą. Może starszy o kilka lat Władek Hryniuk, syn sąsiadów? Bardzo chciałbym ujrzeć znaną mi jedynie z opowiadań i trochę ze zniszczonej fotografii babcię Wiktorię. Przyglądałbym się z uwagą naszemu miasteczku, zaglądał w jego zakamarki, porównywał z obecnym stanem. Zajrzałbym na plebanię do ks. Bagińskiego, który mnie ochrzcił w 1957 roku, do urzędu gminy, do szpitala i apteki, na posterunek policji. Usiadłbym w szkolnej ławce podczas lekcji języka polskiego. Sprawdziłbym, kto długo przesiaduje w karczmie Józefa Poźniaka i obszedłbym żydowskie sklepy. Z przyjemnością wsłuchiwałbym się w prostą mowę mijanych ludzi. Z pewnością zwiedziłbym młyn na Gawii i długo przyglądałbym się jego pracy. Później poszedłbym na drewniany most na rzece i spojrział w dół, a Gawia pode mną płynęłaby i płynęła.

Zakończenie

(25.06-04.07.2009)

W rodzinne strony pojechałem ponownie z mamą. Tym razem podróżowaliśmy z grupą osób, które udawały się na X Światowy Zjazd Lidzian. 27 czerwca przypadał nasz odpust parafialny w Sobotnikach, więc tym razem nie planowaliśmy udziału w imprezach zjazdowych. Dla mamy byłoby zbyt uciążliwym prawie codzienne podróżowanie między Sobotnikami a Lidą.

Z punktu zbiorczego w Warszawie wiózł nas wygodny piętrowy autobus, w którym przy każdej parze foteli znajdował się praktyczny stolik. Z sobotniczan były jeszcze panie Krystyna Żołądkiewicz i Irena Pluta z domu Miksza, której towarzyszył mąż Stanisław. Dziadek pani Krystyny, Bolesław Czejdo, założył aptekę w naszym miasteczku. Rodzina pani Ireny mieszkała przy ulicy Kościelnej, tuż obok dużego murowanego domu Usinowiczów. Jej ojciec Albin za okupacji niemieckiej musiał pełnić funkcję sołtysa w Sobotnikach. Dlatego w ramach pierwszej ekspatriacji w 1946 roku, rodzina Mikszów szybko wyjechała do Polski. Gdyby pozostali, to czekałoby ich represje ze strony Sowietów.

Na granicy po białoruskiej stronie staliśmy prawie dwie godziny i nie był to zły czas. Uczestnikom Zjazdu, którzy pierwszy raz wjeżdżali na Białoruś, widoki jakie obserwowali mogły wydawać się dziwne. Opuściliśmy duże przejście graniczne i podążyliśmy do niedalekiego trzystutysięcznego Grodna, gdzie pierwszy raz w tej podróży przywitaliśmy się z Niemnem. Choć był to dzień powszedni, a godzina jeszcze młoda, letnia, to na dobrej drodze prowadzącej od granicy do Mińska prawie nie było ruchu. Prawie nic też z tej drogi nie widzieliśmy, jeżeli chodzi o krajobrazy. Po obu jej stronach widoki zostały zamknięte ścianami lasów i gęstych szpalerów iglastych krzewów. Bardzo rzadko napotykaliliśmy ludzkie osady i jakiegokolwiek ślady życia. I tak było do samej Lidy z przerwą na Skidel i Szczuczyn. Wieczorem przybyliśmy do Lidy, gdzie przywitani nas miejscowi Polacy. Przyszła też ciocia Władzia i niespodziewanie pojawił się Józik Rusakiewicz.

W piątek udaliśmy się z mamą i bagażem do Iwia. Rejestracja przebiegła sprawnie i o dziwo wypełniłem tylko jeden papierek za siebie i jeden za mamę. Przyjechał po nas Janek i tym razem bez niespodzianek dojechaliśmy do Sobotnik. Nazajutrz był nasz odpust parafialny. Dla mamy procesja wokół kościoła była dużym przeżyciem. Sztandary, feretryny¹⁴⁴, śpiewy, sypanie kwiatków przez małe dziewczynki. Mama przypominała sobie jak sama sypała kwiatki podczas jakiejś uroczystości, zaraz po swojej pierwszej komunii świętej. Tylko ona i Sienkiewiczówna miały przypięte do włosów ozdobne, białe weloniki do nakrycia głowy. W feście wzięli udział dwaj

nowo wyświęceni kapłani zaproszeni przez ojca Franciszka. Ksiądz Andrzej Liszko był rodem z Miklewszczyzny (kościół pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny) w rejonie Mosty. Do posługi duszpasterskiej został skierowany do Odelska (kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny) niedaleko Grodna, tuż przy granicy z Polską. Ksiądz Aleksander Bogdanowicz pochodził z Wołkowyska, a przydział do pracy otrzymał do Oszmiany.

Po uroczystościach spotkałem przy kościele Michaiła, który był przedstawicielem handlowym Wrigley'a, czyli jak tam u nas mówią agentem. Michaił był Rosjaninem, który kilka lat temu przyjechał na Białoruś i założył rodzinę w Lidzie. Ożenił się z miejscową Polką, ślub wzięli kościelny i on sam przeszedł na katolicyzm. Nie znał języka polskiego i bardzo słabo białoruski. Jak mi powiedział, jego teściowa była bardzo religijna, a ja dałem mu dla niej moje książki o Sobotnikach i Trokielach.

Wieczorem poszliśmy z mamą do Zosi na kolonię, gdzie mieszkaliśmy przez kilka dni. Jak zwykle spotkało nas bardzo ciepłe powitanie, płacz i radość.

W niedzielę, idąc do kościoła ulicą Wileńską, dołączyłem do siedemdziesięcioletniego Andrzeja Małoczki. W rozmowie ze mną Andrzej wspomniął sobotnicki młyn na Gawii, który stał gdzieś do połowy lat pięćdziesiątych. W czasie żniw zajeżdżało do niego po czterdzieści-pięćdziesiąt podwó¹⁴⁵ dziennie z załadowanymi workami z ziarnem. Chłopi przybywali nawet z sąsiedniego rejonu woronowskiego. W kolejce do mlenia często czekali i po dwa dni w specjalnej szopie. Bardzo im to oczekiwanie doskwierało, a że kobiety nie stały akurat nad nimi, więc czuli się swobodniejsi. Dziesięć funtów¹⁴⁶ ziarna kosztowała butelka wódki. W Gawii było wówczas mnóstwo ryb. Królowały duże szczupaki, a drobnicy nikt nie brał.

Podczas mszy byliśmy świadkami dodatkowej uroczystości. Państwo Nastusiewiczowie z Odnopola (Annopola) obchodzili złoty jubileusz małżeństwa.

Z kościoła poszliśmy z mamą na cmentarz. Byliśmy na grobach mamy rodziców, cioci i babci, taty rodziców i brata, dalszych krewnych, koleżanek i kolegów z młodych lat, Hańci Kwiatkowskiej, księdza Pawła Bagińskiego. Przy grobie cioci Jadwigi, babci Jadwigi, co roku uparcie rosło samo zielsko. Było wysokie i miało grube łodygi, ale łatwo mogłem je wyrwać z korzeniami. Mój tato od ponad pięciu lat spoczywa na cmentarzu miłostowskim w Poznaniu. Mamy brat Janek został pochowany w Rosji, w mieście Kirejewsk na południe od Tuły, gdzie założył rodzinę.

Sobotnicki cmentarz leżał blisko Gawii, która oddzielała go od miasteczka. Poszliśmy z mamą nad jej brzeg, gdzie spotkaliśmy jedenastoletniego Kirię Puciula, który łowił ryby. Kirię urodził się w Sobotnikach, ale mieszkał w Mińsku i na wakacje przyjechał do dziadków. Kawalek dalej w górę rzeki, gdzie Gawia była troszkę głębsza, umocowano przy jej wyższym brzegu trzy długie sosnowe drągi. Wystawały nad wodą, były sprężyste i można było z nich skakać jak z trampoliny. Pojawili się przy niej dwaj dwunastoletni chłopcy o tym samym imieniu Sierioża. Bez wahania rozebrali się do majtek i z sosnowej trampoliny kolejno skakali do Gawii. Pierwszy klasycznym stylem z wyciągniętymi rękami skoczył na główkę. Drugi był bardziej zachowawczy i wybiwszy się w powietrze zgiął kolana, objął je rękoma i na tak zwaną bombkę wpadł z głośnym pluskiem do wody.

W poniedziałek późnym popołudniem poszliśmy z mamą na spacer do Kuprelowej Kudry. Za starym dziadkowym gumnem skręciliśmy na Walentową Ścieżkę. Jej miejscowa nazwa pochodziła od Walentego Puciula, a ścieżka łączyła jego gospodarstwo z Łyntupską Drogą. Wysokie żyto sięgało nam do ramion. Rozsiane po polu chabry bławatki swoją niebieskością łamały ten

jeszcze trochę zielony, a nie całkiem słomiany kolor. Skręciliśmy w Łyntupską Drogę i przez chwilę szliśmy w zbożowym szpalerze utworzonym ze ścian żyta i pszenżyta. Za pszenżytem rozpościerało się pole wysokich traw oddzielonych od zboża krótką bruzdą ziemi, w którą weszliśmy kierując się do widocznej kudry. Idąca na przedzie mama pierwsza zatopiła się w długi i wąski pas margerytek. Kwiaty rosły tak wysoko, że nie musiała się schylać, aby po chwili mieć ich spore naręcze. Kiedy stanęliśmy nad Kuprełową Kudrą ujrzeliśmy owalne wodne oczko o wymiarach trzydzieści na czterdzieści metrów, otoczone liściastymi krzewami, obrośnięte wodnymi trawami, z kumkaniem żab i tajemniczym pluskaniem. Podobno w kudrze były karasie, a może i jakiś wodnik zamieszkał w niej na stare lata?

Podczas tego pobytu mama znowu spotkała się z dawnymi kolegami i koleżankami, którzy zostali na rodzinnej ziemi i jeszcze nie przeszli na drugą stronę życia. Z Witoldem Juchniewiczem z Borowik wspominali wesołe młode życie w latach pięćdziesiątych, wieczorynki w Dowgiałowszczyźnie. Chłopcy w kieszeniach spodni mieli landrynki sprzedawane na wagę bez żadnego opakowania i na wieczorynkach częstowali nimi dziewczyny. Jak powiedział Witold, żadna szanująca się dziewczyna sama z chłopcem na ulicę nie wychodziła. Młodzi cenili się wzajemnie, a żenili po kilku latach znajomości, spotkań na zabawach i odpustach parafialnych. Każdy też miał swoją godność osobistą, przyzwoite wychowanie w domu, które jeszcze było pokłosiem polskich czasów.

Pojawienie się długo oczekiwanej słonecznej pogody, spowodowało duży ruch w Sobotnikach i na wioskach. Każda rodzina, która chowała jeszcze krowę, a niektóre dodatkowo trzymały konia, starała się wysuszyć skoszoną wcześniej trawę. Na Grodzieńszczyźnie, podobnie jak w Polsce, prawie przez cały maj i czerwiec padało. Jedna krowa-karmicielka potrzebowała trzy kopie siana na zimę. Aby je otrzymać trzeba było zrobić dwa sianokosy z pół hektara ziemi. Jankowi trawę skosił Andrzej Byczko, który miał własny traktor. We wtorek po sianokosach usiedliśmy w biesiedce¹⁴⁷ stojącej koło kuzyna chaty i spożyliśmy obiad. Na lepsze trawienie piliśmy nastojkę¹⁴⁸ zrobioną na liściach z limonnika kitajskiego¹⁴⁹, który rósł przy chacie Janka. Andrzej był pracownikiem gospodarczym w szkole. Ze strony ojca i matki miał bliską rodzinę w Polsce. Bardzo lubił mleko i codziennie sporo go wypijał. Co ciekawe, jeżeli pił je z kubka, to za nic nie mógł się tego mleka napić. Natomiast jak wlał dwa foliowe pakiety do kanki i z niej pił, to dopiero wtedy mógł ugasić swoje mleczne pragnienie.

Zauważyłem, że część sobotnickich krów prowadzonych na pastwisko miała rogi przewiązane czerwoną wstążką. Podobno kolor zawierał tajemniczą siłę i chronił zwierzęta przed urokami, przed złymi spojrzzeniami ludzi o kosych oczach. Od takiego spojrzenia krowa mogła przestać dawać mleko, poważnie zachorować, a nawet zdechnąć. Nie brzmiało to poważnie mimo przykładów, jakie mi podał Janek.

Nie zabrałem z domu sandałów i bardzo tego żałowałem. Dzienny upał był trudny do zniesienia, a ściśle obute stopy znosiły to najgorzej. Dlatego za miasteczkiem zdejmowałem półbuty i dalej na kolonię, Łyntupską Drogę i Walentową Ścieżką szedłem boso. Było super.

Tych kilka dni na rodzinnej ziemi minęło tak szybko jak trąba powietrzna, która raz w roku na chwilę pojawia się w naszych stronach. Musieliśmy już opuścić kolonię i miasteczko, gdyż chcieliśmy jeszcze побыć ze dwa dni u cioci Władzi w Lidzie.

Lida, piątek 3 lipca 2009 roku. Sześćdziesiąta piąta rocznica wyzwolenia Białorusi spod okupacji niemieckiej. Była piękna słoneczna pogoda. Na dużym placu przy ulicy Sowieckiej usta-

wiono scenę, na której odbył się uroczysty koncert. Tego dnia milicjanci i milicjantki ubrali się odświętnie w białe koszule. Ładna i bardzo, bardzo szczupła blondynka sprawdzała moją torbę przy wejściu w poblizze sceny. Niestety nie zgodziła się, abym zrobił jej zdjęcie. Oglądałem porywające występy białoruskich zespołów folklorystycznych z dynamicznymi tańcami i chwytającymi za serce śpiewami. Po nich nastąpił standard sowieckich pieśni wojennych i występy innych artystów. Ale to już dla mnie nie było ciekawe. Po drugiej stronie placu znajdowały się stoiska z napojami, słodyczami i pieczonymi kiełbaskami. Świąteczny miejski festyn.

Nie mogłem zaspokoić pragnienia ludzkim piwem. Niby zawierało te same procenty, co polskie, ale było jakby bardziej wodniste i miało mniejszą pianę. Wolniej też wpływało na lepsze samopoczucie. O wiele lepszy był kwas chlebowy, ale nie ten sprzedawany w butelkach, lecz prosto z beczki, świeży i bardzo zimny, i też z ludzkiego browaru.

Tego dnia spotykałem się na mieście z Leonem Laureszem. Leo był z zawodu inżynierem elektroenergetykiem i zarządzał częścią energetyki lidzkiej. Prywatnie zajmował się historią ziemi lidzkiej i było to dla niego coś więcej niż tylko hobby. Interesowało go wiele tematów, na przykład dzieje grekokatolików na tym terenie, do której to niewielkiej społeczności wyznawców sam też należał. Leo badał również historię nauki wileńskiej, ostatnio astronomii na dawnym Uniwersytecie imienia Stefana Batorego. Potrafił przez Internet dojść do wielu źródeł pisanej wiedzy, o której nie wiedzieli zawodowi naukowcy, i dostarczał zainteresowanym znalezione materiały. Leo założył bardzo ciekawą stronę internetową ziemi lidzkiej, na której umieścił moje książki oraz inne mniejsze publikacje. Pożegnaliśmy się pod miejską łaźnią. Ucisnąłem wyciągniętą dłoń chłopca łaźniennego, którego niewielki pomnik z brązu stał przed budynkiem, a Leo zrobił mi pamiątkowe zdjęcie. Łaźnia w języku białoruskim nazywa się tak samo jak w polskim i słowo to prawie identycznie się wymawia tylko bardziej twardo w literze „ż”. W języku rosyjskim odpowiednikiem łaźni jest bania.

Do Polski wracaliśmy samochodem. Skorzystaliśmy z uprzejmości Aleny, córki Janka, i jej męża Dymitra Jabłońskich, którzy jechali do Wrocławia przez Poznań i zaferowali nam wspólną podróż. Była ona o tyle ciekawsza, że wprawdzie pojechaliśmy do babci Dimy, do wioski Mociewicz nad Niemnem. Po południu pożegnaliśmy się z cicią Władzią i z Lidą i ruszyliśmy w drogę.

Przed Minojtami po lewej stronie drogi, na podmokłej łące graniczącej z niewielkim lasem, dostrzegłem stojącego nieruchomo czarnego bociana. Następnie był most na Dzitwie i duże skrzyżowanie dróg. Drogowskaz w lewą stronę pokazywał niedaleką Brzozówkę, za którą był Nowogródek. My skierowaliśmy się prosto na Bielice, gdzie prawie już zakończono budowę kościoła pw. św. Jerzego. Przez chwilę mogliśmy obserwować jego niewielką dwuwieżową sylwetkę.

Za miasteczkiem jechaliśmy już wzdłuż Niemna, który parę razy mignął nam między drzewami i nierównościami terenu. Przejechaliśmy przez prawosławne Zblany z ładną cerkwią pw. Opieki Matki Bożej, niewielkie wioski Poniemuńce, Piaskowce i dotarliśmy do Mociewicz. Mieszkała tam babcia Dimy, Maria. Jej trzej synowie, w tym tata Dimy i jego mama, mieszkali ze swoimi rodzinami w Mińsku. Wszyscy przyjechali do Mociewicz na zapiaćtek. Mieliśmy niewiele czasu i dlatego wprawdzie poszliśmy nad bliski Niemen. Ścieżką ukrytą w wysokiej trawie zeszliliśmy w dół i od razu ujrzeliśmy „domową rzekę”, a po chwili byliśmy nad jej brzegiem.

W tym miejscu spotykały się granice trzech rejonów Grodzieńszczyzny: lidzkiego, zdzięciolskiego i szczuczyńskiego. Niemen w Mociewiczach był bardzo szeroki i majestatyczny. Cicho i powoli płynął w kierunku Orli, Mostów i Grodna. A przed Grodnem omijał Bohatyrowicze, grób Jana i Cecylii, pomnik pamięci powstańców styczniowych.

Usiedliśmy nad wodą obok przywiązanej łódki Jabłońskich i moczyliśmy nogi w rzece. Nie tylko dla ochłody, gdyż słońce mocno świeciło, ale też dla poczucia więzi z wielowiekową i bliską nam historią. Więzy z rodakami, którzy po drugiej wojnie światowej zostali nad Niemnem, nad Gawią i w wielu innych miejscach Białorusi. Tata Dimy, Leonid, raz po raz zarzucał wędkę w miejscu, gdzie wczoraj jego drugi syn Oleg złowił dużego szczupaka. Ryby tego dnia były jednak ostrożniejsze.

Wróciliśmy do domu, gdzie czekali już na nas z herbatą, ciasteczkami i miodem, z zimnymi napojami. Trochę nadłożyliśmy drogi, aby przejść obok kaplicy pw. Matki Bożej Częstochowskiej, która została przerobiona z dużego wioskowego klubu. Mieszkańcy Mociewicz długo i stanowczo musieli o nią walczyć. Na drzwiach wejściowych wisiał plakat informujący o koronacji cudownego obrazu Matki Bożej Trokielskiej, w diecezjalnym sanktuarium Maryjnym Grodzieńszczyzny w Trokielch. Uroczystości zaplanowano na dzień 5 lipca, a my niestety tego dnia byliśmy już w domu.

Piliśmy herbatę, częstowaliśmy się dobrymi ciasteczkami, ja z Leonidem raczyliśmy się barbatnym¹⁵⁰ ludzkim piwem. Mama Dimy, Olga z domu Karczewska, urodziła się w Brzozówce nad Niemnem. Śpiewała w polskim chórze „Polonez” w Mińsku i jak powiedziała takich chórów działało tam kilka, a w samej stolicy mieszkało około dwadzieścia procent Polaków (ok. 36 000). Pani Olga ze swoim chórem wielokrotnie była w Polsce na różnych występach i festiwalach. Od niedawna miała Kartę Polaka potwierdzającą przynależność danej osoby do narodu polskiego.

Przyjemnie się rozmawiało i odpoczywało, ale przed nami była długa droga i musieliśmy już jechać. Dima z Aleną chcieli jeszcze zapalić znicze na grobie dziadka Dimy, Antoniego. Ja z mamą poszliśmy ponownie nad Niemen, ale w trochę innym miejscu. Staliśmy na wzniesieniu, poniżej którego rozpościerała się szeroka niemnowa dolina. Rzeka była oddalona od nas o jakieś trzysta metrów. Zieleniło się na niej kilka niewielkich wysp. Widok z góry jeszcze bardziej ukazał jej piękno i wzbudził w nas ciepłe uczucia. Chciałoby się jeszcze tak postać i napatrzeć do syta. No, ale cóż, strzeziennego już wypiliśmy, więc trzeba było ruszać dalej w drogę.

Pojechaliśmy na Różankę i Mosty. W Różance widzieliśmy przez chwilę kościół pw.śś. Piotra i Pawła. Został zbudowany z cegły i kamienia polnego w roku 1674. Przebudowano go w roku 1827 w stylu neogotyckim według projektu Henryka Marconiego¹⁵¹. Była to pierwsza neogotycka budowla na obszarze obecnej Białorusi. W Mostach ostatni raz spotkaliśmy się z Niemnem, który szybko migał nam między łukowatymi barierami mostu. W dalszej drodze odczytałem drogowy pokazywany kierunek na Zelwę. W tym miasteczku zmarła i została pochowana Łarysa Geniusz (brs. Hienijusz) z domu Mikłaszewicz. Białoruska poetka, emigracyjny polityk, osoba o tragicznym życiorysie.

Urodziła się 9 sierpnia 1910 roku w majątku Żłobowce niedaleko Wołkowyska. W roku 1928 ukończyła w Wołkowysku polskie gimnazjum. W 1935 roku wyszła za mąż za Jankę Geniusza i razem z nim wyjechała do Pragi. Mieszkali tam do roku 1948 prowadząc działalność polityczną i charytatywną wśród żyjących tam Białorusinów. Ich narodowe zaangażowanie polityczne było przeciwne sowieckiej Białorusi, za co oni sami i ich rodziny wiele wycierpieli. Kiedy 17 września 1939 roku Armia Czerwona zajęła nasze ziemie wschodnie, ojciec Łarysy został aresztowany i niedługo potem rozstrzelany. Jej matkę i dwie siostry zesłano do Kazachstanu, gdzie wkrótce zmarły. Jeden z braci Łarysy służył w armii Andersa i poległ pod Monte Cassino, drugi był w armii Berlinga i zginął w walkach o Berlin.

W marcu 1948 roku Geniuszowie zostali aresztowani i przekazani Związkowi Sowieckiemu. Łarysa przeszła ciężkie więzienia w kilku miastach. W 1949 roku wraz z mężem została oskarżo-

na o działalność wywrotową. Po budzącym wiele zastrzeżeń procesie małżonków skazano na dwadzieścia pięć lat łagrów. W 1956 roku zostali zwolnieni i zamieszkali w Zelwie będąc jednak pod ciągłą obserwacją służb specjalnych. Łarysie nie pozwolono nawet zobaczyć się ze swoim synem Jurkiem, który jako sierota wychowywał się w Białymstoku. Mimo ciągłego zagrożenia, w jej domu przez cały czas odbywały się spotkania białoruskich literatów, artystów i naukowców, którzy mieli mocną świadomość narodowej odrębności w odróżnieniu od zesowietyzowanej części społeczeństwa.

Łarysa Geniusz zaczęła pisać wiersze w gimnazjum, a debiutowała w emigracyjnej prasie białoruskiej w 1939 roku. Pierwszy tom poezji pt. „Z ojczystych pól” wydała w 1942 roku. Pisała także podczas odbywania kary, a jej utwory krążyły wśród więźniów. Po zwolnieniu z łagru została objęta całkowitym zakazem druku. Przez pewien czas mogła jedynie zajmować się twórczością dziecięcą oraz o innej tematyce, ale wszystko, co napisała było cenzurowane. W sowieckiej Białorusi dopiero w 1967 roku zezwolono jej na wydanie tomiku wierszy pt. „Niewodem z Niemna”.

Poetce nigdy nie wybaczone, że podczas wojny drukowała swoje utwory w Berlinie i zajętej przez Niemców Pradze. Nie wybaczone politycznego zaangażowania przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Poetka miała czeskie obywatelstwo i nigdy nie zgodziła się na przyjęcie obywatelstwa sowieckiego, mimo wielu próśb i gróźb. Dlatego chociaż na Białorusi, to w rzeczywistości umierała tak jak wygnaniec. Dotąd też nie została oficjalnie zrehabilitowana, chociaż w 1999 roku starał się o to Białoruski Komitet Helsiński¹⁵². Taka jest sowiecka, komunistyczna i współczesna sprawiedliwość ludzi rządzących na Białorusi. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam.

Podam teraz przykład człowieka wielce zasłużonego dla Mińszczyzny, który jednak dotąd nie znalazł uznania we władzach stolicy Białorusi, aby zostać upamiętniony przez nadanie jego imieniem nazwy jakiejś ulicy czy placu.

Edward Woyniłłowicz herbu Syrokomla urodził się 13 października 1847 roku w majątku Ślepianki koło Mińska (obecnie jest to w granicach miasta). Pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej spokrewnionej z rodami Wańkowiczów i Moniuszków. Edward Woyniłłowicz był wybitnym działaczem gospodarczym i społecznym swoich czasów.

Prezesował Towarzystwu Rolniczemu w Mińsku, zakładał wraz z innymi osobami Syndykat Rolniczy, Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Rolnych w Mińsku i Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Mińsku. Stworzył Towarzystwo Oszczędnościowo-Pożyczkowe w Klecku i był prezesem Towarzystwa Dobroczynności w Słucku. Założył komitetu w Klecku, mający na celu obronę praw Żydów i Tatarów. Posłował do rosyjskiej Dumy Państwowej i stał na czele koła Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi, a w latach 1907-1909 był członkiem rosyjskiej Rady Państwa.

Na początku XX wieku Edward Woyniłłowicz brał udział w białoruskich dążeniach narodowych i wspierał je finansowo. Był fundatorem pierwszego wydawnictwa białoruskiego „Zahlanie sonca i u nasza wakonca” („Zajrzy słońko i w nasze okienko”), czasopism „Łuczynka” („Łuczynko”) i „Sacha” („Socha”) oraz gazety „Nasza Niva” („Nasza Ziemia”). Wspierał powstanie Białoruskiej Republiki Ludowej w 1918 roku i początkowo należał do jej Rady. W jego domu w Słucku mieścił się sztab powstańców słuckich¹⁵³.

Edward Woyniłłowicz finansował budowy kościołów i cerkwi. Kiedy grypa hiszpanka zabrała jego dwoje dzieci, dwunastoletniego Szymona i niespełna dziesiętnastoletnią Helenę, postanowił wraz z żoną Olimpią z Uzłowskich, ufundować ku ich pamięci kościół w Mińsku pod wezwa-

niem świętych Szymona i Heleny. I tak w architekturze miasta pojawiła się pierwsza i bardzo piękna budowla w stylu neoromańskim. Jej mury postawiono z czerwonej cegły sprowadzonej spod Częstochowy, a dach został pokryty dachówką wyprodukowaną we Włocławku. Ze względu na kolor cegły świątynia, przez mieszkańców miasta, została nazywana Czerwonym Kościołem. Jej projektodawcą był Tomasz Pajzderski¹⁵⁴, a nadzór nad pracami sprawował Władysław Marconi¹⁵⁵. Budynek był wzorowany na kościele pw. św. Elżbiety znajdującym się w Jutrosinie w Wielkopolsce i zaprojektowanym przez tego samego architekta.

W 1918 roku bolszewicka nawała pozbawiła Edwarda Woyniłłowicza majątku i w dwa lata później zmusiła go do ucieczki do Polski. Traktat ryski praktycznie uniemożliwił mu powrót w rodzinne strony. Ten godny podziwu człowiek osiadł w Bydgoszczy, gdzie zmarł 16 czerwca 1928 roku.

Traktat ryski został podpisany w Rydze 18 marca 1921 roku między Polską a Związkiem Sowieckim. Była to umowa pokojowa, która zakończyła wojnę polsko-bolszewicką i ustaliła przebieg wspólnej granicy państwowej. Mimo zwycięstwa w tej wojnie i zajęcia Mińska, strona polska podczas rozmów zrezygnowała z sowieckiej propozycji złożonej półtora roku wcześniej. Wówczas to Lenin, Trocki i Czyczerin wystosowali depezę do Józefa Piłsudskiego z propozycją ustalenia linii demarkacyjnej dla Mińszczyzny wzdłuż linii: Dryssa, Dżisna, Połock, Parycze, Ptycz i Białokorowicze. Zostawiało to Mińsk i jego okolice po stronie polskiej. Tak się niestety nie stało i granica została wytyczona w odległości trzydziestu kilometrów na zachód i północny-zachód od miasta. Na tym terenie zostało około trzystu tysięcy Polaków, a za całą granicą wytyczoną traktatem ryskim od miliona dwustu tysięcy do półtora miliona. Mieli oni bardzo ograniczone prawo do ekspatriacji do Polski, a losy większości z nich zakończyły się tragicznie.

Powstające w ciągu wieków zabytki kultury polskiej: dworki, pałace, kościoły, ulegały stopniowemu i celowemu niszczeniu. Czego nie zburzyły bolszewickie hordy, stalinowskie okrutne lata trzydzieste, to dokańczyła sowiecka partyzantka i Armia Czerwona w czasie II wojny światowej, a przez długie lata powojenne polityka ateizacji i wynaradawiania w Związku Sowieckim. Niewielka część spuścizny kulturowej Wielkiego Księstwa Litewskiego przetrwała do naszych czasów. Jeżeli chodzi o kościoły katolickie, cerkwie, to dopiero lata pierestrojki przywróciły wielu świątyniom ich pierwotne funkcje.

Kościół pw. św. Szymona i Heleny został zwrócony katolikom Mińska w 1990 roku, a następnie przeszedł gruntowną rekonstrukcję. Znajduje się w samym centrum białoruskiej stolicy tuż obok budynku parlamentu i jest jedną z piękniejszych wizytówek miasta. Dzięki wytrwałym staraniom proboszcza kościoła, księdza Władysława Zawalniuka, w czerwcu 2006 roku prochy Edwarda Woyniłłowicza zostały przeniesione z Bydgoszczy do Mińska i złożone w kościele jego fundacji. Wreszcie powrócił do domu ten, który na pomniku nagrobnym bydgoskiego cmentarza miał wykute epitafium: „Traktatem Ryskim z swej ziemi wyrwany, deptać musiałem obce sobie łany”.

We wrześniu 2006 roku decyzją władz Mińska ulicy przy Czerwonym Kościele nadano imię Edwarda Woyniłłowicza. Jednak wobec sprzeciwu białoruskich komunistów została ona anulowana. To było dla tych panów za mało, że Woyniłłowicz tak mocno zasłużył się dla miasta i Ziemi Mińskiej. Dla nich chyba przede wszystkim wciąż był dumnym ziemianinem, obszarnikiem, który z pewnością uciskał biedne masy chłopskie. A już niedobrze było, że wspierał działania ekumeniczne kościoła. A jeszcze gorzej, że popierał narodowe dążenia Białorusinów i sam początkowo był w nie zaangażowany. Powinien przecież stać po stronie białoruskich komunistów, którzy będąc w bolszewickim obozie pewni byli swojego zwycięstwa w rządzeniu krajem,

nawet po trupach i po wielkim niszczeniu. To przecież bolszewicy nieśli największe dobro uciśnianym ludom. Nieśli – na bagnietach karabinów. Taka jest sowiecka, komunistyczna i współczesna sprawiedliwość ludzi rządzących na Białorusi. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Edward Woyniłłowicz nie może mieć swojej ulicy przy swoim kościele w Mińsku. Nie może – na razie jeszcze nie.

Szybko zbliżyliśmy się do Wołkowyska. Teren, przez który przejeżdżaliśmy miał lekko wznynne ukształtowanie, co dodawało mu swoistego uroku. W Wołkowysku jest druga po Grodnie polska średnia szkoła na Białorusi. Polska - oznacza to, że językiem wykładowym jest w niej język polski. Na Litwie polskich szkół różnego typu działa ponad sześćdziesiąt. Na Białorusi mieszka więcej Polaków niż na Litwie, a mają oni tylko dwie takie placówki.

Granice białorusko-polską przekroczyliśmy za Brzostowicą Małą. Ruch samochodowy był tam znacznie większy, niż kiedy wjeżdżaliśmy na Białoruś od strony Kuźnicy Białostockiej. Nie musieliśmy jednak czekać w żadnej kolejce, a odprawa graniczna była zupełną formalnością. Po polskiej stronie przejechaliśmy blisko tatarskich Krynek i skręciliśmy na Białystok. Następnie była Warszawa i o godzinie czwartej nad ranem wreszcie Poznań.

W niedzielny poranek 5 lipca zadzwoniła do mnie mama z wiadomością, że o godzinie jedenastej Radio Maryja ma przeprowadzić bezpośrednią relację z koronacji w Trokielach.

Diecezjalne sanktuarium Grodzieńszczyzny znajduje się w niewielkiej wiosce Trokiele, położonej siedemnaście kilometrów na północny-wschód od Lidy. W miejscowym, niewielkim drewnianym kościele jest łaskami słynący obraz Matki Bożej Trokielskiej. W Trokielach byłem kilkakrotnie, w tym trzy razy na tradycyjnym odpuszc Trokielance i wiem jak ogromne znaczenie ma ta mała wioska dla Polaków z Grodzieńszczyzny. To jest najważniejsze dla nich miejsce kultu maryjnego, gdzie wiara jest też nierozzerwalnie związana z polskością. O tym sanktuarium mówi się, że jest narodowym sanktuarium Polaków na Białorusi.

Kto nie jeździ na Białoruś, albo odwiedza ten kraj sporadycznie, będąc na lipcowej Trokielance dozna dużego i pozytywnego szoku. Zobaczy kilka tysięcy pielgrzymów w różnym wieku, wielu księży, zakonników i sióstr zakonnych. Ujrzy rozspiewaną młodzież, stojące wkoło kościoła konfesjonały, do których w długich kolejkach ustawiają się wierni potrzebujący oczyszczenia. Wokoło usłyszysz język polski i jest to takie uczucie, jak po zaciągnięciu się gwałtownie górskim powietrzem - zaszumi ci w głowie, a serce zacznie żywiej bić.

5 lipca 2009 roku w Trokielach zgromadziło się dwadzieścia pięć tysięcy pielgrzymów i przybył cały episkopat Białorusi. W uroczystej celebrze papieskie korony niósł kustosz sanktuarium ks. Paweł Goliński. Korony na głowy Matki Bożej i Dzieciątka Jezus nałożył ks. kardynał Kazimierz Świątek, któremu asystowali po bokach dwaj neoprezbiterzy¹⁵⁶. Kardynał miał przecież prawie dziewięćdziesiąt pięć lat. Jako dziecko był zesłany z rodziną na Syberię przez carat, dwa miesiące oczekiwał w celi śmierci w sowieckim więzieniu, a w 1944 roku został skazany na dziesięć lat łagrów.

Jesienią 2009 roku zmarł Henryk Kawecki, Heniuś, z rocznika 1930, młodszy od mojego taty o trzy lata. Mieszkał na końcu kolonii sobotnickiej nad Matruną, blisko drogi prowadzącej do Gieranion. Widać stamtąd było kapliczkę ze św. Nepomucenem, stojącą tuż przed wioską Kwiatkowce. Heniuś był trzeci w kolejności z pięciorga synów Feliksa i Teresy z Puciulów. Najstarszy Alfred, żołnierz I Armii Wojska Polskiego, zginął podczas forsowania rzeki Odry w 1944 roku. Wacław i Czesław byli w II Armii. Wacek zmarł kilka lat temu w Swarzędzu koło Poznania, Czesiek mieszkał w Bogatyni, a najmłodszy Andrzej w Lidzie.

W styczniu 2010 roku zmarł teść Janka, Stanisław Giełdziński. Miał osiemdziesiąt dwa lata. Pochodził z wioski Mielechy niedaleko Gieranion. Jego ojciec przyjechał w te strony z lubelskiego i tutaj założył rodzinę. Na pogrzebie, który odbył się na cmentarzu sobotnickim było osiemdziesiąt wianków¹⁵⁷.

Tuż przed Wielkanocą Janek z Irką sprzedali krowę. Nie będą już więcej chować krów. Za dużo przy nich jest pracy, a mleko codziennie można kupić w miasteczku.

Ten rozdział został napisany naprędce i wygląda jak rozrzucone klocki z układanki. Można je dopasować do całości, gdyż dla każdego z nich jest miejsce w tej książce. Rozdział ten nazwałem „Zakończenie”. Ale zakończenia nigdy nie będzie.

Lipień 2010

(08.07.2010-16.07.2010)

Tego wyjazdu nie planowałem, co do terminu, a że to nastąpiło prawie na początku lipca, to może była wina upału, który chciałem lepiej znieść nad chłodnymi wodami Gawii. To także była chęć wyrwania się z Poznania w zupełnie inne, ale bliskie mi środowisko. Zresztą już od wielu lat, każdy mój urlop powyżej siedmiu dni był podróżą na wschód.

Kiedy w Białymstoku skręciłem w ulicę Elektryczną, przy której znajdował się konsulats Białorusi, nie wierzyłem własnym oczom. Przed budynkiem nie było żadnej kolejki. Przez chwilę sądziłem, że pomyliłem ulicę, ale nie, to była Elektryczna. Jeszcze lepiej mi poszło w samym konsulacie. Złożyłem wniosek i po dwóch godzinach przyszedłem odebrać swój paszport.

Z Białegostoku do Grodna dostałem się autobusem, a stamtąd pojechałem do Lidy takim nielegalnym przewoźnikiem z samochodem osobowym. Ciocia Władzia powiedziała mi, że u nich też panują upały, a samo miasto przygotowuje się do centralnych dożynek, które mają odbyć się we wrześniu – wierasniu, i zapraszała mnie na te wydarzenie do Lidy. W sobotę w Lidzie miało się odbyć poświęcenie nowego kościoła pw. św. Rodziny, którego budowniczym i proboszczem był ks. Józef Hańczyc. Niestety ze względu na krótki czas pobytu na Białorusi nie mogłem być na tej uroczystości.

Na rejestrację do Iwia zawiózł mnie samochodem Władek, syn kuzyna Witka. Miał dwadzieścia trzy lata i był w wieku mojego młodszego syna Michała. Dawno go nie widziałem. Nieprawdopodobnie wyrósł, miał prawie dwa metry, i był bardzo szczupły. Te cechy zewnętrzne nie przeszkadzały mu w pracy, jaką od niedawna już samodzielnie wykonywał – kierowcy tirów. Z Iwia odebrał mnie jak zwykle Janek, który przyjechał do powiatu w celu opłacenia ubezpieczenia zdrowotnego, potrzebnego przy wjeździe do Polski. Miesiąc temu wraz z żoną Ireną po raz pierwszy zostali dziadkami. Rok temu z ich córką Aleną i zięciem Dimą Jabłońskimi wracaliśmy z mamą do Polski, zatrzymując się na krótko w Mociewiczach nad Niemnem. Od tamtego czasu Alena i Dima zamieszkali we Wrocławiu, gdzie przyszła na świat ich córka Agatka. Młodzi małżonkowie poznali się nie na Białorusi, ale w Polsce, w Poznaniu na Zlocie młodzieży polonijnej „Orle Gniazdo”, organizowanym przez Wspólnotę Polską. A dlaczego wybrali Wrocław na miejsce swojego nowego osiedlenia? Byli tam wspólnie parę razy i bardzo im się spodobał.

Na kolonii u Zosi było bez zmian, co do warunków życia i stanu zdrowia. Za to w naszym kościele dobiegał remont starych organów ufundowanych w 1809 roku przez Jakuba Umiastowskiego, dziadka hrabiego Władysława. Powiedział mi o tym ojciec Franciszek, którego odwiedzi-

łem w sobotnie przedpołudnie. Z Polski kilka razy przyjeżdżał konserwator, który także naprawiał organy w innych parafiach Grodzieńszczyzny.

Ostatnimi miesiącami nasz kościół był celem częstych wycieczek turystów, głównie ze stolicy Białorusi. O zainteresowaniu świątynią przekonałem się sam, kiedy po wyjściu z plebanii zobaczyłem jakiegoś mężczyznę robiącego zdjęcia sakralnej budowli. Był to profesor Włodzimierz Fatiejew, ekonomista z Mińska, który amatorsko interesował się historią i raz w roku przyjeżdżał w okoliczne strony, za każdym razem zwiedzając coś nowego. Przekazałem mu trochę informacji o historii kościoła i naszego miasteczka, i zaprosiłem do Sobotnik w pierwszą niedzielę października, na święto Matki Bożej Różańcowej, największy fest w naszej parafii. Już później, po powrocie do Polski, otrzymałem od niego kilka zdjęć, jakie zrobił w Sobotnikach i Lipniskach.

Remontowane organy zagrały na niedzielnej mszy świętej. Przed jej rozpoczęciem, przy bramie wejściowej na teren kościoła, rozwiesiłem moją wystawę fotograficzną przedstawiającą historię Sobotnik. Ucieszyłem się, kiedy mogłem ją zaprezentować nowym osobom.

Na mszy był mój rówieśnik Czesław Wasilewski, który przyjechał z synem Eugeniuszem w odwiedziny do mamy, do rodzinnej wioski Huta. Od wielu lat mieszkał w Lidzie, a Giena był na drugim roku historii mińskiego uniwersytetu. Kiedy w pytaniu do niego zażartowałem, jakiej historii się uczysz, białoruskiej czy sowieckiej, odpowiedział jego ojciec, że dopilnuje, aby białoruskiej.

Czesiu rozmawiał ze mną po białorusku, ale nie czuł się Białorusinem, lecz Licwinem. Uważał się za świadomego spadkobiercę tradycji i historii Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego najważniejszą częścią były ziemie obecnego państwa białoruskiego. Wielu Białorusinów czuje się w sercu Licwinami nazywając Litowcami tych mieszkańców Litwy, którzy tak naprawdę są Żmudzinami, a nazwy Litwini i Litwa niesłusznie sobie przywłaszczyli.

W naszej polskiej historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów odpowiednikiem Licwina jest Litwin, czyli mieszkaniec historycznego kraju zwanego Litwą, który tak jak i kraj mają niewiele wspólnego z dzisiejszym państwem litewskim i jego narodem. Współczesne białoruskie określenie Licwina i historyczne polskie Litwiną są więc do siebie bardzo podobne.

Czesiu, powołując się na współczesną książkę białoruskiego historyka Wadima Derużyńskiego pt. „Tajemnice białoruskiej historii”, powiedział mi, że do roku 1840 nie było żadnej Białorusi tylko Wielkie Księstwo Litewskie nazywane w skrócie Litwą. Rosyjskie słowo Białorusin miało wówczas znaczenie czysto religijne, inne niż obecnie. Nazywano nim noworusa, ale to nie oznaczało nowego Rosjanina, lecz człowieka, który zdradził swoją wiarę i przyjął wiarę Moskwy. Białorusini - tak mówiono o tych Ukraińcach, Litwinach, Polakach i Żydach, którzy wyrzekli się swojej wiary, przeszli na prawosławie pod zwierzchnictwo cerkwi moskiewskiej i złożyli wierнопoddaną przysięgę carowi, jako pomazańcowi bożemu..

Czesiu powiedział mi także o tym, że wcześniej nie rozumiał, dlaczego jego dziadek i tata nigdy o sobie nie mówili, że są Białorusinami i sami też do końca nie czuli się Polakami. Dopiero niedawno wszystko stało się dla niego jasne, wszystko ułożyło się na swoim miejscu. Czesiu utwierdził się w przekonaniu, że jego przodkowie byli zupełnie nieświadomi tego, że są prawdziwymi Licwinami instynktownie odczuwając, że nie są Białorusinami.

Uważam, że idee zawarte w książce Derużyńskiego i poglądy Czesia są w jakimś stopniu nawiązaniem do dawnej idei krajowej, której jednym z głównych autorów i gorącym zwolennikiem był Józef Mackiewicz¹⁵⁸. Bardzo trafnie jego osobę ocenił Czesław Miłosz: „Nie umiałbym go sobie wyobrazić jako literata Warszawy czy Krakowa. Mieszkał w mieście (tj. w Wilnie), które

było dla niego nadal stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego i był tego kraju patriotą”.

Gdybyśmy nie wyjechali do Polski, to może odczuwałbym to samo, co Czesiu i razem moglibyśmy wołać „Litwo, ojczyzna moja!”.

O ziemiach Wielkiego Księstwa w bardzo uczuciowy sposób wypowiedział się urodzony na Mińszczyźnie Michał Ksawery Pawlikowski¹⁵⁹: „(...) Ziemia ta jest naszą ziemią. Mamy ją w nozdrzach, oczach i uszach. Czujemy ją w każdym uderzeniu serca, soki jej bowiem tętnią w naszych żyłach. (...) Bo ona jest w nas”.

Ja w swoich książkach używałem podobnych słów w odniesieniu do mojej małej ojczyzny, a w sercu noszę takie same uczucia.

Pawlikowski uważał się za jednego z ostatnich Litwinów, mieszkańców Polski, albo inaczej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, lub historycznej Litwy, która skonfederowana z Koroną¹⁶⁰ stanowiły jedno państwo. Takich nazw tych ziem używano wymiennie jeszcze na początku dwudziestego wieku. Pisarz był przeciwny zawężeniu pojęcia „Litwa” do niewielkiego obszaru byłej guberni kowieńskiej, na którym w 1918 roku powstało państwo o takiej nazwie. I był przeciwny nowemu pojęciu „litewski”, które zostało ograniczone do około miliona ludzi posługujących się tylko językiem litewskim.

W spisie powiatu Wołożyn z 1921 roku, do którego wówczas należała nasza gmina, na 191 mieszkańców Huty 50 osób podało się za Białorusinów. Czesiu wypytał o nich starszych mieszkańców rodzinnej wioski, ale nikt nie wiedział, którzy hutczenie mieli być tymi Białorusinami i skąd ich tytu się znalazło. Chociaż jednego Andruszkiewicza tak nazywali, a dlatego, że należał do jakiejś bolszewickiej organizacji i przez cały czas krzyczał „Za mną 170 milionów!”.

Trudno jest dzisiaj zinterpretować ten spis i sprawdzić jego wiarygodność. Nasza gmina była wówczas większa niż obecnie. Należały do niej wioski, które teraz znajdują się w sąsiednich gminach (Annopol, Baradyny, Galimszczyzna, Machały, Nackowicze, Sakowicze), a także te, dla których czas istnienia okazał się niełaskawy. Były to bardzo małe wioski, niewielkie folwarki i majątki, okolice szkacheckie i zaścianki (Icowszczyzna, Kropowo, Luszniowo, Łyntupka, Nacowszczyzna, Pogawja, Sałasowo, Tarucki Bór, Trypla).

W 1921 roku gmina Sobotniki liczyła 6626 mieszkańców, z czego 6165 podało się za Polaków, 406 za Białorusinów i 55 za Żydów. Jeżeli chodzi o wyznanie, to 6518 osób w tym 372 Białorusinów uważało się za katolików, 34 za prawosławnych, 7 za ewangelików, 55 za Żydów i 12 za maołmetan. W gminie było 10 zamieszkałych miejsc na w sumie 61, w których osoby podały narodowość białoruską w spisie z 1921 roku.

Rozmieszczenie owych Białorusinów wyglądało na zupełnie przypadkowe. W wioskach Annopol, Czechowce i Dowgiałowszczyzna wszyscy mieszkańcy się za nich podali. W Borowikach na 155 osób za Białorusinów uważało się 141, w Galimszczyźnie na 43 osoby było ich 10, w folwarku Pogawia na 8 osób było 5 Białorusinów, w Rudzewszczyźnie na 157 tylko jedna, w Wasilewiczach na 33 osoby też jedna i podobnie było w Trypli, gdzie dodatkowo 12 mieszkańców uważało się za maołmetan.

Po południu poszedłem na cmentarz, ale nie robiłem porządków przy rodzinnych grobach zostawiając to na inny dzień. Za to pierwszy raz przywitałem się z Gawią i zażyłem przyjemnej ochłody w jej wodzie. Na moście na Gawii spotkałem Andrzeja Wasilewskiego. Akurat wracał z grzybów, ale ze słabym rezultatem. Andrzej mieszkał w Mińsku i pracował jako tłumacz języka niemieckiego. Jego pradziadek Michał Tuczowski „Michałek” otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militarii V klasy za udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Kserokopię zdjęcia

pradziadka z tym orderem Andrzej przykleił do jego pomnika nagrobnego i zabezpieczył specjalną plastikową osłoną. Andrzej od pewnego czasu interesował się przebiegiem I wojny światowej w naszych stronach i niedawno znalazł informację, że niedaleko wioski Girowicze znajduje się zbiorowa mogiła żołnierzy niemieckich z tego okresu.

U cioci Janki Albinowej, żony stryja Albina, przebywało na wakacjach troje wnuków, synów moich kuzynek. Wadim, syn Alicji, z dobrymi wynikami zdał egzaminy i złożył papiery na informatykę, na wyższą uczelnię w Mińsku. Piętnastoletni Aleksander, syn Ireny, chciałby być prawnikiem, a jego ośmioletni brat Grigorij, zwany Goszą, bardzo pragnął popłynąć łódką po Gawii, tak jak ja ze starszymi chłopcami parę lat temu. Było nas czworo, ale mieliśmy do dyspozycji żółty ponton i czerwony kajak. Następnego dnia napompowaliśmy obydwie łódki koło chaty cioci, w celu sprawdzenia ich szczelności, i ruszyliśmy pieszo w kierunku Szarkuć. Spływ rozpoczęliśmy przy końcu wioski od znanej już nam łachy piasku. Wadim i Olek popłynęli kajakiem pierwsi, a ja z Goszą pontonem za nimi. Gosza nie umiał pływać i dla swojego bezpieczeństwa miał na sobie dziecięcy kapok. Aby nie oddalać się zbyt daleko od drugich związaliśmy tył kajaka z przodem pontonu kawałkiem sznurka. Wody w Gawii było pod dostatkiem i nie hamowały naszego spływu żadne płycizny. Po drodze parę razy robiliśmy przerwy, aby się wykapać. Tak jak w poprzednich wyprawach po Gawii spotkaliśmy nad jej brzegiem stado wioskowych krów, które pilnowała młoda dziewczyna o rudych włosach. Ubrana była w dwuczęściowy strój plażowy i ćwiczyła jakieś wolne, jakby taneczne ruchy. Wcale się jednak nie spieszyła, kiedy nas niespodziewanie ujrzała, a na powitanie uśmiechnęła się i przyjaźnie pomachała rękami.

My płynęliśmy dalej pędząc przed sobą parę łabędzi, aż znikły nam zupełnie z oczu. Podobnie jak czapla siwa, która została zaskoczona niespodziewanym wypłynięciem naszej armady z zakola Gawii. Ptak niespiesznie poderwał się i dostojnie machając długimi skrzydłami, odleciał nisko nad wodą w dół rzeki. Bez przeszkód przedostaliśmy się przez pozostałości niewielkiego drewnianego mostu na wysokości Rybak, i po przepłynięciu jeszcze kilkudziesięciu metrów, w dogodnym miejscu, wyszliśmy na brzeg. W niewielkiej odległości przed nami było nasze miasteczko.

W środę Janek z żoną mieli jechać samochodem do Grodna, do polskiego konsulatu, w celu złożenia wniosków wizowych na wyjazd do Polski. To był także dzień mojego odjazdu z miasteczka. Janek zaproponował mi wspólną podróż do Woronowa, dwadzieścia osiem kilometrów na zachód od Sobotnik. Dalej niż do Iwii, ale z Woronowa było bliżej do Lidy i autobusy częściej kursowały. Zgodziłem się tym bardziej, że nigdy nie jechałem tą trasą.

Wyjechaliśmy rano o wpół do siódmej. Szeroką szutrową drogą przejeżdżaliśmy przez zachodnią część naszej gminy. Wpierw wzdłuż kolonii nad Matruną, gdzie jeszcze trzymała się ziemi chata naszych dziadków Niechwiadowiczów. Na końcu tej części kolonii było opuszczone już gospodarstwo Henryka Kaweckiego, a po chwili, tuż przy wiosce Kwiatkowce, pojawiła się kapliczka ze św. Nepomucenem. We wsi nic się nie zachowało z przedwojennego majątku Ciemniewskich.

W 1915 roku Kwiatkowce w posagu ślubnym wniosła do małżeństwa z Marianem Ciemniewskim Emilia Umiastowska, córka Mariana i Marii z Narzymskich. Jej ojciec był prawnikiem Jakuba Umiastowskiego i swego czasu także właścicielem Sobotnik. Z kolei ojciec Mariana, Emil, był najbliższym kuzynem hrabiego Władysława.

Z Kwiatkowców pochodził Wiktor Białous, obrońca Westerplatte¹⁶¹ w 1939 roku. Na Półwysp Hel przybył 7 sierpnia 1939 roku w grupie siedemnastu strzelców, wybranych z pułków stacjonujących na Wileńszczyźnie. Brał udział w obronie placówki „Prom” i wartowni nr 1. Był kontuzjowany i lekko ranny, trafił do niewoli. W 1946 roku w ramach repatriacji przyjechał do

Polski, zmarł we Fromborku w 2001 roku.

Przed kapliczką skręciliśmy na Jodzieńce. Z drogi po lewej stronie widzieliśmy wioskę Pietrymanowszczyzną, gdzie ciocia Zosia wyszła za męża, i Ślesary, w których zamieszkała ciocia Janka, siostra mojego taty, gdzie urodził się Janek i jego rodzeństwo. Przejechaliśmy obok Kudejsz.

Kilka lat temu zamknięto tutaj dziewięcioletnią szkołę, której początki powstały w przedwojennej Polsce. W pobliskich wioskach nie było wystarczającej ilości dzieci, aby można je było uczyć na miejscu. Nie było dzieci, ponieważ te wioski w przeciągu paru dziesiątków lat mocno się wyludniły. W Kudejszach w roku 1940 było około trzystu trzydziestu mieszkańców, a w roku 1999 już tylko siedemdziesięciu czterech. W wiosce Ślesary, z której dzieci chodziły do szkoły w Kudejszach, w roku 1940 było stu dziewięćdziesięciu jeden mieszkańców, a w roku 1999 już tylko pięćdziesięciu siedmiu, w większości emerytów plus kilku starych kawalerów - chałasciaków. Obecnie po jedenastu latach jest ich zapewne jeszcze mniej. Te nieliczne dzieci, które są w tej części naszej gminy, dowozi się busem do szkoły w Sobotnikach.

Opuściliśmy naszą gminę. Przed nami były tylko Mielechy i już wjeżdżaliśmy do Gieranion. Trochę powyżej miasteczka znajdowały się Mikszewicze, skąd pochodził Janka teść Stanisław Giełdziński i gdzie założył swoją rodzinę. Ale jego ojciec zawędrował w te strony z lubelskiego.

Gieraniony były większe od Sobotnik i prężniej się rozwijały, a tym samym miały więcej do zaoferowania młodym ludziom po szkole. Niedawno, podczas remontu kościoła parafialnego pw. św. Mikołaja, barokowego z 1523 roku, odkryto na suficie nieznane freski. Może ten fakt bardziej mnie zmobilizuje, aby przyjechać z wizytą do ks. Andrzeja Łysego.

Z Gieranion wyjechaliśmy na niezłą asfaltową drogę prowadzącą do Trokiel, ale po minięciu Tułanki, na wysokości Tryszok, skręciliśmy w prawo na Pierogańce. Jechaliśmy także po dobrym asfalcie pośród wysokiego i gęstego iglastego lasu. Po kilku minutach widać było kościół w Hermaniszkach nad rzeką Żyżmą, którą kiedyś spławiano drewno do Gawii i dalej do Niemna.

Pierwsza świątynia w Hermaniszkach, drewniana, została ufundowana w roku 1559 pod wezwaniem świętej Trójcy i to miano nosi po dziś dzień. W 1909 roku ukończono budowę nowego kościoła wymurowanego w dużej części z kamienia. W 1965 roku został on zamknięty przez komunistyczne władze. Kościół zwrócono wiernym w roku 1987 i wkrótce pojawili się tutaj księża pallotyni¹⁶² z Polski. W 2000 roku na nowo poświęcili świątynię i nadal pracowali w tutejszej parafii. Byli już wśród nich wychowankowie pochodzący z Białorusi, w tym jeden miejscowy.

Anna Appelbaum¹⁶³ w swojej książce pt. „Między Wschodem a Zachodem. Przez pogranicza Europy”, jeden z rozdziałów zatytuowała „Hermaniszki”. Może autorka poszukiwała tutaj także swoich żydowskich korzeni?

Z Hermaniszek do Woronowa był żabi skok. Janek podwiózł mnie na dworzec autobusowy, gdzie pożegnaliśmy się i oni pojechali dalej. Blisko dworca znajdował się kościół parafialny pw. św. Apostołów Judy i Tadeusza i miejscowy cmentarz. Kościół został wybudowany w 2000 roku na miejscu drewnianej świątyni z roku 1735, zniszczonej przez komunistów w roku 1967. Pracowali w nim również pallotyni, którzy swoją misję w Woronowie rozpoczęli w 1990 roku, od przekształcenia byłego sklepu monopolowego na czasową kaplicę. Dekretem prezydenckim z 17 lipca 2006 roku miasto otrzymało herb i flagę. Miało bardzo dogodne położenie na szlakach komunikacyjnych wiodących do Grodna, Wilna, Lidy i Mińska.

Wszedłem do dworcowego budynku i podszedłem do kasy biletowej, przy której siedziała około czterdziestoletnia postawna pani. Zapytałem ją, specjalnie po polsku, o najbliższy autobus do Lidy. Chciałem sprawdzić, czy rzeczywiście większość tego miasta i całego rejonu tworzą

Polacy. I jakże było mi miło usłyszeć w naszym języku, nawet bez kresowego akcentu, potwierdzenie tego faktu. Wyszedłem na zewnątrz i usiadłem na ławce. O godzinie ósmej, do której brakowało dwudziestu minut miałem autobus, rzeczywiście szybciej niż z Iwia.

Tak sobie siedziałem, kiedy moje oczy dojrzały białe kociątko z paroma szarymi plamkami na futerku. Przykucnęło niedaleko mnie i smętnie oczekiwało na rozwój wydarzeń. Ludzie w różnym wieku przechodzili obok i żaden się kociakiem nie zainteresował, nie nachylił się, aby je pogłaskać, nie wyjął z torby okruszka jedzenia. Zawołałem malca, a on ufnie do mnie podbiegł. Wziąłem go na ręce i przytuliłem do kolan, głaskałem delikatnie i po chwili kotek usnął wtulwszy pyszczek między moje nogi. Dobrze nam się tak siedziało, ale podjechał mój autobus i musiałem maluszka opuścić na ziemię. Rozbudził się i jeszcze przez chwilę tulił się do moich nóg, a ja niestety nie mogłem go zabrać ze sobą. Wierzyłem jednak, i byłem o tym przekonany, że św. Franciszek opiekuje się tym stworzeniem i postawi na jego drodze życzliwych ludzi.

Autobus był koloru żółtego i niedużej wielkości. Mikro autobus, jak go tam nazywano. Większość pasażerów stanowiły starsze panie, które ubrane były jak na wyprawę do lasu i każda z nich miała ze sobą plastikowe wiadro. Z ich rozmowy wynikało, że jechały na jagody, a życzliwy kierowca wysadził je po drodze w miejscu przy lesie, które mu wskazały. W autobusie panowała dobra atmosfera, którą w znacznej mierze wytwarzał kierowca, bardzo szczupły i niewysoki mężczyzna o rzadkich ciemnoblonde włosach. Odpowiadał na wszelkie pytania pasażerów, doradzał pewnej kobiecie, gdzie najlepiej wysiąść w rozkopanej Lidzie, aby znaleźć się blisko określonego miejsca. Później, już w samym mieście, kluczył tylko sobie znanymi uliczkami, koło jakichś ogrodów ze starymi drewnianymi domami, aby jak najprędzej dowieźć nas na dworzec autobusowy.

Ale wpraw opuszczaliśmy Woronowo. Jechaliśmy bardzo dobrą asfaltową drogą, która łączyła Lidę z Wilnem poprzez przejście graniczne, drogowe i kolejowe, w Bieniakoniach. Przy tamtejszym kościele pw. św. Jana Chrzyciela spoczęła w grobie Maryla Puttkamer z domu Wereszczakówna¹⁶⁴. Z Bieniakoń do Sobotnik były trzydzieści dwa kilometry.

Pierwszą, wartą wspomnienia, miejscowością po drodze do Lidy były Bastuny, ze stacją kolejową też na szlaku Lida-Wilno. To na tę stację w 1894 roku Tatar Aleksander Sulkiwicz¹⁶⁵, bliiski towarzysz Józefa Piłsudskiego, przywoził pierwsze numery „Robotnika” wydrukowane w Lipniskach. Zakazana bibuła była rozprowadzana dalej na terenie Królestwa Polskiego¹⁶⁶.

Drugą ciekawą miejscowością były Żyrmuny z drewnianym klasycystycznym kościołem pw. Znalezienia Krzyża Świętego, obok którego przejechaliśmy. Świątynia została ufundowana przez księcia Stanisława Radziwiłła, a jej projektantem był Jan Podczaszyński, nadworny architekt Radziwiłłów. W Żyrmunach urodził się jego syn Karol, który także został architektem, profesorem tego kierunku na Uniwersytecie Wileńskim. Był pierwszym Polakiem, który studiował architekturę w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu i jako jeden z niewielu, już w roku 1821, doznał znaczenia wzornictwa przemysłowego. Linię zawodową ojca i dziadka kontynuował Bolesław, profesor w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie.

I tak szybko i bardzo ciekawie dojechaliśmy do Lidy.

Na lidzkie dożynki miał przyjechać sam baćka, jak żartobliwie nazywano na Białorusi prezydenta Aleksandra Grigorijewicza Łukaszenkę. Z tego powodu w centralnej części miasta trwały różnorodne prace budowlane, remontowe oraz inwestycyjne. Setki pracowników układało kostkę brukową na chodnikach, skwerach i placach, stawiało nowe krawężniki, wymieniało nawierzchnię asfaltową na ulicach, odnawiało i wykonywało nowe elewacje na frontach stojących przy nich budynków mieszkalnych, sklepów i urzędów.

Podobnie było podczas organizacji centralnych dożynek w Polsce, na których głównym gospodarzem był zawsze i aktualnie panujący I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, nieformalna głowa państwa. Odnawiano fronty budynków, ale już za nimi pozostawał ten sam obraz starych podniszczonych domów, dziur i strzępów asfaltu na wewnętrznych uliczkach osiedlowych. Tak samo było w Lidzie.

Niektóre budynki znajdujące się w historycznym centrum Lidy, jak kościół farny, były na zewnątrz odnawiane w całości. Świątynię otaczała pajęczyna drewnianych rusztowań. Trwały także prace przy układaniu nowego i bardzo ładnego poszycia dachowego z blachy w kolorze złotobrazowej miedzi. Tuż obok na zamku pamiętającym czasy, kiedy Lida była stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego w 1323 roku, odbudowywano jego zewnętrzne mury. Po deszczu i niewielkiej burzy, które godzinę temu przeszły nad miastem, na niebie pojawiła się kolorowa wstążka tęczy - wiasiołki, obejmując swoimi ramionami fałę i zamek.

Uniwersam znajdujący się obok cioci Władzi był zamknięty i także remontowany, a właściwie przebudowywany, po wykupieniu go przez prywatnego przedsiębiorcę z Brzeźcia. Ma to być najnowocześniejszy market w mieście z własną mini piekarnią, produkcją garmazetki oraz różnego rodzaju sałatek i surówek. Nowy właściciel posiadał już trzydzieści trzy podobne placówki na terenie Białorusi, co w realiach gospodarczych i politycznych tego kraju nie było czymś zwyczajnym i prostym do osiągnięcia. Ciekaw byłem czy przed tym nowym obiektem też będą stały pojedyncze osoby i sprzedawały skromne ilości warzyw, owoców i nabiału ze swoich przydomowych gospodarstw, tak jak to było przed starym uniwersamem.

Ciocia codzienne zakupy robiła trochę dalej w niewielkim markecie z sieci „Euroopt”. Także w tym miejscu przez wiele lat funkcjonował państwowy sklep spożywczy - produktowy mahazın, który został przejęty przez Litwina. Nieduża powierzchnia lokalu była bardzo dobrze zaopatrzona w artykuły rodzime oraz importowane, a codzienne dostawy towaru i sporo osób kupujących świadczyły o tym, że „Euroopt” cieszył się sporym powodzeniem.

Wspominałem wcześniej, że na rogatkach Lidy, gdzie zwykle wsiadam na autobus jadący do Sobotnik, powstaje kryte lodowisko do sportów zimowych. Tuż przy nim, na miejscu dużego bazaru i parkingu samochodowego, trwały zaawansowane prace przy budowie stadionu lekkoatletycznego. Jak powszechnie na Białorusi było wiadomo, prezydent Łukaszenka jest zapalonym sportowcem i hokeistą numer jeden w swoim kraju. I z pewnością osobiście przetnie wstęgę otwierającą ten kompleks sportowy.

Idąc od cioci ulicą Tawłaja w kierunku centrum, z przedwojennych Roślaków, przeszedłem przez niewielki most na rzeczce Lidziejce. Po jego lewej stronie wąską strugę Lidziejki poszerzono, a kawałek dalej rozkopano do sporej wielkości prostokąta. Nad tym niewielkim akwenem wodnym ma powstać restauracja z częścią konsumpcyjną, także nad otwartym powietrzem, ze sceną do różnego rodzaju występów artystycznych. To miejsce, niedaleki kurhan „Nieśmiertelnych” – park upamiętniający bohaterów II wojny światowej, który przecinany był nową siecią spacerowych alejek, bliskie centrum historyczne miasta z hotelem „Lida”, będą ciekawą atrakcją dla krajowych i zagranicznych turystów.

Dwa dni przed moim odjazdem z Lidy do domu, nad miastem przeszła duża burza z ulewnym deszczem. Słabo ukorzenione i czasami w nieodpowiednim miejscu posadzone drzewa wierzby iwy z łatwością poddały się tej nawałnicy. Na terenie przedszkola znajdującego się tuż obok bloku cioci Władzi, przy ogrodzeniu, rósł rząd wysokich jesionów. Kilka z nich nie wytrzymało nawałnicy i powaliło się na blok cioci. Na szczęście upadek drzew zamortyzowało solidne metalo-

we ogrodzenie przedszkola. Drzewa, chociaż gałęzmi oparły się o mury budynku, nie uszkodziły żadnych okien. Nazajutrz w tym miejscu pojawili się robotnicy z piłami spalinowymi, obcięli gałęzie a pnie poprzecinali na mniejsze kawałki. Później, mimo że padał deszcz, przyjechał niewielki traktor z przyczepą, na którą pracownice gospodarcze przedszkola ładowały gałęzie.

Połowa lipca to były dni, kiedy powoli kończył się czas zbierania jagód w lesie. Ciocia Władzia z koleżankami prawie codziennie jeździła na jagody pociągiem Lida-Mołodeczno w okolice Wodoli, południowego krańca sobotnickiej gminy. Każda z pań przywoziła pełne wiadro jagód. Aby je nazbierać trzeba było spędzić w lesie cały dzień w upale, w atakujących komarach i wśród kleszczy. Kobiety od razu po powrocie oddawały jagody do punktu skupu, który znajdował się niedaleko dworca kolejowego. Kilogram leśnych owoców kosztował około sześciu tysięcy białoruskich rubli, w wiadrze było sześć kilogramów, co w sumie w bardziej konkretnej walucie wynosiło około osiemnastu dolarów. Był to istotny dodatek finansowy do niewielkich emerytur ciotki i jej koleżanek. W punkcie skupu przyjmowano także kurki w cenie ośmiu tysięcy rubli za kilogram.

W moim ostatnim dniu tego pobytu na Białorusi spotkałem się na mieście z Leonem Lauresem i Olkiem Kołyszka. Leo, mimo obowiązków zawodowych, zawsze znajdował czas na swoje zainteresowania historyczne, a ich rezultaty były prawie profesjonalne. Ostatnimi miesiącami w kręgu jego poszukiwań, a także pracy pisarskiej, znalazły się postacie Marcina Poczobutta-Odolanickiego¹⁶⁷, Franciszka Milkont-Narwoysza¹⁶⁸ i księdza Dionizego Chlewińskiego¹⁶⁹. Natomiast Olek interesował się osobą Konstantego Antoniego Gorskiego¹⁷⁰, który urodził się w Lidzie a zmarł w Poznaniu, w moim mieście. Może więc będę mógł Olkowi coś pomóc w jego poszukiwaniach.

Akurat Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej (TKPZL), któremu prezesował Olek, miało poważny problem. Jak co roku w czasie wakacji letnich, TKPZL chciało wysłać na odpoczynek do Polski, tym razem do Kudowy-Zdroju, grupę dzieci z Lidy. Pierwszy raz zdarzyło się, że polski konsulat w Grodnie omówił wydania bezpłatnych wiz dzieciom. Te, które ich nie posiadały, miały za nie zapłacić po trzydzieści pięć euro od osoby. Rodziny dzieci i tak ponosiły pewne koszty wyjazdu swoich pociech, a dodatkowe obciążenie finansowe mogło spowodować rezygnację niektórych z nich z wakacji w Polsce.

Po przyjeździe do Poznania napisałem w tej sprawie e-maila do naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wydawało się, że sprawa zostanie pomyślnie załatwiona, ponieważ Olek poinformował mnie, że mogą składać wnioski wizowe w grodzieńskim konsulacie. Jednak kiedy jego koleżanka zjawiła się na miejscu okazało się, że dzieci powyżej dwunastego roku życia muszą za wizy zapłacić.

Nie znam polskich przepisów konsularnych, ale uważam, że żądanie wiz od dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia nie tylko z dawnych Kresów Wschodnich, ale także z innych państw jest nieporozumieniem, nie jest zachętą do odwiedzania Polski, do naocznego i namacalnego przeżycia piękna spotkania z krajem skąd nasz ród.

Olek zapytał mnie czy byłem w Żemłosławiu i wiem, co się tam dzieje. Odpowiedziałem, że miałem za mało czasu, aby odwiedzić wszystkie miejsca, które chciałem, spotkać się z tymi ludźmi, z którymi planowałem, porozmawiać z nimi o tym wszystkim, o czym myślałem przed podróżą. I Olek powiedział mi o tym, że ostatni oryginalny piec kaflowy, pamiętający czasy Umiastowskich, został zniszczony, a jego kolorowe zdobione kafle walały się po podłodze i każdy mógł je sobie zabrać.

No cóż, nie odniosły skutku moje pisma kierowane do Ministerstwa Kultury Białorusi kilka lat temu, a do nowego szefa resortu mój list polecony z lutego tego roku nie dotarł. Wysłałem go jeszcze raz na parę dni przed wyjazdem i powtórzyłem to, ale już z poczty w Sobotnikach. Ciekaw byłem czy tym razem pisma doszły i czy otrzymam na nie jakąś odpowiedź.

Pałac w Żemłosławiu miał być zabezpieczony przed postępującym zniszczeniem i dewastacją, a obowiązek ten spoczywał na SPK Sobotniki. Dla mnie oznaczało to uniemożliwienie wejścia do jego wnętrza, oraz do innych zabytkowych budynków pałacowego zespołu, nieupoważnionym osobom i umieszczenie odpowiednich tablic ostrzegawczych. Tak nie postąpiono, a podobno sobotnicka spółdzielnia już bardziej profesjonalnie szykowała się do ogłoszenia przetargu na zakup żemłosławskiego zabytku. Ja nie rozumiem tej sprzeczności.

W miasteczku przy ulicy Gieraniońskiej ustawiono nowy płot z betonowych, częściowo ażurowych płyt oddzielających obejścia chat od chodnika. Płot nawet niebrzydki, chociaż pomalowany na taki sam kolor, jakby wszyscy mieszkający przy nim gospodarze mieli podobny gust. Płot ten poprowadzono także w kierunku głównego dojazdu na teren bazy sprzętowej spółdzielni. Były na to fundusze i kiedy do gminy przyjedzie jakiś czynownik z powiatu, to będzie można się przed nim pochwalić, jak to u nas jest ładnie i jaki jest porządek. Nie znaleziono jednak nawet trochę starych desek (czytaj: nie wykazano zainteresowania i dobrej woli), aby nimi pozabijać okna i drzwi wejściowe do zabytkowego pałacu.

13 kwietnia członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej postawili na starym cmentarzu katolickim przy ulicy Engelsa, dawniej Grażyny, pomnik katyński. Był to drewniany krzyż, obok którego położono duży głaz z wykutym napisem „Katyń 1940”. Po kilku dniach kamień znikł. Stare na Białorusi czuwa, jeszcze nie odeszło, jeszcze jest w świadomości wielu ludzi i nimi kieruje mimo upływu czasu, upadku Związku Sowieckiego, Muru Berlińskiego, swobody podróżowania, łatwiejszego niż za komuny dostępu do informacji, a w tym konkretnym przypadku mimo pokazania w białoruskiej telewizji filmu Andrzeja Wajdy „Katyń”, co miało miejsce niedługo po katastrofie smoleńskiej¹⁷¹ 10 kwietnia tego roku.

W piątek pożegnałem się z cicią Władzią i z Lidą. Na dworcu kolejowym w Grodnie byłem około godziny ósmej i miałem jeszcze sporo czasu do odjazdu pierwszego pociągu do Polski.

Godzinę przed odjazdem podróżni zaczęli się ustawiać w kolejce do odprawy celnej, i z każdą minutą było ich coraz więcej. Trochę się tego obawiałem myśląc o tym, czy zdążą nas wszystkich odprawić. Okazało się jednak, że część tych osób stanowili rodzice ze Szczuczyna, którzy odprowadzali swoje pociechy udające się na zbiorowe wakacje do Polski. Do kraju wracały też dwie grupy rodaków: białostoccy studenci, którzy byli na wymianie w Mińsku i starsze osoby, które odbyły wycieczkę Szlakiem Mickiewicza.

Po odprawie celnej i granicznej znaleźliśmy się w poczekalni, gdzie były sklepy wolnołowe. Kilku młodych grodnian wyglądających na nigdzie nie pracujących, a także parę starszych kobiet, ruszyło energicznie z pustymi torbami na te punkty kupując znaczne ilości papierosów. Później w wagonach, jeszcze po białoruskiej stronie, rozkręcali ich wewnętrzne obudowy i chowali za nimi kartony z papierosami. Mimo wysokiej ceny wizy, sześćdziesiąt euro, musiała nadal im się opłacać ta kontrabanda. Stałem przy oknie, kiedy przejeżdżaliśmy przez Niemen i pomachałem mu ręką na pożegnanie, a za chwilę już była Polska.

Obok mnie, po drugiej stronie wagonu bez przedziałów, siedziało dwóch starszych mężczyzn i ze sobą rozmawiało. Jeden z nich był Białorusinem z Polski, który bez przerwy mówił. Głównie o polityce, a to o Unii Europejskiej, rozpadzie Związku Sowieckiego, śmierci Stalina, Armii Krajowej, nacjonalistach ukraińskich i prawie wszędzie w różnych poczynaniach widział działanie

ręki żydowskiej. Ten drugi, którego narodowości nie mogłem z początku odgadnąć, odpowiadał mu zdawkowo i raczej ostrożnie, a w jego wypowiedziach było sporo słów polskich. Nabrałem więc przypuszczenia, że musiał być Polakiem. Był bardzo skromnie ubrany, żeby nie powiedzieć biednie. Nie miał prawej dłoni i ukrywał to w rękawie starej marynarki. Co pewien czas dotykał tej kończyny zdrową ręką z grymasem bólu na twarzy. Może utracił prawą dłoń niedawno, a może tak reagował jego organizm na niedobrze wyleczoną ranę. Jego całym bagażem była stara torba z zamkami i rączką, podobna do teczek, jakie kiedyś mężczyźni nosili do pracy w fabrykach do pracy, tylko trochę pojemniejsza. Nie sadzę, aby oprócz piżamy, przyborów do golenia, szczoteczki i pasty do zębów, coś jeszcze mogłoby się w niej zmieścić.

Z rozmów między tymi dwoma pasażerami dowiedziałem się, że mój rodak jechał do swojego brata mieszkającego w Słupsku. Brat był najstarszym z rodzeństwa, rocznik 1928, on sam był z 1939 roku, a nie widzieli się czternaście lat. Brat wyjechał do Polski w roku 1946 i ta informacja dała mi przekonanie, że musiał być w AK i ratował się ucieczką przed represjami sowieckimi. Nigdy też po wojnie nie odwiedził rodzinnych stron.

Dojechalśmy do Białegostoku. Wysiedliśmy z pociągu i ja zaoferowałem pomoc nieznanemu rodakowi, który niezdecydowanie stał na peronie, jakby nie wiedząc, w którą stronę się udać. Poszliśmy w kierunku budynku dworcowego, aby wpieryw dowiedzieć się, o której godzinie będziemy mieli połączenia, ja do Poznania, a on do Słupska. Była godzina trzynasta trzydzieści. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że mój towarzysz podróży pochodził z Radunia, z sąsiedniego do iwiejskiego rejonu woronowskiego.

Raduń leży dwadzieścia sześć kilometrów na północny-wschód od Lidy. To historyczne miasteczko z kościołem pw. Matki Bożej Różańcowej, starym cmentarzem żydowskim i zachowanym budynkiem synagogi. W latach międzywojennych w Raduniu mieściła się jesziwa¹⁷² i mieszkał słynny cadyk¹⁷³, do którego po porady przyjeżdżali żydzi nawet z dalekich stron. Mieszkańcy Radunia są głównie Polacy, którzy utrzymują dobry kontakt z Macierzą a samo miasteczko ze Świebodzinem. Trzydzieści kilometrów na północ od Radunia, już po stronie litewskiej, leżą nie mniej znane Ejszyski, gdzie tak samo zdecydowaną większość mieszkańców tworzą Polacy.

W informacji dowiedziałem się, że najdogodniejsze połączenie do Słupska będzie dopiero o godzinie dwudziestej trzeciej. Można było jechać wcześniej, ale dłuższą trasą. O godzinie czternastej do Warszawy, a stamtąd o dziewiętnastej do Słupska. Namawiałem mojego ziemiała na takie rozwiązanie. Nie będzie musiał tyle godzin czekać w Białymstoku, szybciej dojedzie do brata, i razem pojedziemy do samej Warszawy. Na dworcu będę miał trochę czasu do swojego pociągu, więc pomogę mu znaleźć peron, z którego odjedzie do Słupska. Była trzynasta pięćdziesiąt, kiedy stanęliśmy przed okienkiem kasowym i wtedy okazało się, że mój rodak nie miał żadnych złotych. Nie wiedział, jakie pieniądze funkcjonują w Polsce, miał jedynie dolary i sądził, że mu wystarczą. Wyszedł z dworca do niedalekiego kantoru, a ja nie mogłem na niego czekać i musiałem jechać o czternastej do Warszawy. Kupiłem bilet i biegiem ruszyłem do pociągu.

W czasie podróży kilkakrotnie myślałem o swoim rodaku z Radunia. Czy sobie poradzi w tej nieznannej mu Polsce, czy dotrze szczęśliwie do Słupska i spotka się z bratem po wielu latach niewidzenia? I byłem przekonany, że tak. Bo przecież pochodził z Radunia. Z terenów, na których podczas niemieckiej i sowieckiej okupacji walczył II Batalion 77 Pułku Piechoty Ziemi Nowogródzkiej Armii Krajowej, pod dowództwem legendarnego porucznika Jana Borysewicza „Krysi”. Wielu młodych ludzi z Naczy i Radunia, z okolicznych wiosek, zaścianków i chutorów zasilalo szeregi tego oddziału. Bili się odważnie o swoją rodzinną ziemię, o ojczyznę Polskę,

zarówno z Niemcami jak i Sowietami i nie znali przed nimi trwogi.

W styczniu 1944 roku oddziały „Krysi” przeprowadziły kilka spektakularnych operacji bojowych. 9 stycznia odbiły pod Wasiliszkami transport aresztowanych, likwidując konwój żandarmerii. W nocy z 17go na 18sty stycznia drużyna dowodzona przez sierżanta Alfreda Fryesa „Bza”, bez jednego wystrzału rozbiła więzienie w Lidzie, będącej silnym garnizonem, i uwolniła około 70 osób. 30 stycznia 4 kompania po krótkiej walce rozbroiła garnizon SS i policji w Horodnie. 26 kwietnia 5 kompania, pod dowództwem porucznika Jana Borewicza „Antoniego”, zlikwidowała posterunki żandarmerii niemieckiej w Sobotnikach i Żemłosławiu. W maju inna kompania z sukcesem zaatakowała posterunek ochraniający most na Dzitwie w Mycie, oraz garnizon niemiecki w Raduniu. W czerwcu 1944 roku oddziały II Batalionu zdobyły miasteczko Ejszyszki, rozbrajając kilkudziesięciu policjantów i urzędników litewskich. Dzięki tym oraz innym akcjom teren, na którym działał II Batalion „Krysi”, znalazł się w pierwszej połowie 1944 roku pod całkowitą kontrolą Armii Krajowej, a wieś przestała dostarczać kontyngenty okupantowi.

Jan Borysewicz urodził się 12 września 1913 roku we wsi Dworzany, w połowie drogi między Starymi Wasiliszkami a Wasiliszkami, które dzielą zaledwie dwa kilometry. 12 lutego 1939 roku w Starych Wasiliszkach urodził się Czesław Niemen¹⁷⁴ i z pewnością Jan Borysewicz znał jego rodziców, i prawdopodobnie chodzili razem do jednej szkoły, a może i klasy. Niemen urodził się w przedwojennym powiecie szczuczynskim. Nie między Grodnem a Wilnem. Nie koło Nowogródka, jak podają różne źródła, do którego ze Starych Wasiliszek jest około sześćdziesięciu ośmiu kilometrów, nie koło Lidy odległej o trzydzieści cztery kilometry, a raczej powinno się podawać, że koło Szczuczyna odległego o dwadzieścia kilometrów.

To moje wtrącenie odnośnie Czesława Niemena ma za zadanie uświadomić czytelnikom fakt, że Kresy to nie było tylko Wilno, Nowogródek, Lwów i Stanisławów. To także setki innych miast, miasteczek i wiosek, a każde z nich ze swoją niepowtarzalną historią i kulturą. Nie zubażamy naszych Kresów do tych kilku najbardziej znanych miejscowości i rzetelnie podajemy niektóre fakty, jak choćby w biogramach znanych osób.

„Krysia” zginął 21 stycznia 1945 roku w sowieckiej zasadzce pod wioską Kowalki na południe od Naczy, blisko Dubicz. Jego ciało wpadło w ręce wroga i było obwożone na pokaz polskiej ludności w Ejszyszkach, Raduniu, Naczy oraz innych miejscowościach. Do dzisiaj nie wiadomo, gdzie Sowietci je ukryli.

W Dubiczach, obecnie leżących po litewskiej stronie, znajduje się pomnik upamiętniający śmierć Ludwika Narbutta¹⁷⁵, jednego z najbardziej znanych dowódców w powstaniu styczniowym¹⁷⁶ na Litwie, i dwunastu powstańców, którzy z nim zginęli 5 maja 1863 roku. Pomnik został postawiony w roku 1933, na dawnej mogile powstańczej, dzięki inicjatywie żołnierzy z 76 Lidzkiego Pułku Piechoty im. Ludwika Narbutta.

Jedenaście kilometrów na południe od Radunia, też na terenie rejonu woronowskiego, leżą Surkonty. 21 sierpnia 1944 roku niewielki oddział żołnierzy Armii Krajowej pod dowództwem ppłk Macieja Kalenkiewicza¹⁷⁷ „Kotwicza”, ostatniego komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK, stoczył koło tej wsi zacięty bój z przeważającymi siłami sowieckimi. Na miejscu zginęli „Kotwicz” i jego trzydziestu pięciu chłopców. Wszyscy zostali pochowani razem, obok grobu powstańców z 1863 roku. 8 września 1991 roku w Surkontach oficjalnie otwarto cmentarz żołnierzy Armii Krajowej.

Jakże symboliczne i nieprzypadkowe są te oraz inne miejsca walk i pochówków na kresowej

ziemi. Jakże świadczą o jej umiłowaniu, o ciągłości na niej naszego bytu i uznaniu walki o niepodległość za wartość najwyższą.

I jeszcze kilka zdań o innym legendarnym dowódcy AK na Nowogródczyźnie, poruczniku Czesławie Zajączkowskim „Ragnerze”, dowódcy IV Batalionu 77 PP AK, który działał głównie między Lidą a Niemnem. Jesienią 1944 roku, a więc już po przejściu frontu, jego żołnierze przeorganizowani w Zgrupowanie Południe byli najpoważniejszym przeciwnikiem sowieckich wojsk na Nowogródczyźnie i największymi obrońcami eksterminowanej ludności polskiej. Potyczka z Sowietami miała też miejsce w Mociewiczach, w których byliśmy z mamą. Sam „Ragner” przez Sowietów był nazywany „diabłem w okularach” i stał się jednym z najbardziej zaciekle tropionych dowódców polskiej partyzantki.

3 grudnia 1944 roku oddziały Wojsk Wewnętrznych NKWD w sile 14010 żołnierzy i wzmocnione trzema czołgami, otoczyły koło Niecieczy, na południe od Lidy, oddział „Ragnera” liczący około trzydziestu osób. W tej nierównej walce poległ porucznik Czesław Zajączkowski wraz z sześcioma partyzantami, wśród których był jego młodszy brat Leon pseudonim „Drzewica”. Reszcie udało się przebić przez potrójny pierścień okrążenia. Nie wiadomo, co Sowietci zrobili z ciałami poległych.

Nad resztą oddziału przejął dowodzenie sierżant Anatol Urbanowicz pseudonim „Laluś”, adiutant „Ragnera”, dziewiętnastoletni prawosławny Białorusin. 27 maja 1945 roku został osaczony przez żołnierzy NKWD pod Lidą i nie chcąc żywym wpaść w ich ręce zastrzelił się. Czy to był koniec zbrojnego oporu przeciwko Sowietom na Nowogródczyźnie? Nie.

Najwybitniejszym powojennym organizatorem polskiego podziemia na tych terenach był ppor. Anatol Radziwonik pseudonim „Olech”, ochrzczony w wierze prawosławnej swojej mamy. On to przejął pod swoją komendę niewielkie i rozproszone oddziały akowskich obwodów Szczuczyn i Lida, do których wstępowali też chłopcy za młodzi na walkę podczas niemieckiej okupacji. „Olech” i jego partyzanci walczyli przeciwko kolektywizacji wsi, bronili przed bolszewickim terrorem i represjami miejscową ludność, także białoruską.

Nieułowimy „Olech”, Nieuchwytny „Olech”, tak go nazywali Sowietci. Jego kilkuletnia skuteczna działalność przyprawiała bolszewików o największy ból głowy. Anatol Radziwonik zginął wraz z przyboczną drużyną 12 maja 1949 roku koło kolonii Raczkowszczyzna niedaleko wioski Bakszty, 23 km na północ od Szczuczyna. Stamtąd jest blisko do Dworczan „Krysi” i do Starych Wasiliszek Niemena. Wraz z jego śmiercią skończył się zorganizowany ruch oporu na Grodzieńszczyźnie.

Do początku lat pięćdziesiątych samodzielnie jeszcze walczyły kilkusobowe grupki, później już tylko pojedyncze osoby. W styczniu 1954 roku został schwytany Jan Gryniewicz i skazany na karę śmierci. Ostatnim, który poległ w samotnej walce był Wacław Ozim. Zginął nad Niemnem 26 kwietnia 1954 roku.

Dlaczego w tej książce przypomniałem tych kilka ważnych i tragicznych epizodów z ostatniej wojny, które miały miejsce na obecnej Grodzieńszczyźnie? Może się czytelnikowi wydawać, że nie mają one nic wspólnego z tematyką tej książki, którą jest moje podróżowanie w rodzinne strony i mój obraz fragmentu Białorusi. A jednak mają. Bohaterowie przedstawionych wydarzeń, i wielu innych im podobni, byli solą tej ziemi. Urodzili się na niej, wychowali się w jej tradycji i byli do niej bardzo mocno przywiązani. W najtrudniejszych dla swojej ojczyzny chwilach podejmowali najważniejsze życiowe wybory i nie chcieli jej opuścić, odejść za linię Curzona¹⁷⁸. Pochodzili głównie z ludności wiejskiej i drobnej szlachty zaściankowej, a ich ukształtowany

patriotyzm zawierał się w trzech słowach „Bóg, honor i ojczyzna”.

Szlachta zaściankowa, zwana też zagrodową lub szaraczkową. To z niej wyszło najwięcej ochotników, w tym młodzieży, do powstań narodowych przeciwko caratowi w 1831¹⁷⁹ i 1863¹⁸⁰ roku. To ona w chwilach największej potrzeby dawała ostatni grosz na wsparcie walczącego kraju. Z nią też rządy carskie najsurowiej postępowały. Zabierano jej mienie, palono domostwa, gnano pieszo na Sybir, nie uznawano jej szlachectwa i brano w rekruty. Na zesłaniu szlachta zaściankowa odznaczała się pracowitością, uczciwością, miłością i przywiązaniem do wiary i tradycji przodków, głębokim przekonaniem w bliskie zmartwychwstanie ojczyzny. Taka była szlachta zaściankowa nie tylko na Kresach, ale też w innych częściach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Taka też była w kolejnych ważnych dla kraju wydarzeniach jakie przyniosła historia.

„Nic dla siebie wszystko dla Ojczyzny”, takie motto wpajał swoim podwładnym „Olech”. Jak pięknie to współbrzmi z fragmentem z „Potopu” Henryka Sienkiewicza, w którym Janusz Radziwiłł zwraca się do Andrzeja Kmicica:

- „Co też sądzisz, co ja powinienem być uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym tego kraju obronić nie mogłem?

- Zginać! - odpowiedział szorstko Kmicic”.

W innym zaś fragmencie, kiedy hetman wielki litewski nieomal błaga Kmicica, aby ten przejął od niego buławę i wypędził wszelkiego wroga z kraju, aby porwał się samotrzeć na tysiące, ale nie ginął, bo mu tego nie wolno, to pan Andrzej tak odpowiedział Radziwiłłowi:

- „Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim - odparł Kmicic - i co do mnie nie należy, to nie moja głowa ... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!”.

Pamięć o walce żołnierzy Armii Krajowej i ofierze z życia, którą wielu z nich złożyło, dawała wewnętrzną otuchę tym, którzy pozostali na Kresach. Żyła w świadomości naszych rodaków za wschodnią granicą, wzmacniała ich wewnętrznie wobec totalitaryzmu sowieckiego. Przetrwiała i obroniła się mimo fałszowania historii na każdym kroku. Świadczą o tym kwiaty na partyzantskich mogiłach. Ja jestem dumny z żołnierzy Nowogródzkiej Armii Krajowej, jestem dumny z postaw moich ziemiaków, którzy po wojnie zostali na ojczystej ziemi. Dumny z tego, że jestem jednym z nich.

Zawsze po powrocie do domu jeszcze przez kilka dni jestem tam, w rodzinnych stronach na Białorusi: w Sobotnikach, w Lidzie, Iwii i w Grodnie, w miasteczkach i wioskach, przez które tylko przejeżdżałem. I chcę na papierze zatrzymać tych parę chwil i obrazów, które jeszcze świeżo mam w pamięci, bo one nigdy już się nie powtórzą.

Tęsknota

Tęsknię za moim miasteczkiem, Sobotnikami.
Tęsknię za rzeką Gawią, córką Niemna,
za otwartą przestrzenią poprzecinaną kreskami lasów,
zaoranymi wiosennymi polami i nagimi gałęziami brzoź.

Tęsknię za widokiem kłosów dojrzałego zboża
i zapachem białych kwiatów gryki,
za polnymi drogami i leśnymi ścieżkami,
tamtejszym wiatrem, moim przyjacielem,
za sejmikującymi w sierpniu bocianami.

Tęsknię za wczesnojesiennymi liśćmi,
jeszcze zielonymi, ale już i żółtymi,
i pomarańczowymi, i czerwonymi,
i jasnobrązowymi.

Tęsknię za śniegiem bielszym niż biel,
ostrym smakiem mocnego samogonu,
gryczanymi blinami i złocistymi dranikami,
za czarnym chlebem i grubą słoniną.

Tęsknię za lnianymi włosami pięknych kobiet,
za tamtejszymi ludźmi, moimi ziemiakami.

Tęsknię za moją Białorusią.

Kazimierz Niechwiadowicz, Poznań 2010

Przypisy

¹ Irena Hryncewicz - ur. w Sobotnikach, mieszka w Jeleniej Górze; autorka wierszy i przekładów; wydała m.in. zbiorki wierszy: *Dokąd idziesz?*, *Strofy dla ciebie*, *Zeszyty wierszem*, *Płonące serca*

² rejon - powiat

³ obwód - województwo

⁴ ziemiak - człowiek pochodzący z tej samej miejscowości, okolicy; krajan

⁵ chutor - jednozagrodowa osada wiejska na słabo zaludnionym obszarze Rosji w XV-XVII w.

⁶ prosty język - gwara białoruska, której podstawą jest język białoruski, a dodatkowo wiele w niej jest słów polskich i rosyjskich, trochę ukraińskich

⁷ Władysław I Święty (ok. 1048-1095) - od 1077 król węgierski z dynastii Arpadów; był synem Beli I, króla Węgier i nieznaną z imienia córką Mieszka II Lamberta, króla Polski

⁸ Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej - zakon powstały w Polsce w 1932 z inicjatywy prymasa kardynała Augusta Hlonda, a zorganizowany przez ks. Ignacego Posadzego; chrystusowcy m.in. niosą posługę duszpasterską, kulturową i społeczną na rzecz rodaków mieszkających poza granicami Polski

⁹ witka - w gwarze poznańskiej pojedyncza, cienka, sprężysta gałązka

¹⁰ mabilnik - potoczna nazwa telefonu komórkowego na Białorusi

¹¹ sotka - potoczna nazwa 100 m² powierzchni ziemi, 1 ar

¹² Całun Turyński - wg tradycji chrześcijańskiej jest to płótno, w które po śmierci został owinięty Jezus Chrystus; charakter i umiejscowienie ran odpowiada opisowi z Ewangelii

¹³ ajczyzna - ojczyzna, słowo o znaczeniu patriotycznym nawiązujące do historii ziemi i tradycji przodków

¹⁴ małe dzieci w dniu ich urodzin delikatnie ciągnie się za uszy tyle razy, ile mają lat, aby szybciej rosły

¹⁵ czyhunka - kolej

¹⁶ płaćkart - bilet na kuszetkę

¹⁷ tamoźnia - urząd celny

¹⁸ lihotny - ulgowy

¹⁹ Sejmik Lidzki - przedwojenny organ samorządu terytorialnego na szczęblu powiatu lidzkiego

²⁰ Trokielanka - potoczna nazwa odpustu w diecezjalnym sanktuarium Maryjnym Grodzieńszczyzny we wsi Trokiele 17 km na pn.-wsch. od Lidy

²¹ Bagno Jelna na Bratsławszczyźnie w obwodzie Witebskim

²² sprawka - zezwolenie (ros.); dawiedka (brs.)

²³ zapiątek - stara polska nazwa końca tygodnia

²⁴ BSSR - Białoruska Socjalistyczna Sowiecka Republika (pl.)

²⁵ prymak - mąż żony przyjęty do wspólnego zamieszkania z jej rodziną

²⁶ kapucyni - trzecia gałąź Zakonu Braci Mniejszych (franciszkanie) zał. w 1209 r. przez św. Franciszka z Asyżu

²⁷ gumno - stodoła, w której składowano zboże przed wymłóceniem, humno (brs.)

²⁸ w mahiloŭszczyźnie - w żargonie na cmentarz

²⁹ Ostaszków - miasto w europejskiej części Rosji; w latach 1939-1940 mieścił się tam obóz polskich jeńców wojennych; od 4.04 do 19.05.1940 ok. 6300 jeńców zostało zamordowanych w siedzibie NKWD w Kalininie (Twer) i

pogrzebanych w masowych dołach w lesie niedaleko Miednoje; 02.09.2000 w Miednoje został uroczystie otwarty i poświęcony Polski Cmentarz Wojenny

³⁰ Jakuńka - Pojakuńka na mapie z 1926

³¹ kindziuk - tradycyjna, dojrzewająca i ekskluzywna wędlina litewska

³² kłoda - ul wykonany z kawałka pnia drzewa

³³ kumpiak - surowa dojrzewająca szynka wieprzowa

³⁴ Białoruski Narodowy Front (BNF) - zorganizowany masowy ruch demokratyczny powstały w 1988 i przekształcony w partię; jej głównym celem było osiągnięcie przez Białoruś suwerenności politycznej i ekonomicznej; BNF odegrał znaczącą rolę w uzyskaniu przez kraj niezależności w grudniu 1991 i przyczynił się do jego odrodzenia narodowo-kulturalnego w latach 1990-1994; od 1994 jest w radykalnej opozycji do rządów Łukaszenki; w 1999 nastąpił rozłam w partii i powstanie Chrześcijańsko-Konserwatywnej Partii BNF na czele z Zenonem Poźniakiem

³⁵ Zenon Poźniak (Zianon Paźniak) - ur. w 1944 w Sobotnikach; historyk sztuki, jeden z założycieli i lider BNF, odkrywca masowych grobów w Kuropatach pod Mińskiem, ofiar stalinowskich represji z lat 1937-1941; od 1996 na emigracji

³⁶ kantora - biuro

³⁷ CCCP - Sojuz Socjalistycznych Sowietkich Republik (pl.); inaczej ZSRR - Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich

³⁸ oryginalny opis tej hodowli, a także gospodarki leśnej w majątku zamieściłem w książce pt. *Żemtoślaw*, wyd. GAWIA, Poznań 2005

³⁹ Aleksandra Fiodorowa Romanowa (Alicja Heska) - (1872-1918); żona cara Mikołaja II, ostatnia cesarzowa Imperium Rosyjskiego

⁴⁰ stałowa - jadalnia

⁴¹ „Kosił Jasiu koniczynę i spoglądał na dziewczynę (...)”, popularna ludowa piosenka białoruska

⁴² Günter Grass - ur. 16.10.1927 w Gdańsku, niemiecki pisarz, grafik i rzeźbiarz, laureat literackiej nagrody Nobla w 1999; *Spotkanie w Telgte, Wróżby kumaka, Przy obieraniu cebuli*; światową sławę przyniosła mu trylogia gdańska: *Blaszany bębenek, Kot i mysz, Psie lata*

⁴³ Albrecht Dürer - ur. 21.05.1471 w Norymberdze, zm. 06.04.1528 tamże; niemiecki malarz i grafik, teoretyk sztuki, uważany jest za najwybitniejszego niemieckiego artystę renesansu; najistotniejszą z jego zasług dla sztuki jest szczególnie wkład w rozwój drzeworytnictwa i miedziorytu; wybrane dzieła: *Madonna z dwoma aniołami, Chrystus na krzyżu, Święto różańcowe, Dziesięć tysięcy męczenników, Pasja, Apocalypsis cum figuris, Rycerz, śmierć i diabeł, Melancholia*

⁴⁴ Janka Kupała - właśc. Iwan Łuczewicz, ur. 07.07.1882 w folwarku Wiazynka k. Mińska, zm. tragicznie w Moskwie 28.06.1942; klasyk literatury białoruskiej, poeta, dramaturg, publicysta, wybitny przedstawiciel białoruskiego Odrodzenia pocz. XX w. i jeden z twórców białoruskiego języka literackiego; *Tutejsi, Paulinka, Zimą, Nikomu, Odplata kochaniem, Odwieczna pieśń, Guślar, Sen na kurhanie, Drogą życia, Rozrzucone gniazdo*

⁴⁵ Szolem Alejchem - właśc. Szolem Rabinowicz, ur. 02.03.1856 w Perejaśławiu, zm. 13.05.1916 w Nowym Jorku; żydowski pisarz tworzący w języku jidysz, hebrajskim i rosyjski; proza społeczno-obyczajowa, psychologiczna i czasami tragikomiczna ukazująca codzienne życie Żydów w Europie Wschodniej na przełomie XIX/XX w.; *Miliony, Dzieje Tewji Mleczarza, Motel syn Kantora, Notatki komiwojażera, Zaczarowany krawiec i inne humoreski, Z jar-marku*

⁴⁶ Franciszak Bahuszewicz - ur. 21.03.1840 w folwarku Świrany w pow. wileńskim, zm. 28.04.1900 w Kuszlanach w pow. oszmiańskim; białoruski pisarz, poeta, adwokat; uczestnik powstania styczniowego po polskiej stronie; pierwszy autor całkowicie białoruskiej książki poezji; zapoczątkował nurt realizmu krytycznego w literaturze białoruskiej, w swojej twórczości inspirował się folklorem; miłośnik poezji A. Mickiewicza, aktywnie przyczynił się do powstania pomnika wieszczka w Wilnie; korespondent polskiego czasopisma *Kraj*, Przyjaciół E. Orzeszkowej i J. Karłowicza; *Dudka białoruska, Smyk białoruski, Tralananoczka, Świadek, Polesowczyk, Stryjenka, Zachwyt, Śpiew*

⁴⁷ Jakub Kołas - właśc. Kanstancin Mickiewicz, ur. 03.11.1882 w Okińczycach, zm. 13.08.1956; klasyk literatury białoruskiej, pisarz i poeta, działacz narodowy, nauczyciel; *Nowa ziemia, Na rozstajach, Symon-muzyka, W poleskiej głuszy, Trzęsawisko, Bajki życia, Pieśń smutku*

⁴⁸ Maksim Bahdanowicz - ur. 09.12.1891 w Mińsku, zm. 25.05.1917 w Jałcie; poeta, prozaik, krytyk literacki, historyk, tłumacz literatury francuskiej i niemieckiej; *Apokryf, Łabędź-straceniec, Nad jeziorem, Rusalka, Wiersze na modłę białoruską, Kraju ojczysty! Wyklety przez Boga, Madonny, Miłość i mogiła, Tak wiele jest w życiu dróg...*

⁴⁹ Uładzimir Karatkiewicz - ur. 26.11.1930 w Orszy, zm. 25.07.1984; dramaturg, jeden z najwybitniejszych prozaików w historii literatury białoruskiej; *Leonidy nie wrócą na ziemię, Chrystus wylądował w Grodnie, Dzikie polowanie króla Stacha, W śniegach drzemie wiosna, Szara legenda, Broń, Król cygański, Liście kasztanów, Krzyk Anielina;*

przekłady poezji polskiej

⁵⁰ **Wasił Bykaŭ** - ur. 19.06.1924 we wsi Byczki niedaleko Witebska, zm. 22.06.2003 w Mińsku; uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnej literatury białoruskiej, kandydat do literackiej Nagrody Nobla, przewodniczący białoruskiego PEN Clubu, zaangażowany politycznie i krytycznie wobec panującej władzy; *Krzyk żurawi*, *Trzecia rakieta*, *Ballada alpejska*, *Sotnikow*, *Obelisk*, *Pójsz i nie wrócić*, *Ściana*; przekłady poezji A. Mickiewicza i K. Wojtyły

⁵¹ 40 męczenników z Sebasty - 40 rzymskich legionistów, którzy ponieśli śmierć męczeńską za wiarę w Jezusa Chrystusa w Sebaste (obecnie Sivas w środkowej Turcji) w roku 320 za panowania cesarza Licyniusza we wschodniej części Imperium Rzymskiego

⁵² **žede** - żelazna daroga (ros.), skrócone określenie kolei

⁵³ **Michał Kazimierz Ogiński** - (1730-1800); książę, generał lejtnant, hetman wielki litewski, wojewoda wileński, pisarz polny litewski, cześnik wielki litewski, kompozytor i muzyk, pisarz, poeta i dramaturg, tłumacz; jeden z kandydatów Rosji do tronu polskiego; w swoich posiadłościach postawił wiele fabryk i manufaktur, zbudował trakt pińsko-wołyński i Kanał Ogińskiego łączący Niemen z Dnieprem; na swoim dworze w Słonimiu utworzył centrum kultury i sztuki; utrzymywał teatr polski i włoski, słynną orkiestrę, założył drukarnię; przypuszczalnie skomponował polonez a-moll nr 13 *Pozegnanie Ojczyzny*, powszechnie przypisywany jego stryjowi Michałowi Kleofasowi Ogińskiemu

⁵⁴ sejmy grodzieńskie - sejmy I Rzeczypospolitej odbywające się w Grodnie; sejm w 1793 zatwierdził II rozbiór Polski

⁵⁵ **Antoni Tyzenhauz herbu Bawół** - ur. 1733 zm. 31.03.1785; podskarbi nadworny litewski i starosta grodzieński, pisarz wielki litewski i koniuszy litewski, zarządca królewskich majątków na Litwie i przyjaciel króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, przeprowadził szybkie uprzemysłowienie okolic Grodna jednak część manufaktur zbankrutowała; dzięki rosyjskim intrygom i knowaniom targowiczian został odsunięty od swojej działalności, a plon jego wieloletniej pracy został zniszczony

⁵⁶ ekspatriacja - przymusowe lub dobrowolne opuszczenie ojczyzny, zerwanie z krajem

⁵⁷ **angielka** - w gwarze poznańskiej kuchenny piec na węgiel, kaflowy, w żeliwnej ramie na nóżkach

⁵⁸ **Pomet** - Zakłady Metalurgiczne „Pomet” w Poznaniu

⁵⁹ **ZZR** - Zjednoczone Zakłady Rowerowe w Bydgoszczy

⁶⁰ **glupki** - w gwarze poznańskiej nazwa śliwy domowej mirabelki

⁶¹ pieśń tę ułożono specjalnie dla bratnich stowarzyszeń katolickich w Królestwie Polskim, jej śpiewem rozpoczynano i kończono tamtejsze zebrania

⁶² **roraty** - adwentowa msza św. wotywna o Najświętszej Maryi Pannie odprawiana przed wschodem słońca; nazwa pochodzi od zwyczajowej pieśni na wejście *Rorate caeli desuper (Spuśćcie rosę niebios)*

⁶³ **sztekiel** - zwany też w Wielkopolsce klipą, a w innych regionach Polski kiczką; gra polegająca na uderzaniu drewnianego kołka grubym kijem

⁶⁴ **Pyrlandia** - gwarowe określenie mieszkańców Wielkopolski, krainy dużej uprawy ziemniaków nazwany po poznańsku pyrami

⁶⁵ **Ziemie Odzyskane (Ziemie Zachodnie i Północne)** - termin używany dla terenów, które Polska otrzymała po II wojnie na mocy postanowień konferencji poczdamskiej jako rekompensatę za utracone Kresy Wschodnie

⁶⁶ **Verdun** - walki o francuską twierdzę 21.02-20.12 1916, jedna z najkrwawszych bitew I wojny światowej; łącznie po stronie francuskiej i niemieckiej ok. 700 000 zabitych

⁶⁷ **inwokacja do Pana Tadeusza**; inwokacja to wezwanie poety do muzy z prośbą o natchnienie w tworzeniu dzieła

⁶⁸ **Światowy Zjazd Lidzian** - impreza organizowana przez Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej w Lidzie i klub Miłośników Lidy w Warszawie

⁶⁹ **rafik** - bus regularnie kursujący na danej trasie, nazwa pochodzi od popularnego samochodu łotewskiego

⁷⁰ **żyhuli** - radziecki samochód osobowy serii WAZ znany też jako Łada

⁷¹ **hraczycha** - gryka

⁷² **duha** - drewniany pałąk łączący dwa dyszle (hołoble) od wozu w zaprzęgu jednokonnym

⁷³ **huży** - rzemień łączące chomać z hołoblami i duhą

⁷⁴ **pasadka** - posadzony nowy las

⁷⁵ **kuczawyja** - kłębiaste

⁷⁶ **adzirać łubin** - wyluskiwać nasiona łubinu ze strąków

⁷⁷ **kudra** - małe oczko wodne

⁷⁸ **żać** - ścinać sierpem

⁷⁹ **śpina** - plecy

- ⁸⁰ kaczestwo - jakość
- ⁸¹ Nu żywu bez nuždy bez gora - żyję bez kłopotów
- ⁸² Nie czustwuju - nie odczuwam zdrowia (nie najlepiej, nie mam zdrowia)
- ⁸³ były to lata dużej inflacji na Białorusi
- ⁸⁴ fest - odpust parafialny
- ⁸⁵ dziaruha - grubo tkany na domowym krośnie materiał wiejski
- ⁸⁶ pałka - gruby kij służący za laskę do podpierania się
- ⁸⁷ szweda - sweter
- ⁸⁸ bulba - ziemniaki
- ⁸⁹ wierszczaka - gęsty sos na mące i zakwasie chlebowym z kawałkami podsmażonej słoniny
- ⁹⁰ *Psalterz dawidowy 1579*, psalm 4. - tłumaczenie *Księgi Psalmów* autorstwa Jana Kochanowskiego dostosowane do polskiej obyczajowości i warunków
- Jan Kochanowski - ur.1830 w Sycynie k. Zwoleń, zm. 22.08.1584 w Lublinie; jeden z najwybitniejszych poetów polskich i europejskich epoki Renesansu, sekretarz króla Zygmunta Augusta II; był przedstawicielem filozofii elektrycznej, renesansowego neoplatonizmu i głębokiej wiary w Boga łącząc tradycję antyku i chrześcijaństwa; *Epitaphium Cretcovii, Odprawa posłów greckich, Treny, Fraszk, Pieśni księgi dwoje, Elegie*, tłumaczenia (*Fenomeny Aratosa, III pieśni Iliady Homera, fragmentu tagedii Alkestis Eurypidesa*)
- ⁹¹ jaszczyk - drewniana skrzynka
- ⁹² autalaŭka - autosklep
- ⁹³ szyfier - płyty pokryciowe z dodatkiem azbestu
- ⁹⁴ skacina - bydło (ros.); bydła (brs.)
- ⁹⁵ Jany priama ŭ rocie rastajuć jak dastaniesz - One wprost się rozplywają się w ustach jak spróbujesz
- ⁹⁶ ahrogardok - rolnicze miasteczko
- ⁹⁷ miać len - międlić, łamać w celu oddzielenia włókna od części zdrewniałej (paździerza)
- ⁹⁸ fierma - ferma kołchozowa np. krów
- ⁹⁹ nawiazywać karowu - krowa pasie się sama przywiązana długim łańcuchem do metalowego kołka wbitego w ziemię
- ¹⁰⁰ wiaroŭka - sznurek
- ¹⁰¹ tużej - mocniej zaciągnąć pas, rzemień
- ¹⁰² żuki - stonka ziemniaczana
- ¹⁰³ wietka - gałązka
- ¹⁰⁴ pawypratywaŭszy - zrobili dokładny porządek
- ¹⁰⁵ zaraz - w tej chwili
- ¹⁰⁶ susznia - suszarnia
- ¹⁰⁷ rozpisać się - wypełnić dokument, formularz
- ¹⁰⁸ zamochrystej - zabitej deskami, porosłej mchem, zacofanej
- ¹⁰⁹ pszek - pogardliwe określenie Polaków związane z występującą w naszej mowie głóską sz
- ¹¹⁰ Aleksander Jurewicz - ur. W 1952 w Lidzie; poeta i prozaik; opublikował m.in. zbiory poezji: *Po drugiej stronie, Nie strzelajcie do Beatlesów*; powieści: *Lida, Pan Bóg nie słyszy głuchych, Prawdziwa ballada o miłości, Dzień przed końcem świata*
- ¹¹¹ „Lidzki Latopis” - „Kronikarz Lidy”
- ¹¹² Franciszak Skaryna - (ok. 1490-ok. 1540); białoruski uczoney i wydawca, absolwent Akademii Krakowskiej i Uniwersytetu w Padwie, jako pierwszy wydał książkę w języku starobiałoruskim - *Psalterz* a następnie *Biblię*; przyczynił się bardzo do rozwoju białoruskiego języka literackiego
- ¹¹³ autor słów Augustyn Bielawski, ok. 1838 na podstawie dumki ukraińskiej Stefana Pisarenki z 1813
- ¹¹⁴ „Ziemia Lidzka” - ukazujący się w Lidzie w latach 1936-1939 miesięcznik krajoznawczo-regionalny, wznowiony w 1990 w Lidzie jako historyczno-krajoznawcze niezależne pismo polskie
- ¹¹⁵ „amnestia” Stalina - zwolnienie z sowieckich łagrów, więzień i miejsc zesłania Polaków znajdujących się tam w wyniku wojny 1939 i zaboru wschodnich obszarów Rzeczypospolitej, przywrócenie im polskiego obywatelstwa
- ¹¹⁶ czaśnik - prywatny przedsiębiorca
- ¹¹⁷ warentnie - konfitury
- ¹¹⁸ baraziona - skiba ziemi
- ¹¹⁹ kopałka - kopaczka do ziemniaków
- ¹²⁰ wychadnyje - zapiątek
- ¹²¹ świren - osobny budynek, w którym przechowywano zboże, groch, czasami wędzoną słoninę i mięso

- ¹²² Stefan Żeromski - ur. 14 października 1864 w Strawczyni koło Kielc, zm. 20 listopada 1925 w Warszawie, wybitny polski prozaik, dramaturg, publicysta i działacz społeczny nazywany „sumieniem literatury polskiej”; założyciel i pierwszy prezes polskiego PEN Clubu, w 1924 kandydat do literackiej Nagrody Nobla; *Doktor Piotr, Dzieje grzechu, Ludzie bezdomni, Na plebanii w Wyszkowie, Popioły, Przedwiośnie, Rozdziobią nas kruki, wrony, Sen o szpadzie, Siłaczka, Syzyfowe prace, Wierna rzeka, Wiatr od morza, Zmierzch*
- ¹²³ obrez - obrzyn
- ¹²⁴ karier - zagłębienie
- ¹²⁵ trambować - dociskać
- ¹²⁶ bojka - drewniane naczynie do ręcznego wyrobu masła
- ¹²⁷ hadzina - żmija; hadzina - godzina
- ¹²⁸ zahawarywać - zamawiać
- ¹²⁹ merla - gaza opatrunkowa
- ¹³⁰ bint - bandaż
- ¹³¹ zamrużyć się - przewyciężyć się, spać się w sobie
- ¹³² zakluwać - zadziobać (w przenośni)
- ¹³³ ksiądz Jerzy Popiełuszko - ur. 14.09.1947 w Okopach koło Suchowoli, zm. 19.10.1984 we Włocławku, kapelan warszawskiej „Solidarności” związany ze środowiskami robotniczymi, duszpasterz służby zdrowia, zamordowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, Sługa Boży (błogosławiony) kościoła katolickiego; w stanie wojennym w odprawianych przez siebie Mszach Św. za Ojczyznę, w swoich religijno-patriotycznych kazaniach głosił prawo do życia w wolności i sprawiedliwości, protestował przeciw aktom bezprawia i przemocy; jego pogrzeb 3 listopada 1984 stał się ogólnopolską manifestacją solidarności i walki o wolność.
- ¹³⁴ krajowcy - grupa działaczy Polskiego Stronnictwa Demokratycznego na Litwie na pocz. XIX w.
- ¹³⁵ benzo piła - łańcuchowa piła spalinowa
- ¹³⁶ panos - rozwolnienie
- ¹³⁷ World Press Photo - najważniejszy konkurs branżowy fotografików pracujących dla prasy całego świata
- ¹³⁸ uniwersam - sklep spożywczy typu market
- ¹³⁹ monitor rzeczny - duży opancerzony okręt artyleryjski przeznaczony do służby na wodach śródlądowych
- ¹⁴⁰ czynownik - urzędnik
- ¹⁴¹ NKWD - Ludowy Komisariat do spraw Wewnętrznych ZSRR; skupiał cały aparat represji policyjnych tego państwa
- ¹⁴² chapuny – łapacze, od słowa chapać (brs.) - łapać
- ¹⁴³ Adam Mickiewicz sonet *Do Niemna*, napisany w Szczorsach nad Niemnem w sierpniu 1821
- ¹⁴⁴ feretron - przenośny ołtarzyk lub obraz niesiony podczas procesji
- ¹⁴⁵ podwoda - tutaj furmanka z zaprzęgiem
- ¹⁴⁶ funt - tutaj jednostka ciężaru równa ok. 0,41 kg (funt ros.)
- ¹⁴⁷ biesiedka - altanka
- ¹⁴⁸ nastojka - nalewka
- ¹⁴⁹ limonnik kitajski - cytrynowiec chiński; wartościowe pnącze pochodzące z Syberii, Chin i Korei o zastosowaniu leczniczym, konsumpcyjnym i ozdobnym
- ¹⁵⁰ barhatne - aksamitne
- ¹⁵¹ Henryk Marconi - ur. 7 stycznia 1792 w Rzymie, zm. 21 lutego 1863 w Warszawie, polski architekt włoskiego pochodzenia, od 1822 w Polsce, jeden z najwybitniejszych i najbardziej płodnych polskich architektów pierwszej połowy XIX w.; ważniejsze dzieła: dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Warszawie, Hotel Europejski, pałac Branickich, pałac Paca, kościół wszystkich Świętych w Warszawie, nowy ratusz w Radomiu, ratusz i poczta w Augustowie, szpital św. Trójcy w Kaliszu
- ¹⁵² Białoruski Komitet Helsiński - dobrowolna, niezależna i niepolityczna organizacja społeczna określona konwencjami helsińskimi oraz innymi konwencjami międzynarodowymi, zarejestrowana w listopadzie 1995; głównym jej celem jest ochrona praw człowieka na Białorusi
- ¹⁵³ powstanie słuckie - zbrojne wystąpienie oddziałów białoruskich przeciwko Armii Czerwonej w okolicach Słucka w listopadzie i grudniu 1920
- ¹⁵⁴ Tomasz Pajzderski - (1864-1908), polski architekt, w latach 1906-1908 prowadził Pracownię Sztuki Stosowanej w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, autor licznych realizacji w Wielkopolsce, znawca architektury gotyckiej i sakralnej; ważniejsze prace: kościół św. Elżbiety w Jutrosinie, hotel Bazar w Poznaniu, kościół św. Trójcy w Grabowie nad Pilicą, kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Dobrej

¹⁵⁵ Władysław Marconi - (ur. 29 lutego 1848 w Warszawie, zm. 4 czerwca 1915 tamże), architekt i konserwator, syn Henryka, działacz społeczny i kulturalny; ważniejsze prace: hotel Bristol, dom gminy żydowskiej przy ul. Grzybowskiej, Dom Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosja”, szkoła dla dzieci tramwajarzy przy ul. Młynarskiej, fabryka cukrów i czekolady Fruzińskich przy ul. Polnej, konserwacja pałacu Potockich i pałacu w Wilanowie

¹⁵⁶ neoprezbiter - kapłan w czasie pierwszego roku po otrzymaniu święceń

¹⁵⁷ wianek - wieniec pogrzebowy

¹⁵⁸ Józef Mackiewicz herbu Bożawola - ur. 01.04.1902 w Sankt Petersburgu, zm. 31.01.1985 w Monachium; polski pisarz i publicysta, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej, świadek Katynia i masowego mordu na Żydach i Polakach w podwileńskich Ponarach, świetny prozaik i nieprzejednany antykomunista, współtwórca idei krajowej na Litwie; *Bunt rojstów, Prawda w oczy nie kole, Droga do nikąd, Katyń. Zbrodnia bez sądu i kary, Kontra, Sprawa pułkownika Miasojedowa, Lewa wolna, Nie trzeba głośno mówić*,

¹⁵⁹ Michał Ksawery Pawlikowski - ur. 1893 w majątku Pucków nad Berezyną niedaleko Bobrujska, zm. 30.05.1972 na Hawajach; pisarz, publicysta wileńskiego *Słowa*; podczas wojny polsko-bolszewickiej sekretarz zarządu m. Mińsk; służył w 19 Myśliwskiej Eskadrze Lotniczej; wiceprezes Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego, 1939-1940 współpracownik *Gazety Codziennej* Józefa Mackiewicza, od 1940 na emigracji, w 1951-63 lektor języka pol. i ros. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley; ostatni kronikarz Wielkiego Księstwa Litewskiego; *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego, Wojna i sezon, Brudne niebo*

¹⁶⁰ Korona - Korona Królestwa; skrótowa nazwa Królestwa Polskiego, która przyjęła się po zawarciu unii z Wielkim Księstwem Litewskim nazywanym odtąd w skrócie Litwą, jako dwie części składowe Rzeczypospolitej Obojga Narodów

¹⁶¹ Westerplatte - półwysep przy ujściu Martwej Wisty do Zatoki Gdańskiej. Od 1 do 7 września 1939 trwały tam zacięte walki o zdobycie cypla między broniącymi polskimi oddziałami, a niemieckimi agresorami, którzy w olbrzymiej przewadze atakowali z lądu, morza i powietrza. Obrona Westerplatte stała się jednym z najbardziej znanych symboli polskiego oporu przeciw hitlerowcom we wrześniu 1939

¹⁶² pallotyni - właśc. Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego, katolicka wspólnota księży i braci założona przez św. Wincentego Pallottiego w I poł. XIX w.; pallotyni charakteryzują się licznymi działaniami duszpasterskimi i misyjnymi na wszystkich kontynentach oraz promowaniem współpracy z ludźmi świeckimi

¹⁶³ Anna Appelbaum - ur. 25.07.1964 w Waszyngtonie; amerykańska pisarka i dziennikarka, żona Radosława Sikorskiego, obecnego ministra spraw zagranicznych Polski; *Między Wschodem a Zachodem, Gulag* (nagroda Pulitzera)

¹⁶⁴ Maryla Wereszczakówna - właśc. Marianna Ewa Wereszczakówna herbu Kościesza, ur. 24.12.1799 w Tuhanowiczach, zm. 28.12.1863 w Bolcienkach, cioteczna siostra Ignacego Domeyki, ukochana Adama Mickiewicza; poeta poświęcił jej wiersz *Do M****, upamiętniona też została w *Balladach i romansach*, IV części *Dziadów*, a jej imieniny w sierpniu 1921 stały się przyczyną do powstania *Świtezianki*

¹⁶⁵ Aleksander Sulikiewicz - właśc. Iskander Mirza Duzman Beg Sulikiewicz lub Hózman Mirza Sulikiewicz, ur. 8.12.1867 w Skirsobolach Tatarskich na Suwalszczyźnie, zm. 18.09.1916 w bitwie pod Sitowiczami nad Stochodem; polski działacz socjalistyczny i niepodległościowy, główny organizator przerzutu „bibuły” z Genewy i Londynu do Królestwa, współorganizator ucieczki Józefa Piłsudskiego z petersburskiego szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy 14.05.1901

¹⁶⁶ Królestwo Polskie - zwane też kongresowym, państwo będące w unii personalnej z imperium rosyjskim powstałe decyzją kongresu wiedeńskiego w 1815, włączone bezpośrednio do cesarstwa rosyjskiego w 1832

¹⁶⁷ Marcin Poczobutt-Odolanicki - (1728-1810); działacz oświatowy okresu oświecenia, astronom, polski jezuita, prof. matematyki i astronomii oraz rektor Uniwersytetu Wileńskiego, reformator uczelni; prowadził regularne obserwacje astronomiczne, z których najślawniejsze, 60 wyznaczeń pozycji Merkurego, posłużyły Lalande'owi do obliczenia orbity tej planety; współredaktor *Gazety Wileńskiej*

¹⁶⁸ Franciszek Milkont-Narwoysz - ur. 15.01.1742 w majątku Milkonty k. Święcian, zm. 26.06.1819 w Wilnie; jezuita, kanonik kapituły wileńskiej, prof. Uniwersytetu Wileńskiego, wybitny matematyk (postawy analizy mat., rach. różniczkowy i całkowity, geometria analityczna, teoria krzywych 3 stop.)

¹⁶⁹ Antoni Chlewiński - (1793-1870); jedyny ksiądz pośród filomatów, pracował przy kościele uniwersyteckim św. Jana, w Nowojelini, jako dziekan w Lidzie, w Ossowie i Ejszyszkach gdzie zmarł; bibliotekarz Towarzystwa Filomatów; wraz z I. Domeyką przełożył Koran na język polski dla litewskich Tatarów; odznaczony przez rząd rosyjski wysokimi medalami w nieznanych okolicznościach

¹⁷⁰ Konstanty Antoni Gorski - ur. 13.06.1856 w majątku Nadrzeczce blisko Lidy, zm. 13.06.1856 w Poznaniu; skrzypek wirtuoz, kompozytor, pedagog, działacz społeczny, patriota; uczeń A. Kąskiego, L. Auera., N. Rimskiego-Korsakowa, przyjaciel i wykonawca utworów P. Czajkowskiego, założyciel i dyrygent chóru Polskiego i Kościelne-

go w Charkowie, koncertmistrz orkiestry Teatru Wielkiego w Poznaniu; opera *Magier*, poematy symfoniczne (*Na Olimpie*, *Zaczarowane koło*), pieśni do tekstów M. Konopnickiej, W. Syrokomli, Zd. Dębickiego, kompozycje do tekstów religijnych: *Ave Maria*, *Salve Regina*, msze es-dur i a-moll, przepiękna prawosławna pieśń żałobna na chór a cappella *Зряце мя безгласна*

¹⁷¹ katastrofa smoleńska - największa katastrofa w historii państwa polskiego, w której zginęli: prezydent RP Lech Kaczyński z małżonką Marią, prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski dowódcy wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych, wybitni politycy Sejmu i Senatu, duchowni, przedstawiciele ministerstw, organizacji społecznych i kombatanckich, załoga samolotu - w sumie 96 osób, nikt nie przeżył; była to polska delegacja lecąca na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej

¹⁷² jesziwa - znaczy posiedzenie, żydowska wyższa szkoła talmudyczna dla niezonatych studentów; Talmud jest zbiorem praw religijnych obowiązujących wyznawców tradycyjnego judaizmu; największą na świecie była Lubelska Szkoła Mędrców złożona w 1930 w Lublinie

¹⁷³ cadyk - znaczy sprawiedliwy, charyzmatyczny przywódca odłamu judaizmu - chasydyzmu, wzór pobożności, pokory i sprawiedliwości; otaczany był powszechną czcią ze względu na przypisywaną mu zdolność uzdrawiania i czynienia cudów

¹⁷⁴ Czesław Niemen - właśc. Czesław Wydrzycki (16.02.1939-17.01.2004), piosenkarz, kompozytor, multyinstrumentalista, autor tekstów piosenek, jeden z najważniejszych i najwybitniejszych twórców muzyki w Polsce: *Dziwny jest ten świat*, *Czy mnie jeszcze pamiętasz*, *Pod papugami*, *Sen o Warszawie*, *Czas jak rzeka*, *Mimozami*, *Stoję w oknie*

¹⁷⁵ Ludwik Narbutt - ur. 26.08.1832 w majątku Szawry w pow. lidzkim, zm. 05.05.1863; syn znanego i cenionego historyka Teodora Narbutta, polski ziemianin, dowódca powstania styczniowego na Litwie w rejonie Lidy

¹⁷⁶ powstanie styczniowe - powstanie narodowe przeciwko caratowi rozpoczęte 22/23 stycznia 1863; objęło tereny Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego; ostatnie walki jesienią 1864

¹⁷⁷ Maciej Kalenkiewicz - ur. 01.07.1906 w Pacewiczach w pow. Wołkowyskim, zm. 21.08.1944; mjr dypl. artylerii; od 28 IX do 3 XII 1939 zastępca mjr Henryka Dobrzańskiego „Hubala”; w Anglii współtwórca koncepcji nawiązania lotniczej łączności z Krajem oraz utworzenia polskich wojsk spadochronowych; cichociemny; od lutego 1942 inspektor KG AK na Okręg Nowogródzki, a od marca dca Zgrupowania Nadniemeńskiego, jednego z największych wówczas zgrupowań partyzanckich w okupowanej Polsce; autor operacji „Ostra Brama” – opanowania Wilna przez AK; od 17 lipca dca Nowogródzkiego Okręgu AK

¹⁷⁸ linia Curzona - zaproponowana przez bryt. ministra spraw zagranicznych G. Curzona linia rozdzielająca wojska polskie i bolszewickie w czasie zawieszenia broni z 11.07.1920

¹⁷⁹ powstanie listopadowe 1830 - polskie powstanie narodowe przeciwko Rosji, które wybuchło w nocy z 29/30 listopada 1830, swym zasięgiem objęło Królestwo Polskie, Litwę, Żmudź i Wołyń; zakończyło się 21 października 1831

¹⁸⁰ powstanie styczniowe 1861 - polskie powstanie narodowe przeciwko Rosji rozpoczęte w nocy 22/23 stycznia 1861; objęło tereny Królestwa Polskiego, Kitwę, Białoruś i część Ukrainy; ostatnie walki jesienią 1864

Białoruski Internet

1. www.radzima.org - strona poświęcona spuściźnie Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego obecne terytorium Białorusi było najważniejszą częścią, strona posiada polską wersję
2. www.radzima.net - genealogiczny projekt pt. „Znajdź swoich przodków i krewnych na Białorusi”, obejmujący trzy województwa II Rzeczypospolitej: Wileńskie, Nowogródzkie i Poleskie z ich administracyjnym podziałem z połowy lat trzydziestych XX wieku, strona posiada polską wersję
3. www.globus.tut.by - strona poświęcona różnym zabytkom Białorusi (w wersji rosyjskiej)
4. www.archives.gov.by - Archiwum Białorusi
5. www.catholic.by - strona kościoła katolickiego na Białorusi, posiada polską wersję
6. www.grodnensis.by - strona diecezji Grodzieńskiej z polską wersją
7. www.pawet.net - strona Ziemi Lidzkiej w języku białoruskim, ale także z tekstami w języku polskim i rosyjskim
8. www.pawet.net/niechwiadowicz - moja strona

9. www.bialorus.pl - polska strona poświęcona współczesnej Białorusi
10. www.stryjec.pl - strona poświęcona życiu i twórczości Ryszarda Stryjca

Spis treści

Kocham cię Gawio /

Wstęp /

Poszarpane wybory (15-21 marca 2006) /

Podróż - Prowincja - Głosowanie

Wizyta druga (22 czerwca-7 lipca 2006) /

Święto w Surwiliszkach - Bazar w Iwii - Krowy mają pierwszeństwo - Kobieta z telefonem -
Spływ Gawią - Deszcz na kolonii - Krótko w Trokielach - Na koniec Grodno

Białoruś po raz trzeci (8-15 września 2006) /

Droga - Sobotniki - Jabłonie - Kosa - Jesień - Wykopki - Świat - Łuniniec - Lida - Trokiele - Po-
wrót

Sakawik 2007 (15-24 marca 2007) /

Poznań - Granica - Smorgonie - Ukryci celnicy - Taxi 44444

16 marca, piątek /

Berdówka - Lipniszki - Maryna Kiewra - Danuta Biczal - Lidzki mszar - Autobusem do Sobotnik
- Późna kolacja

Nasze miasteczko /

17 marca, sobota /

Śmierć Janka Nowickiego - Kolonia nad Łyntypką - Wspomnienia Józika Rusakiewicza

18 marca, niedziela /

Dowgiałowska Droga - Żurawie - Turyści z Mińska - Koniec Żemłostawia? - Rybaki - Pogrzeb
Janka - Poczęstunek - Józik Nowicki

19 marca, poniedziałek /

Ryszard Stryjec z Lipniszek - Pieszko do Sobotnik

20 marca, wtorek /

Odjazd do Lidy - Iwiejski szlak

21 marca, środa /

Parafia pw. św. Rodziny - Kościół na Słobódce - Ulice Lidy

22 marca, czwartek /

Moje książki w Grodnie - Trasianka

24 marca, sobota /

Towarzystwo Twórców Ludowych na Białorusi - Grodno - Dom rodzinny - Ulica Łęczycka 7 -
Tata i mama - Chłopcy z naszej ulicy - Osiedle Warszawskie - Leszek - Dom rodzinny

Czerwień/lipień 2007 (26.06-11.07.2007) /

26 czerwca, wtorek /

Jadę razem z mamą - Przyjemny Białystok - Szybko do Lidy

27 czerwca, środa /

Kuzyn Janek - Nasz kościół - Rodzinne spotkanie - Żyhuli

U Zosi na kolonii /

Daróżka - Trąba powietrzna - Niespodziewane spotkanie - Ciocia Jadwiga - Cudowny sen - Obrazy naszej ziemi

28 czerwca, czwartek /

Wspomnienia sióstr - Język prosty - Na ajczynie - Waluś Tuczkowski - Puciulowie - Caryca - Śmierć babci Wiktorii - Księża z Polski

30 czerwca, sobota /

Ola i Wacek - Psalm dla Aliny

1 lipca, niedziela /

Pogrzeb Ali - Staś Tuczkowski

2 lipca, poniedziałek /

Mahazyny - Kolejkowe rozmowy - Adnapolcy - Autałaŭka

3 lipca wtorek /

Agrogaradok - Zdjęcie - Renia

4 lipca, środa /

Borowiki - Za chlebem - Zosia Pietryman

5 lipca Czwartek /

Pożegnanie miasteczka - Początek IX Zjazdu Lidzian

6 lipca, piątek /

Moja 50tka - Noc Kupały - Program Zjazdu - Zalane miasto - Wycieczki z Polski

8 lipca, niedziela /

Msza w intencji uczestników Zjazdu - Imiona

10 lipca, wtorek /

Ognisko nad Niemnem - Pożegnanie Zjazdu

Zniwień 2007 (17.08-29.09.2007) /

17 sierpnia, piątek /

Męcząca podróż - Z Siarhiejem do Lidy

18 sierpnia, sobota /

Dwie Marysie z Iwia / Żydzi i Tatarzy

19 sierpnia, niedziela /

Książki u św. Rodziny - Na kawie u Witka - Nareszcie w Sobotnikach

20 sierpnia, poniedziałek /

Remont szkoły - Kobiety na Białorusi - Kolonia nad Łyntupką - Kopanie bulby

21 sierpnia, wtorek /

Dowgiałowszczyzna - Poszukiwanie Szluchów - Czechowce - Pogawja - Raksowie z Nackowicz - Na plebanii - Na cmentarzu - Tadzik Aniškiewicz - Dziecięca odlewnia - Powojenna szkoła - Patriotyczne wychowanie

22 sierpnia, środa /

Rowerem do Chilewicz - Kolonia nad Matruną - Wujek Wacek - Zamawianie róży - Staś Kulesza z Wasilewicz - Konie i furmanki

23 sierpnia, czwartek /

Choroba ojca Franciszka - Praca i płaca - Niebezpieczny koncert

24 sierpnia, piątek /

Z Alesiem na Gawii - Kajakiem do Polski - Powrót autobusem

25 sierpnia, sobota /

Ksiądz Andrzej Łysy z Gieranion - Jadwiga Smosarska - Konwaliszki

26 sierpnia, niedziela /

Język polski - Język białoruski - Pałac w Żemłostawiu

27 sierpnia, poniedziałek /

Czas odjazdu - Wykopki - Ciocia Władzia

28 sierpnia, wtorek /

Przed uniwersamem - Białoruska RTV - Mamy chrześniak - Za i przeciw

29 sierpnia, środa /

Pożegnanie Lidy - Nad Niemnem - Sen o powrocie

Zakończenie (25.06-04.07.2009) /

X Zjazd Lidzian - Dziwna droga - Fest na św. Władysława - Spotkanie z agentem - Młyn na Gawii - Rodzinne groby - Chłopcy nad Gawią - Kuprelowa Kudra - Witold Juchniewicz - Sianokosy - Czerwona wstążka - Rocznicą wyzwolenia - Leon Lauresz - Mociewicz nad Niemnem - Łarysa Geniusz - Edward Woyniłłowicz - Traktakt ryski - Czerwony kościół - Polskie szkoły - Granica - Koronacja w Trokielach - Odejścia

Lipień 2010 (08.07.2010-16.07.2010) /

Pustki przed konsulem - Sobotniki popularne - Licwin Czesiu - Spis 1921 - Dwie łódki na Gawii - Droga do Woronowa - Polski rejon - Dożynki w Lidzie - Olek i Leon - Ziemiak z Radunia - Sól ziemi

Tęsknota /

Przypisy /

Białoruski Internet /